18 bob.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU.

POWIEŚĆ BEZ TYTUŁU,

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Militia est vita hominis super terram.
Legenda średniowieczna.

4 Tomy we 2ch.

TOM DRUGI.

WILNO.
Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.
1855.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 25 Września 1854 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

Niewiele życia pozostało biednéj matce, tyle tylko by odbolała za grzechy swoje; ta reszta spłynęła jéj w niepojętém rozmarzeniu. Kiedy jéj domek na Łotoczku stał się straszliwą pustką, a Karolek do ojca i siostr poszedł na Rosę, Dormundowa wpadła w stan jakiś osobliwszy, z którego ją już żadne starania wyprowadzić nie potrafiły, ani zupełne poświęcenie się dla niéj Stanisława, który święcie spełnił wolę jéj syna, ani środki lekarskie użyte przez Brant'a, probującego wszystkiego, ale zapowiadającego zawczasu, że gdy dusza chorobę robi i ciało niszczy, niéma na to w medycynie lekarstwa. Dormundowa płakać i mówić przestała, chodziła jak cień niemy, nieprzytomna, wychudła i nie dozwoliwszy nic ruszyć w pokoiku Karolka, całe dnie z jego cieniem na zwykłém swém miejscu przepędzała, strzegąc skarbów swych, pamiątek. Najmniejszy skrajek pa-

pieru na którém on skréślił słów kilka, chowała jak relikwią i nieraz długo, długo trzymała przed oczyma nieforemne rysuneczki jego, dziecinną jeszcze skréślone ręką. Marta siłą ją prawie karmić musiała, Stanisław przymuszać do spoczynku, ale najczęściéj przebywszy kilka dni i nocy nieruchoma w izdebce, nareszcie bezsennością i cierpieniem znużona padała na ziemię u synowskiego łóżeczka, i tak usypiała na kilka godzin, po których przerwane na krótko znowu się rozpoczynały rozpamiętywania bolesne.

Stan taki nie mógł potrwać długo; wszystkie wyczerpując siły, zmienić się musiał lub ustać, a że głębokiéj boleści matki śmierć tylko koniec położyć mogła, Dormundowa w gorączce cierpienia przeżywszy kilka miesięcy, skończyła wreszcie żywot gęsto cierniem przeplatany.

Przez cały ten czas powolnego konania, Stanisław nie odstąpił jéj na chwilę; stał się dla niéj w istocie przysposobioném dziecięciem, niezmordowaną troskliwością z jaką służył biédnéj nieprzytomnéj kobiécie. Wilno stało się puste, akademicy wyjechali, towarzysze znikli, on sam jeden wielą próbami złamany, pozostał ciągnąć odważnie ten pług niedoli i obowiązku. Doktor Brant tylko nieco mu pomagał, nie odstępując nieszczęśliwéj, starając się dodać sił i odwagi Szarskiemu.

Ale gdy młody opiekun wdowy, pewien że ludzkie boleści czas łagodzić musi i ufny, że ją Bóg dłużéj zachowa przy życiu, dopytywał się o nadzieję u lekarza, ten mu wcale nie taił następstw, które dlań były widoczne.

— Mój drogi, rzekł — prawda, są rany które się goją, ale są i nieuleczone; do tych zaliczyć potrzeba boleść Dormundowéj, któréj nic nie pozostało na świecie, bo to w czém zamknęła życie swoje uszło na inny świat lepszy. Ona musi umrzeć i umrze prędko, bo codzień widoczniéj niknie nam w oczach. Gdyby się chciała oderwać od tego widoku, szukać środków... ale ona ani myśli o sobie, ona jeszcze płacze po swoim ostatnim, i ze łzami duszę uroni.

Był to więc okropny dla młodego serca widok nieuleczonéj boleści i powolnéj śmierci, a Stanisław pomimo swego przywiązania do wdowy i litości nad nią, całych sił swych dobyć musiał, by podołać obowiązkowi zaciągnionemu względem niéj i zmarłego syna. We dnie i w nocy, w nieprzerwaném milczeniu, czuwał nad nią, spał gdy ona usnęła chwilę i to nie kładnąc się, a najmniejszy szelest przerażonego obudzał. Izdebka, obok któréj ciągle musiał stać na straży, smutna jak trumna, w oczach jego wydawała się nieustanną groźbą i przypomnieniem śmierci; śmierć otaczała go do koła, co chwila obawiać

się musiał, by go ze snu przelotnego stukot zabijającego wieko trumny nie obudził niespodzianie.

Dormundowa słabła, słabła, nie zmieniała trybu tego wyczerpującego życia i ostatniego dnia dopiéro zdawała się jakoś oprzytomniać; przemówiła słów kilka, objawiła wolę jakąś, poczęła niby wracać do życia. Stanisław ucieszył się niezmiernie, wstąpiła w niego nadzieja, posłał po doktora Brant'a i po przyjaciela wdowy, regenta Palskiego, których mieć przy sobie żądała. Oba zaraz przybywszy zamknęli się z nią, a Szarski ukląkł Bogu dziękować za to, co cudem Jego uważał. Jakież było przerażenie jego, gdy lekarz wychodząc z pokoiku Dormundowéj, miną okazał mu, że wszelką stracił nadzieję.

— Ale ona była lepiéj!— zawołał Stanisław.

— To lepiéj, zawsze poprzedza i zwiastuje śmierć w chorobach tego rodzaju, zwłaszcza w tych co z duszy pochodzą, lub duszę dotknęły. Dormundowa wyczerpała boleścią do ostatniéj kropli życie i siły.

Palski wyszedł także z jakiemiś papierami zapłakany i pomieszany. Za niemi w ślad ukazała się i Dormundowa, niby przytomniejsza, ale wsparta na ręku Marty, która ją dźwigać musiała, bo o swéj sile iść nie mogła. Kazała się zaprowadzić do łóżka syna, uklękła przy niém, poczęła całować zabawki jego i rozpłakała się szlochaniem głośném.

Marta, jak Stanisław, myliła się sądząc, że jéj płacz

ten pomodz może i ulżyć, bo oddawna suche miała oczy, ale tuż Dormundowa podniosła się wołając Stanisława. To przemówienie jéj do niego, tak znowu było nadzwyczajne, że Szarski pobiegł odzyskując nadzieję.

— Klęknij dziecko moje — odezwała się słabym głosem — niech cię pobłogosławię, niech ci w imieniu mojém i Karolka za przyjęcie synowskiego brzemienia podziękuję. Bogdajby ci życie tyle przyniosło pociech i szczęścia, ileś tu się napatrzył i nacierpiał boleści... Palski już wié czego chcę...

To ledwie wypowiedziawszy przerywanym głosem, wdowa jęła znów łkać i szlochać, rzuciła się konwulsyjnie na łóżeczko syna i na niém biédna skonała. Długo ją Stanisław i Marta odcierali i ratowali, sądząc że zemdlała tylko, ale gdy Brant nadszedł, musieli się poddać śmierci.

Cicho odbył się pogrzeb wdowy, za któréj wozem ubogim (bo ostatek grosza swojego na ten obrzęd oddał Stanisław) poszli tylko Brant, Palski, Stanisław i Marta. Z dawnych przyjaciół czasów świetniejszych, w których Dormundowa jaśniała między piérwszemi w towarzystwie wileńskiém kobiétami, pięknością, dowcipem i dostatkiem, nikt sobie o niéj nie chciał przypomnieć. Miejsce jéj na cmentarzu oznaczone już było pomiędzy mężem a dziećmi; ostatnia przyszła do gromadki, po któréj tyle łez wylała.

Po pogrzebie, Stanisław zamyślał się co zrobić z sobą i jak nowe życie rozpocząć, gdy zaraz nazajutrz Brant, Palski i nieznajomy urzędnik przyszli do niego z papierami. Marta już nie widząc nikogo, nikomu wstępu do domu nie broniąc, skamieniała siedziała na wschodkach, straszna żalem jaki się na jéj staréj i wyniszczonéj twarzy malował.

Stanisław zrozumiał to przyjście potrzebą zdania domu i powiązawszy co miał swego naprędce, wziął się do kluczów.

— Czekaj-no pan — rzekł Palski — bo to nie pan nam, ale my panu wedle testamentu zdać dom i ruchomości powinniśmy.

— Jak to? — zapytał Stanisław.

— Albož pan nie wiész, że jesteś spadkobiercą nieboszczki Dormundowéj.

— Ja? — zdumiony zawołał Szarski.

— A tak! tak! — dodał Palski powoli — ale ta poczciwa chęć nieboszczki bez żadnego dla waćpana skutku; dom ten obciążają długi, dwa razy wartość jego i mobiliów przenoszące; życzę więc zabrać co można z ruchomości i wyrzec się reszty.

— Ale ja zupełnie nic nie chcę! — zawołał Stanisław.

— I nic ci też moje dziecko, prócz jakiéj pamiąteczki nie przyjdzie, odparł Brant wzdychając. Dormundowa zawsze miała biedaczka to uprzedzenie, że

cóś jeszcze ma i że ją tylko nieprzyjaciele prześladują, ale w istocie nie było i grosza funduszu. Myślała że ci robi ofiarę wielką, z serca chciała uczynić co mogła, a rzeczywiście nic nie zrobiła.

— Na Boga! — zawołał Stanisław — alboż myśleć możecie, żem chciał czego, żem się czego spodziewał?

— Ale nie — odpowiedział Brant zażywając tabakę — właśnież ja nie wiém, żeś ty jéj ostatek swojego oddał i za swoje ją pochował! Zabieraj póki czas mobilia, i póki się wierzyciele nie opatrzą, swoje przynajmniéj odzyskać się staraj.

— Ja nic nie chcę, nie chciałem, nie wezmę — przerwał z oburzeniem Szarski. Myślcie panowie nie o mnie, ale raczéj o téj nieszczęśliwéj staréj, która nie ma przytułku, kąta i chleba, cały wiek na służbie ich straciwszy.

— Trudno na to będzie poradzić, rzekł Pałski — grosza nie pozostało.

— Przedajcie więc co się da ocalić z ruchomości, aby jéj zapewnić chleb i przytułek.

Brant uściskał Stanisława ze łzą, któréj ukryć i ocierać nie myślał.

— Nie turbuj się o to — rzekł — są jeszcze serca poczciwe, nie zginie stara Marta.

W téj chwili szum się dał słyszeć w dziedzińcu i ciżba ludzi od wrót, z pachołkami policyi, z komisarzem na czele, wtoczyła się na ganeczek. Marta

siedziała na nim, ale dawniéj tak groźna, teraz się już nie ruszyła nawet, spójrzała obojętnie, mrucząc pod nosem:

— Idźcie, idźcie kruki! zabiliście pana, pozabijaliście dzieci, dobili ją — zabierajcie i swoje... a mnie tu już niéma co robić. To rzekłszy, wstała i poszła do kuchenki i szybko z niéj zaraz wybiegła z węzełkiem na plecach, z kosturem w ręku z miotliska zrobionym naprędce, spuściła głowę zabierając się odejść, gdy hałas wewnątrz domu ją powstrzymał, żal ścisnął serce i znowu na stopniach usiadła.

Ta ciżba, byli to wierzyciele, wielcy i mali, nieboszczki, domagający się praw swoich, a Palski usiłujący choć cokolwiek ocalić dla Szarskiego, począł od przeczytania w obec ich formalnego testamentu wdowy.

— Jakże ona mogła co zapisywać — wykrzyknął jeden jegomość w surducie z kołnierzem bobrowym i kolczykiem w uchu — kiedy nic nie miała. — Niech wprzódy pooddają co nam winni.

— Bardzo to dobrze — rzekł Palski usiłujący uprzedzić Stanisława, który się zrzekać zabierał — ale panowie musicie dochodzić praw swoich, a tymczasem spełni się wola nieboszczki i nieruchomość przejdzie na nowego właściciela, z którym się likwidować będziecie. Ja ten interes biorę na siebie.

— Tak! — zawołał drugi — jedno warto drugiego!

Waćpan nas i za życia wodziłeś i po jéj śmierci myślisz jeszcze ciągać po sądach, ale z tego nic nie będzie; są dekreta!

— A może i będzie mimo dekretów! — rzekł z zimną krwią składając testament Palski; długi te które rosły co rok we dwoje... pozwiemy do kalkulacyi, przysięgi... lub wejdziemy w układy...

Kredytorowie nie bardzo czyści, obawiali się prawnika, bo jego tylko rozumem i zręcznością wdowa od lat dziesięciu przy domu się trzymała — spójrzeli więc po sobie.

— Co tu się układać! — rzekł bobrowy kołnierz, który na dwadzieścia od sta pożyczał — wszystko i tak nasze!

— Albo i nie wasze! — mruknął udając obojętność Palski.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

— Panowie! — przerwał usiłując się dobyć Stanisław.

— Za pozwoleniem — nie dając mu się odezwać, przerwał Palski — pan tu głosu nie masz, prawa pańskie jeszcze nie są wylegitymowane.

— Pan się nie odzywaj! — powtórzył jeden z tchórzliwszych wierzycieli, nie wiedząc że mówił przeciwko sobie, a usiłując rolę jakąś odegrać.

—No! alem ciekaw jakie być mogą układy?—spytał staruszek w szaraczkowéj kapocie, który od wnijścia do domku, rozpatrywał ruchomość bacznie, ręce trzymając w kieszeniach.

—To zależy—rzekł krótko Palski.

—Tandem, na czémże je oprzeć?—dorzucił bobrowy kołnierz—i jam ciekawy.

—Potrzeba żebyście panowie, odkupując prawa sukcesora, cóś ofiarowali!—wyjąknął Palski.

—Za pozwoleniem!—usiłujący próżno dać się słyszeć głośniéj zawołał Szarski, którego to nieznośnie męczyło—ale ja, ja...

—Ale pan nie masz głosu!—zagłuszył stentora piersią plenipotent.

—Pan się nie odzywaj!—groźno powtórzyli za nim wierzyciele.

Stanisław musiał umilknąć znowu.

Palski poczynał mrugać na kredytorów jakby się z niemi porozumiewał, przekonywając ich, że mówi w ich interesie.

—Cóż tedy panowie oddajecie sukcessorowi?

Wierzyciele spójrzeli po sobie, rzeczywiście nie wiedząc co dać mają.

—Ruchomości—podszepnął Palski.

Komuś się zdało, że słówko to wyrzekł nie prawnik, ale jeden z nich, i poczęli przebąkiwać cicho o ruchomości.

— Mogą być precyoza — zrobiła uwagę szaraczkowa kapota.

— Są inwentarze — odparł Palski.

Wszystkie oczy zbiegły się do ukazanego w téj chwili papieru i czytać poczęły; Staś znowu zapragnął się odezwać, ale go zaraz zahukano, tłum cały był przeciwko niemu, choć sam nie wiedział dla czego. Brant smutnie spoglądając na tę scenę, uśmiechał się żałośnie do tabakierki, którą w ręku trzymał.

Po bardzo krótkiéj całéj w szeptach naradzie, odstąpiono ruchomości na rzecz spadkobiercy, wymagając tylko zrzeczenia się wszelkich praw jego i pretensyj.

W chwili kiedy się to układało, Stanisław ciągle usiłujący przemówić napróżno, bo mu to Palski, to Brant, to spadkobiercy odezwać się nie dawali, chwycił wreszcie rozdrażniony do ostatka, tłómoczek swój i przecisnął do drzwi.

Na wschodkach siedziała jeszcze Marta Żmudzianka.

— Chodź stara, rzekł Szarski — chodź, nie mamy już tu co robić oboje; najlepsze podobno wyniesiemy z tego domu, bo wspomnienia drogich naszych zmarłych, a póki ja żyję nie dam i tobie mrzeć głodem, zapracujemy sobie na kawałek chleba.

Marta uśmiechnęła się smutnie.

— Patrzajcie, rzekła jakby do siebie — jakie to poczciwe! Daj ci Boże zdrowie rybeńko, a na cóż

ja ci jeszcze mam być ciężarem! Jużem ja sobie pomyślała i stan obrała! Zkądżeby się brali żebracy pod kościołem, żeby im tacy jak ja nie przybywali pod koniec życia. Żyjąć oni, kochaneczku, to i ja tym samym chlebem się przekarmię! Albo to co złego rękę wyciągać, kiedy już do pracy niezdatna! Niech ci Bóg płaci za twoje dobre serce, ale ja tego nie chcę! dam sobie rady!

— Dla czego?— odparł Szarski — albož to nie mogłabyś mi być pomocą? stróżem, gospodynią, sługą jak tutaj byłaś?

— O! nie! nie!— kiwając głową zawołała Marta — ot co powiész rybeńko, że od śmierci pani, jakby mi ręce poodrąbywał— do niczego, do niczego! Chce mi się modlić i drzémać, a czasami zapłakać; do pracy sił nie znajdę, bo to z serca idzie... a tam mi zaschło. Jeszczebyś musiał darmo drugą izbę dla staréj Marty najmować; za ten grosz kto inny lepiéj ci usłuży niż ja... porzuć mnie i nie frasuj się serdeńko, nie zginę ja na wileńskim bruku... Będzie tylko więcéj jedną żebraczką w kruchcie u Augustyanów.

Stanisław napróżno ją namawiał, Marta była niewzruszoną i nie dała mu się uprowadzić, pozostała na wschodkach domu, który opuścić jeszcze jéj było ciężko, tak już do niego przyrosła. Oj! staremu przesadzać się na starość, ciężka to rzecz, bolesna!

Szarskiemu tymczasem, rzuconemu śród ulicy,

przyszło na myśl szukać taniéj izdebki w dawném swojém mieszkaniu na Trockiéj ulicy i uładowawszy trochę rzeczy na przejeżdżającą dorożkę, pociągnął do domu pana Horyłki.

Nie bez przyczyny domyślał się, że czasu wakacyi puste izdebki będą bardzo przystępne, z podziwieniem swém nawet zajechawszy przed bramę, nie zastał w niéj ani Hersza na czatach, ani gospodarza.

Wszedłszy do domu, wszędzie dziwnie znalazł pusto.

— A pan Horyłka? — spytał przechodzącego chłopaka.

— Jest w stancyi.

— To mi go, proszę, wywołaj!

Chłopiec poleciał z hałasem, dla dystrakcyi w podróży wszystkie balaski galeryi przebiegając ręką, która po nich jak po klawiaturze bezstrunnego fortepianu zatętniała, i czerwony bardzo, w karmazynowéj swéj niegdyś mycce, ukazał się żwawo wybiegający gospodarz.

— A! nie mylą mnie oczy moje! — zawołał dłoń przykładając do czoła — to stary znajomy — śmiem rzec, przyjaciel domu... Jak się pan ma i co pan tu porabia? Nie potrzebuje pan stancyi?

— Właśnie jéj szukam — rzekł Szarski.

— Poczciwy człowiek zaraz do znajomego ciągnie! — zawołał stary szparko macając się po kieszeniach

kurtki.—Hej! Małgorzata, Antoszek, Klimek! kluczy dawajcie, gdzie klucze?

I zasmolone służące i odarte chłopaki nadbiegli na zawołanie, a pan Horyłka, już ożywiony myślą, że mieć będzie lokatora, kląć poczynał.

—Kto z was mi klucze pochwycił? a nu, próżniaki, gapie... tu taki godny pan, poczciwy, stary znajomy czeka...

To mówiąc, szybko zbiegł z piętra pan Horyłka i zdejmując czapeczkę, uściskał swego dawnego lokatora.

—No! jakże? chwała Bogu, uniwersytet się skończył, powinszować stopnia! Jakiéj pan chce stancyi? dwie, trzy, czy cztéry? Dom wyporządziłem teraz lepiéj, słowo honoru, jak u Podbipięty—pan sam zobaczy, ja nic nie powiém. Nowo pomalowany, elegancya największa, meble! Hersz! gdzie ten szelma Hersz! to łajdak śpi tylko! pije... dalipan pije! nos ma nawet czerwony! A klucze... a! pewnie u jejmości... idź-że no Klimek po cichu do jejmości.

—Do jakiéj jejmości?—spytał Stanisław—wszakżeś się pan był rozstał z żoną?

—Tak! tak! było to cóś, było—rzekł poprawując mycki Horyłka—ale się to połatało. Widzi pan, wszystko to przyszło przez języki ludzkie. Udana była jakoby uciekła z huzarem, tymczasem co się pokazuje? zupełnie co innego! Miała dalekiego kuzyna

w dragonach i z nim jeździła odwiedzić swoję familię... powróciła! powróciła chwała Bogu! żyjemy w świętéj zgodzie. A! co to za kobiéta panie! jaki mi ona zaraz ład wprowadziła w domu, jabym sam temu nie wystarczył; pan zobaczy co to teraz za laleczka, Hotel Kornela Horyłki, a o mało że przez plotki i zawiść ludzką nie poróżniłem się z najlepszą kobiétą...

To mówiąc, dostawszy nareszcie zagubionych kluczów, otworzył machinalnie gospodarz ten sam właśnie pokoik, w którym Szarski stał początkowo z Bazylewiczem. W istocie miał on teraz nieco lepszą minę, zmytą świéżo podłogę, pomalowane ściany w pasy żółte i niebieskie, kanapkę cycem pokrytą i plwaczkę w kącie. Tę naprzód ukazał mu gospodarz.

— Widzi pan... są nawet kraszarki (tak je nazywał) i o tém pamiętała. Ot! jaka to kobiéta!

— Ale łóżka niéma, panie Horyłka.

— A kanapa? czysty zysk, w nocy się na niéj śpi, a w dzień siedzi... salon kompletny. Na cóż młodemu łóżko, chyba żeby się uczył zniewieściałości.

Targ wkrótce skończono, i Staś znowu się rozgościł na staréj swojéj kwaterze.

Ale Wilno tak mu się teraz zdawało puste! nigdzie znajoméj nie spotkał twarzy, bo nawet pań-

stwo Ciemięgowie pojechali na wieś, professor Iglicki wyniósł się gdzieś za miasto, a Hippolit ruszył w Kowieńskie odetchnąć powietrzem nadniemnowéj doliny. Pozostali mieszkańcy mieli minę zaspanych i znudzonych; w kawiarni pod Ś. Janem nikogo, Krysztalewicz nawet nie pijany i tém bledszy, ledwie się kiedy niekiedy ze swoim granatowym frakiem pokazał na świecie. Stanisław błąkał się z Trockiéj na Niemiecką ulicę, z Niemieckiéj na Łotoczek, powracał do siebie i do pracy wziąć się nie umiał, tak mu to osamotnienie ciężyło.

Cisza dzienna, cisza nocna, którą tylko przerywał żałobny dźwięk dzwonów kościelnych, nużyła go nieprzebytą długością swoją, a ten stan duszy wracając go do wspomnień dzieciństwa, rodził tęsknicę za niemi, za domem, za cichym tym kątkiem litewskim, w którym się urodził. W początku było to tylko pragnienie jakieś, ale wkrótce stało się gorączką, żądzą nieprzepartą, konieczną potrzebą wioski, pól, lasów i powietrza pełnego wyziewów zieleni, tak różnego od atmosfery miasta, a niosącego z sobą tyle myśli ile woni!

Sprzedaż ruchomości po Dormundowéj, których przyjąć nie chciał Szarski, dopełniona została staraniem Palskiego, a ten gwałtem prawie pieniądze z niéj pochodzące i kilka fraszek ocalonych dla pamiątki wręczył Stasiowi. To postawiło go

w możności myślenia o ubogiéj podróży w rodzinne strony.

— Czemubym nie miał, rzekł sobie w duchu — pójść tam spójrzeć, popłakać, zobaczyć ich może z daleka i znów powrócić do pracy? Ta podróż odświeży mnie, rozbije myśli tęskne, i powróci zdrowie może, wszak Brant ruch mi nakazał.

Nazajutrz zaraz opanowany tą myślą, poszedł się jeszcze Szarski doktora poradzić, spowiadając mu się z całéj swojéj historyi.

— Chcesz tam iść — rzekł namyślając się lekarz — ha! zapewne, lepiéj to niż tu siedzieć i gryść się wspomnieniami, lepiéj... sprobój zresztą! Młodemu i ruch i zmiana miejsca potrzebne, staremu tylko to groźne... ale masz-że o czém ruszyć?

— Sądzę, że niewielką rzeczą się obędę — odpowiedział Stanisław — a nauczyłem się nie troszczyć o wygodę... Zmusiliście mnie wziąć ten grosz biédnéj Dormundowéj.

— Powiedz lepiéj twój własny, boś go więcéj dla niéj wyszafował, niż ci tam przyszło ze sprzedaży tych rupieci... Idź, idź, ale mi powracaj, a wróciwszy jaw się do mnie.

To mówiąc uścisnął go serdecznie, zamyślił się i stanął.

— Ale, ale, rzekł — słuchaj-no? w któréjże to stro-

nie... bo ja tam mam jakichś zardzewiałych krewnych na Litwie?

Stanisław wymienił najbliższe miasteczko.

— Właśnie! tam gdzieś mieszka mój dawny przyjaciel i krewniak, lub syn jego... nie słyszałeś co o Płachach?

— Płacha? cóś sobie przypominam... to niedaleko od Krasnegobrodu, graniczą z nami, mają cząstkę w Jasińcach... ale ich nie znam.

— I nie dziw... choć to moi krewni przez matkę, ale stary, prawdę powiedziawszy, nieznośny dziwak... Z tém wszystkiém, do niego lub do syna dać ci list muszę... Ojciec, wątpię żeby żył jeszcze... ale syn, który w ślady jego wstąpił i zdziczał na wsi, pewnie w Jasińcach siedzi. Bądź u nich i oddaj mu pismo moje... dziś ci je przyślę.

Wyszedłszy od Brant'a, Szarski zmierzył ku kościołowi Augustyanów, gdzie się spodziewał znaleźć Martę, któréj chciał dozor swych rzeczy i mieszkania powierzyć. Spotkał ją powoli od kruchty ciągnącą ulicą.

Miała już całkiem ubior i minę żebraczki, sakwy, kij, i ten rodzaj sukni, która się składa z nieokréślonych kawałków jakichś, niepewnego kształtu i barwy niepochwyconéj...

Zdziwiła się słysząc, że ją ktoś po imieniu woła.

— A! to ty mój robaczku! jak się masz! ot widzisz, co to się zrobiło z Marty...

— A ja z prośbą do was...

— Oho! a toż co znowu?

— Jadę na wieś.

— Na wieś! i może myślisz mnie brać z sobą! — Marta pokiwała głową. — Co jemu świta w głowie!

— Nie myślę was zabierać z sobą, alebym tu chciał kogo w mojém mieszkaniu, przy odzieniu i rzeczach zostawić... myślałem, że mi Marta tego nie odmówi. Stara ruszyła ramionami.

— Kościoł Franciszkański o trzy kroki, dodał Szarski.

— Tak, alem się już rybeńko, wpisała do Augustyańskiéj kruchty, a tam drugi raz przyjdzie się ujadać... na co mi to!

— Ja za was zapłacę.

— Ale dajże mi pokój rybeńko, ot to mi bogacz! na jednéj pole kożucha śpi, a drugą się okrywa i rękawy ma do zbycia — patrzajcie go. Nie wypada znów, żeby żebraczka jakaś pilnowała waszecinéj stancyi, a coby to ludzie powiedzieli. Trzebaby się przebrać, rozłachmanić i mój chleb porzucić — ot! dałbyś mi pokój!

— Jak ci to niedogodne.

— Lepiéj rybeńko, stancyę porzuć, co ma darmo pustować, a rzeczy możesz mi oddać pilnować, ja ci ich jak oka we łbie strzedz będę... mam ja stancyę!

mam! co sobie myślisz... umrzeć tak rychło nie spodziewam się.

Stanisław, który pod tym pozorem chciał Marcie lżejszy kawałek chleba zapewnić, widząc że mu się nie udaje, potrząsł głową i rzekł:

— Kiedy tak, wolę moje tłómoczki odesłać do doktora Brant'a.

— Ot! lepiéj, lepiéj zrobisz rybko! mniebyś staréj kątem twoim łaski nie wyświadczył, a niepokoju tylko napędził, bobym się za próg od złodzieja nie ruszyła... Tak! tak! ruszaj z Bogiem serdeńko, i niech cię Bóg błogosławi; codzień mówię Zdrowaśkę na twoję intencyę przed Najświętszą Panną... jednę tylko, bom się jeszcze dużo modlić nie nauczyła, i często zamyśliwszy się, od pacierza się zerwę, żeby garnek odszumować; a gdzie tam już garnki!!... Bywaj zdrów, rybko!

Pożegnawszy starą Martę, która z wyprostowanéj znowu zrobiwszy się garbatą, o kiju, powoli powlokła daléj suwając nogami. Staś wrócił do domu.

Ale gdy przyszło wynaleźć środki dostania się w okolice Krasnegobrodu i obliczyć z pieniędzmi, obrachował łatwo, że na podróż, powrót i piérwsze chwile pobytu w Wilnie, nim cóś znowu zarobić potrafi, ledwie mu może wystarczy. Podróż więc potrzeba było przedsiębrać z największą oszczędnością, nie najmując furmana, ale od miasteczka do

miasteczka dostając się na tak zwanych dyliżansach żydowskich.

Mało kto wié co to są, tak wspaniałém imieniem ochrzczone, eilwageny nasze, przystępne wprawdzie dla worka najuboższych, ale też ledwie ich zaspokoić mogące. Co niedziela lub poniedziałek, po gościńcu pocztowym lub wielkich traktach handlowych, krążą budy frachtowe i bryki brodzkiemi czy krakowskiemi zwane, przewożące podróżnych, ile ich los dostarczy i napchać się może — one to zowią się dyliżansami.

Bryka frachtowa jest to długa, nieforemna, na potężnych cztérech kołach spoczywająca budowa, pokryta rohożami i ogromną płachtą płócienną, gdzie niegdzie starą cératą połatana, z przybudówkami osłonionemi po bokach, niby gankami. Moc ludu i pakunku pomieścić się w niéj może. Na wysokim koźle zasiada żyd woźnica, ostawiony jeszcze paczkami, które i tu się wciskają, a cztéry nędzne, ale wykłusowane i do wszystkiego już przywykłe konie, które więcéj poją niż karmią, ciągną ten ładunek raczéj siłą bicza niż swą własną.

Mniejsza od niéj bryka krakowska, z nasuniętą naprzód budką płócienną, zawrzeć wszakże może do dziesięciu osób w różny sposób upakowanych i pracowicie od upadku utrzymywać się zmuszonych. Wozy te nie idą śpiesznie, wychodzą do dnia, popasają

dwa i trzy razy, poją konie prawie w każdéj kałuży, wloką się do północka, nocują lub podnocowują po najtańszych i najszkaradniejszych karczmach, ale z miejsca piérwsze ćwierć mili iść zwykły kłusem i dochodzą do miejsca przeznaczenia przynajmniéj truchtem maleńkim. Trudno to wyliczyć kto jeździ temi brykami—tło podróżnych stanowią żydzi, żydowice, żydzięta i w ogóle naród izraelski, ale obok nich trafiają się i inni podróżni zmuszeni choć powolnie i niewygodnie, małym kosztem odbywać drogę.

Z Wilna na kilka traktów rozchodzą się zawsze bryki takie co tygodnia, wedle programu w niedzielę, ale gdy braknie ładunku, dopiéro w poniedziałek rano lub nawet około wtorku. W zajezdnych domach żydowskich można się dowiedzieć o nie, bo stale do jednych gospód zajeżdżają. Przez Hersza więc łatwo było Stanisławowi zamówić sobie za złotych kilkanaście miejsce w tego rodzaju dyliżansie, do najbliższego powiatowego miasteczka. Nie znając tego sposobu podróżowania, a mając go sobie odmalowanym barwami bardzo wdzięcznemi, Szarski spodziewał się znaleźć cóś porządniejszego od mizernéj bryki żydowskiéj—spójrzawszy na płócienną tę arkę trochę mu się przykro zrobiło, ale wszedł z rezygnacyą, na wskazane sobie miejsce.

Konie były już wprawdzie wprzężone, ale żeby nie próżnowały, nim się zbiorą podróżni zarzucono

im siana, które gryzły z niezmyślonym apetytem. Furman podkasawszy poły z fajką w zębach i rękami za pasem przechadzał się dumnie po dziedzińcu, a tymczasem zbierali się powoli ci, których miał przewozić.

W początku Stanisław był sam z żydkiem elegantem, który widać miał talent i ochotę do muzyki, wiedząc zapewne, że Halevy i Meyerbeer z pokolenia izraelskiego pochodzili i czując się obowiązanym utrzymać reputacyą muzykalności narodu swego, ale po nim nadciągnęły najrozmaitsze figury.

Stara żydowica z zielonym kuferkiem, który zagrażał kolanom Szarskiego, jakiś jegomość z śmierdzącą fajką bakunu, na jedno oko ślepy, w płaszczu podartym, z kijem sękatym, ale pełen dobréj fantazyi i jakaś jejmość młoda i ładna, ale oszarpana, zabrukana i kaszląca, któréj wyjechać było niezmiernie dla czegoś pilno; dwóch bachurów z ojcem, jadących po cóś do rabina i rozpychających bez ceremonii wszystkich dla znalezienia sobie wygodnego miejsca, wreszcie jakiś jegomość (numer drugi) wesół, widocznie napiły, ze skrzypeczką i smyczkiem pod pachą. Gdy się to wszystko spakowało do jednéj budy, a na kozioł siadł jeszcze odarty łapserdak jakiś z tłómoczkiem na kolanach, gdy każdy wciągnął kuferek, węzełek, poduszkę, pudełko, Stanisław ledwie się nie udusił od ścisku zaduchy i różnego rodzaju wy-

ziewów. Jegomość z fajką nie czekając wyjazdu począł kląć i grozić żydowi, tak że o mało nie przyszło między niemi do pojedynku na kułaki, morejne bezcześcił go po żydowsku, jejmość mruczała ciągle powtarzając jedno: ażeby go wszyscy diabli wzięli! bachury piszczały, wesoły posiadacz skrzypki o nią się nieustannie troszcząc, w obronie instrumentu szturchańcami obdzielał na prawo i lewo, aż nareszcie i arka owa wstrzęsła się, konie ruszyły, zabrzęczały dzwonki, bryka kołysząc się posunęła po bruku.

Pokazało się, że brzęczące na dnie jéj szyny żelazne, których było kilkanaście tak ją obciążały, że się ledwie włokła. Nowy tedy hałas na woźnicę, ale ten widać przywykły do niego i ostrzelany, czapką uszy zatknąwszy, na nic nie zważając machnął biczyskiem nad końmi i ruszył jak głuchy nie zważając na reklamacye.

Dwa razy tylko wstrzymano się na przedmieściu, żeby zabrać po jednym żydku, i wciśnięto ich obu do budy, nie bez wrzawy nowéj, krzyku, sporu i bitwy niemal, gdyż i tak było nad komplet. Razem z piérwszą fajką Szmula skończył się bruk miejski, konie zwolniły z oficyalnego kłusa, i naprzód lekkim małym truchtem, wreszcie stępo po piasku poczęły iść leniwie.

Szmul dając dobry przykład, zlazł z wysokości kozła i poszedł piechotą.

Tak się poczęła podróż, któréj niewygód i nudy, ani śmieszności towarzyszów, ani ich oryginalność, ani pole do psychologicznych postrzeżeń okupić nie mogły. Stanisław też nie był w usposobieniu do wyszukiwania śmieszności natury ludzkiéj, a ta gwałtem mu się ze strony brudnéj i pociesznéj przedstawiała w żydowskim dyliżansie. Zresztą, każda z tych postaci tak miała dobitnemi głoskami na czole charakterystykę swoję, że dość było raz spójrzeć, by nasycić ciekawość. Powolny ruch koni, kiwanie się wkrótce uśpionéj części podróżnych, gdéranie czuwających, spory uciśniętych pakunkiem, zaducha, sąsiedztwo zbyt już bliskie nieznajomych, tak wkońcu utrudziły Szarskiego, że w piérwszéj mieścinie do któréj dojechali, postanowił szukać sobie innego sposobu dostania się do rodzinnego kąta. Ale na gościńcu wielkim wszyscy tak się drożyli, wszystko tak było niedostępne, że po krótkim namyśle uwiązawszy niewielki swój tłómoczek do wyłamanego kija, młody poeta postanowił iść pieszo dopóki mu nogi wystarczą.

Rzuciwszy więc za sobą ospałą budę żydowską, odetchnął świéżem powietrzem, z radością mieniając ciżbę na samotną wędrówkę, w któréj był z sobą, myślą i naturą.

Mogłoż być co milszego, jak ten fantazyjny swobodny pochód pieszaka, po gwarnym ścisku bryki,

w któréj nie było ani wygody, ani nawet spokoju. Stanisław mógł się zastanowić nad każdym wdzięcznym widokiem, nad każdém zjawiskiem malowniczém, w którém błyskał promyk myśli Bożéj zrozumiałéj i jasnéj dla niego. Szum odwiecznych borów otaczających gościniec, sunące się po nim zaprzęgi, wozy, ludzie; ruch téj arteryi, którą płynęło życie kraju, otoczonéj głuchą puszcz zamarłych ciszą, dziwnie duszę do poezyi nastrajały.

Na tle zieleni, to wiejski cmentarzyk ze swém ogrodzeniem kamienném i płaczącemi brzozami, to kościołek wymykający się z pośrodka drzew starych, to szara wioseczka przeglądająca się w jeziorku, to dworek bielejący na wzgórzu, to ze wstęgą dymu nad kominem zaszyta w krzewy karczemka, porywały oko i tysiączne rodziły myśli. Były to jakby słowa, jak głoski wielkiéj księgi życia ziemi, mające każda z osobna swe znaczenie, a razem piszące kartę ciekawą, w któréj oko wędrownika czytało przeszłość, teraźniejszość, kto wie? wróżyło i przyszłość może.

Szedł tak Stanisław do wieczora, a przed nocą nadchodzącą zastanowił się w karczmie, do któréj ledwie go przyjąć raczył gospodarz. U nas zawsze pieszy pojedyńczy człowiek, podejrzliwém widziany jest okiem, zwłaszcza, gdy ze stroju jego domyślać się godzi, że mógłby nie iść piechotą. Dano prze-

cież Szarskiemu izdebeczkę, kawałek świecy i trochę siana, po kilkakrotnie powtórzonych prośbach, bo gospodę zajechały były powozy jakichś państwa, którzy za swój miły grosz szumnie i szeroko w niéj się rozgospodarowywali.

Już miał usnąć na posłaniu, które garść siana i płaszcz stanowił, gdy głos jakiś znajomy z pokojów sąsiednich, uszy jego uderzył. Głos ten słyszał gdzieś w życiu Stanisław, choć zmianę czuł w nim wielką, ale mu serce zabiło, szukając w dźwiękach jego przeobrażonych śladów tego, czém się niegdyś odzywał.

Głos to był kobiécy, w którym już ani kropli uczucia, ani odbicia wewnętrznego duszy śpiewu, ani drgania serca nie było: zimny, równy, perłowy, miły uchu, ale przerywany śmiechem sztucznym, wyuczonym, i sam wystudyowany jak śpiew kanarka. Znać było, że osoba któréj posługiwał, choć młoda, już zastygłe miała serce, już się nie poruszała niczém, już świat wypiła do dna, szukając tylko w mętach jego rozrywki.

Szarski wstał i dźwignięty zrazu wspomnieniem, upadł na kolana — był to głos Adeli. Po nim jednym łatwo było poznać, łatwo odgadnąć, co się z nią stało od chwili, gdy niezapominajką i przysięgą nęciła młodego chłopca.

Mimowolnie o uszy Stanisława obiła się rozmowa dwojga młodych małżonków.

On. Ale *ma chére*, nie zabawim tam długo; *d'abord* ja wsi nie lubię i nie pojmuję... życie *assommante. On s'amuse à ennuyer les autres du matin au soir, sous pretexte de salon*... Towarzystwo nie nasze — *cela sent la rouille, cela vous donne des nausèes.*

Ona. Ty, jak zechcesz, *mon prince*, ale ja zabawię u rodziców... mnie tam dobrze... odświéżę się trochę wsią, do któréj przywykłam.

On. *Ma chérie, cela vous parait ainsi de loin, et c'est une faute de perspective*... Z daleka to życie wiejskie jest śliczną sielanką, smakowało ci niegdyś, i zdaje ci się, że dawne impressye znajdziesz wracając do dawnych przedmiotów. *Mais-bah!* zobaczysz, że to co ci wielką sprawiało przyjemność dawniéj, dziś cię do drugiego dnia znudzi.

Ona. To być może! a! bardzo być może! jak się znudzę to wyjadę, ale jeśli mnie to bawić będzie... zostanę póki mi się podoba.

On. Nie myślę być tyranem z komedyi (*un tyran de comedie*) ani żadnym zazdrośnym Bartolo, kochana moja Rozyno — a! rób co ci się podoba... pobraliśmy się nie na to, żeby się tyranizować, ale żeby wieść życie miłe i swobodne.

Ona. Tak sądzę (ziewając); trzeba przyznać, że ta droga po piaskach i lasach bardzo nudna!

On. Bo dla ludzi ucywilizowanych, moja droga, chciéj się o tém przekonać, niéma nic nad miasto.

Tu przynajmniéj życie jest uregulowane (ziewa). A! a! dla ciebie to czynię że jadę Szarskich odwiedzić, ale téj ofiary nie wymagaj drugi raz odemnie. Dobrzy, bardzo dobrzy ludzie—ale jacy wieśniacy!

Ona. Książe się zapominasz komu to mówisz!

On. Bynajmniéj! ale musimy być z sobą na stopie szczerości. . juściż twój ojciec...

Ona. Mości książe!

On. *Chére Adele*, nie gniewaj-że się, oddaję mu wszelką sprawiedliwość, ale jest wieśniak! Kto zamieszkał na wsi, zawsze nią będzie trącić! To nie grzech przecie, *ce n'est qu'un ridicule.*

Ona. A ja!

On. To co innego! Ty wszystko przeczuwasz i zgadujesz... Któżby poznał żeś się wychowała na wsi?

Ona. Prosta grzeczność, ale na stopie szczerości na któréj być mieliśmy z sobą, zupełnie niepotrzebna.

On. Cha! cha! Jak ty się układasz! jak się formujesz!

Ona. Śmieszny człowiek! Jak gdyby kobiéta formować się kiedy potrzebowała! *Mais elle est toute formée d'avance!* Książe wiedzieć przecie powinieneś, że z łona natury (*passez moi la comparaison*) wychodzim całkiem zbrojne jak Minerwa z głowy Jowisza.

On. *Mais vous êtes adorable! quel esprit!*

Ona. Dopiéroś to książe postrzegł! Jak to dla mnie pochlebne!

On (po chwili). Ale wracam *à mes moutons*, do piérwszego założenia. Naprzykład ta podróż sama, z popasami i noclegami takiemi jak dzisiejszy... z takiemi długiemi wieczorami na pustyni... wystaw sobie takich pięć, sześć! *mais c'est à en mourir.*

Ona. To już na stopie szczerości powiedziano, nudzisz się *ze mną* i wyznajesz to otwarcie.

On. Przyznaj, że wcale się nie nudząc z kimś, można, można, *mais enfin, vous comprenez*, można czegoś więcéj lub innego zapragnąć...

Ona. *Prenez garde*, mogłabym i ja to użyć na swoję obronę! Książe wolałbyś może panią F... lub pannę W...

On. A ty pana Władysława lub Julka.

Ona. Kto to wie! Kto to wie! *c'est possible.*

On — całując ją w rękę. *Allons, allons sans rancune.* Dobranoc.

Takiéj to dziwnéj, suchéj, straszliwéj jak stara owa malowana śmierć, świecącéj nagiemi żebrami rozmowy dwojga małżonków, wysłuchał mimowolnie Szarski i zapłakał nad nią.

— A! Boże! — rzekł w duchu, klęcząc jak na modlitwie ze złożonemi rękami — na toż dałeś młodości skarby uczuć, rozkwit tak czarodziejski, polot tak wysoki, nadzieje tak skrzydlate, by w kilku chwilach

za dotknięciem rzeczywistości, wszystko to, wszystko do ostatniego spopielało, zwalało się błotem, porosło chwastami. Taż to moja dziéweczka aniołek i też to są usta, co mi się uśmiechnęły w życiu raz, uśmiechem niezatartym do śmierci! tenże to ideał, przed którymbym był strawił lata w kontemplacyi i zachwycie! O! szkaradnym jest człowiek, okropną natura ludzka, litości godne nadzieje nasze, jedną nogą wiszące nad jutrem — przepaści! Możnaż się tak zmienić, siebie zapomnieć, przeistoczyć i upaść tak nizko?

Głęboka cisza odpowiedziała na te gorące pytania szaleńca, świat cały i ludzi widzącego w świetle swojéj wyobraźni... Spuścił głowę ciężką od troski i padł na ubogie posłanie.

Nazajutrz, nim pańskie powozy ruszyły z gospody, już pieszy nasz wędrownik z kijem w ręku wlókł się drożyną pod lasem, usiłując sobie dowieść prawdę, w którą mu uwierzyć było trudno, że ludzie co lat kilka, co rok może, jak węże zrzucają skórę jedną, by przyodziać drugą. Nie mógł pojąć żywota, którego dwa końce nie spajały się z sobą, nie łączyły, nie były ciągiem logicznym; nie rozumiał pieśni poczętéj westchnieniem i łzami, a skończonéj śmiechem i ziewaniem.

Taką pieśń przecie odśpiewujemy wszyscy chórem... i jak każdy ma w życiu chwilę błysku i rozświtu w któréj mu Bóg dozwala być pięknym, tak każdy ma godzinę poezyi, jedno mgnienie... choć mało kto umrze z pięknością na twarzy i poezyą w duszy.

Szumiały lasy, śpiéwały ptaki, Staś powoli posuwał się drogą swoją, to przysiadając na powalonych kłodach, to spoczywając na rozdrożach, to zamyślając się nad krajobrazami jakie się roztaczały do koła. Każdy z nich żywo mu przypominał wieś, młodość, kątek rodzinny.

Serce mu biło i żądzą i strachem; zbliżał się ku swojej zagrodzie i lękał prawie ją zobaczyć, by duszy nie wypłakać.

Minęły go powozy książęce, przesunęła się przed nim blada twarzyczka Adeli uśpionéj w karecie i z wielkim wdziękiem spartéj na poduszkach. W tę samą stronę biegli oboje, ale z jak różnemi myślami! On po wspomnienia tylko, ona po tryumfy próżności; dwoje dzieci, nie dawno szczérze rozkochanych w sobie, teraz dzielił cały świat najrozmaitszych zapór, granic i przesądów.

Cóż że serca zabić mogą wtórując sobie, gdy ani usta przemówić, ani się już dłonie zbliżyć nie potrafią!

Poczwałowały powozy i myśl poleciała za niemi w świat, w szeroki świat!

Ale znać przeznaczeniem było podróżnego, doznać w téj krótkiéj wędrówce najrozmaitszych wrażeń i spotkać najniespodziewańsze głosy, któreby go rozkołysały na długo, zostawując po sobie niestarte w duszy wspomnienia.

Wieczorem znowu, w miasteczku szukając gospody trafił na żydowskie domostwo, w którém koczyk i bryczka świadczyły o przybyłych przed nim podróżnych. Dzieliły go od nich znowu tylko drzwi nieszczelne żydowskiéj klétki, podzielonéj na ciasne izdebki, żeby w przypadku gości jak najwięcéj ich pomieścić się mogło, choć najniewygodniéj. Usłyszawszy obok głosy kobiéce, nieznane mu ale pełne wdzięku, Staś przypominając sobie nocleg wczorajszy, upadł na twarde łóżko, niechcąc podsłuchiwać sąsiadów, bojąc się pochwycić słowa, któreby go znowu wwiodło na drogę rozpaczliwych narzekań. Nakrył się z głową płaszczem i probował usnąć, ale sen odleciał od niego, myśl tęskna unosiła go na skrzydłach swych w kraje nieznane, nareszcie rozbudzony począł marzyć, nie postrzegłszy się z jaką roskoszą kołysał go dźwięk czystéj, harmonijnéj jak śpiéw, wesołéj rozmowy dziewczęcéj.

Z mroku niezrozumiałych szmerów, uśmiéchów, wyrazów, wypłynęła naostatku jakaś harmonijna

pieśń... coś jakby śpiew cichy, mierzony, przez który mówiła pełna muzyki i poezyi dusza... Ktoś obok czytał głośno, i o! podziwie! przestrachu! radości! Stanisław poznał w słowach tych spadających powolnie z ust niewidzialnych— własną myśl, dziecię swoje, to *pożegnanie z domem*, które krwią pisał i łzami.

W piérwszéj chwili dał się unieść roskoszy chwytania dźwięków tych z uczuciem dumy prawie, olbrzymiał, rósł, podnosił się— ale gdy w głosie nieznajoméj zabrzmiała silniéj dusza, zadźwięczały łzy srebrzyste, jęknęło serce, łzy potoczyły mu się z oczów.

Uczuł, że Bóg chyba chciał mu wczorajsze wynagrodzić dzisiejszém, i znów białym szaty krajem pokryć ten całun czarny, który mu wszystko zasłaniał.

— A! moja mamo, odezwało się dziéwcze— jakież to śliczne— jak on czuć musiał żeby tak napisać! jak mu to wprost ze zranionego wypłynęło serca!

—Moje dziecię,— odpowiedział poważniejszy głos niewieści— nie wiem, nie wiém czy to w czém ty czujesz serce, koniecznie sprawą jego pozostało! Poezya, mój aniele drogi, jest w tobie; mógł być zimnym kto ją stworzył, ale ty czytając ogrzałaś ją uczuciem młodéj duszy...

—O! nie! nie! matuniu, przerwało dziéwcze—

fałsz dałby się uczuć zaraz, zdradziłoby go słowo, odkryłby się jedną nutą drżącą, zaszeleściałby w nim mróz... Ja czuję, że on bolał!

Staś chciał się porwać, biedz, upaść do nóg nieznajoméj i podziękować jéj że uwierzyła w prawdę słów jego, ale prędko się upamiętał, spójrzawszy na swą ubogą odzież, na bladą twarz, na dziwną postać swoję.

—Niech ci to Bóg nagrodzi!— rzekł w duchu— niech ci tę chwilę, piérwszą w życiu mojém i pewnie ostatnią, czystéj roskoszy, aniołowie zaniosą na drugi świat lepszy w wieńcu zasługi; o! bo głos współczucia jednego serca pociesza za urągowisk tysiące.

Szmer tylko jakiś i nic już więcéj słychać nie było. Staś obawiał się odetchnąć, ruszyć, by nie stracić słowa, ale śmiéch tylko rzewny jakiś, poczciwy i szepty dochodziły do niego, a w nich czuć było macierzyńskie pieszczoty, łaszenie się dziecięcia i jakąś woń miłości rodzicielskiéj, świętéj, niewinnéj, pełnéj poświęcenia i zrzeczenia się siebie, która rozchodziła się aż ku niemu. Nie mógł wytrzymać Szarski, by okiem na obraz który był przed nim nie rzucić... chociaż jak świętokradztwo prawie wymawiał sobie, że go śmiał dotknąć źrenicą.

I przez szczelinę, w świetle ogarka zobaczył całkiem flamandzki obrazek.

Kobieta już niemłoda, uśmiechnięta błogo, ale razem zamyślona smutnie, zadumą wieku, który z najczystszéj radości tworzy sobie przeczucia smutków, siedziała przy stole; na jéj ramieniu spoczywała głowa dziéweczki ze spuszczonemi oczyma, ładniuchnéj jak aniołek, roztkliwionéj, rozmarzonéj, Bóg wié o czém, Bóg wié o kim!

To zjawisko senne ujrzał tylko Szarski przelotem i nie śmiejąc napawać się niém dłużéj, odszedł na swój barłóg sierocy. Po chwili ozwała się śpiéwka nucona cicho... i szmer modlitwy, i błogosławieństwo wieczorne... i milczenie jak noc czarne.

Nazajutrz wstał przededniem podróżny, by nie stracić widoku téj twarzy, z któréj obrazem usnął tak błogo; wybiegł nad drogę, stanął jak żebrak na kiju sparty i czekał póki nie nadjedzie nieznajoma. Ujrzał ją wesoło usmiéchającą się do poranku, z otwartemi niebieskiemi oczyma na cudny świat, rozpromienioną, prześliczną... ale zaledwie przelotném spójrzeniem musnęła go obojętna i powóz posunął się daléj.

Probował Szarski wprzód jeszcze dowiedzieć się coś o przejeżdzających od ludzi, szpiegował u żyda, ale ludzie zbyli pieszaka żarcikiem, a żyd uląkłszy się jego nalegania, ruszył tylko ramionami i zamilkł jak kamień.

Wieleż to razy tak w życiu przeleci mimo nas

szczęście, uśmiechnie się, a! i nie dogonić go więcéj.

Ku południowi, na wielkich piaskach pod L... u-znojony pochodem poeta, ostatkiem sił dobijał się do gospody, gdy znowu powolnie jak on wlokące się drogą powozy zwróciły jego oko.

A że w tém miejscu i piesi i jezdni wymijając wydmę, wązką drożyną po nad laskiem przedzierać się musieli, Stanisław miał czas przypatrzeć się ludziom, których mozolnie dźwigały najęte szkapy żydowskie.

W taborze tym, pełnym pakunków, ciężarów, tłomoczków, było coś wielce śmiesznego. Powóz główny wyglądał jak beczka śledzi, tak był przepełniony ludnością, a za nim jeszcze dygocząc się na tłomoku wysoko podpiętym, ze zwieszonemi nogami, jechała rozespana dziewka w szarym kubraku. Za koczykiem szła bryczka równie nabita i wóz ładowny, pod którym dzwoniło blaszane wiaderko. Zdziwił się nie pomału Staś, ujrzawszy pomiędzy gromadą głów w koczu, znajomą sobie dobrze twarz Bazylewicza, ale niemniéj znać zdumiony krzyknął dawny towarzysz, gdy podwakroć wracając do obejrzenia pieszaka, znalazł w nim Szarskiego.

Wykrzyk Bazylewicza przestraszył gromadę dzieci, rozbudził państwo, poodwracał sługom głowy, a Podolak korzystając z zamięszania, wyrwawszy

się z między uciskających go różnego rodzaju figur, skoczył na piasek do Stanisława śpiesząc.

—Co to jest? co ci się stało? gdzie ty idziesz?

—Jak widzisz, w moje strony; tyś pieszo szedł, ja powracam pieszo, ot cała różnica; jam się nie dziwił wówczas, dziś ty się nie dziwuj proszę.

—Ale ba! cale co innego iść, a co innego powracać— odparł Bazylewicz krzywiąc się na to wspomnienie— cyt! ciszéj!

—A ty dokąd?

—Ja na wakacye z bardzo godnym domem państwa Kłapciów, w tutejsze strony właśnie; jesteśmy już o parę tylko mil od domu. Podjąłem się na jakiś czas wychowania pary tych smarkaczów, którzy tam z budy wyglądają... Ale to— dodał po fanfarońsku— więcéj czynię dla odetchnienia świeżém powietrzem niż z innych powodów. - Wiedzieć masz, że podkomorzy Kłapeć jest majętny człowiek... mówią o nim że jeśli pożyje, do miljonika dojedzie; córki będą miały po półtorakroć... zdaje mi się, że starsza da się rozpoetyzować.. rozśmiał się Bazylewicz— mógłbym się ożenić, chociaż między nami mówiąc, spodziewam się czegoś lepszego.. Ale jadę na wieś także żeby trochę popracować, mam massę idei .. poemat! tłumaczę Fausta Goethego i Luizijadę Camoensa... z powrótem do Wilna wydaję zbiór dawnych poetów, który mi powinien

niezłą zrobić sumkę, jużem to obrachował. Bilety idą, bo je doskonale rosposażyć umiem: łaję kto nie bierze za nieczułość ku literaturze .. nie uwierzysz co to za giętki i dobry temat do deklamacyi, i jakiemi się za wystrzępienie trochę gęby wypłaca owocami... dla czego idziesz pieszo?

— Bo koni za co nająć nie mam, a nogi są darmo— rzekł smutnie Szarski.

— To dziwna rzecz, jak ty nędznie wychodzisz z twoim talentem, bo przecie masz rodzaj talentu! Może czego potrzebujesz, mów, chociaż rzeczywiście tak jestem w téj chwili goły! a podkomorzemu nie chciałbym się uprzykrzać!

— Bądź spokojny, szybko odpowiedział Szarski— i nic nie potrzebuję i niczego mi nie brak.

— Zresztą, dodał Podolak, z innéj strony to biorąc, zazdroszczę ci nawet téj podróży, to daje myśli.

— Ale trochę siły odbiera.

— Ba! a młodość! I począł deklamować:

Młodości! ty nad poziomy!

Wtém łysa głowa w włóczkowéj czapeczce podkomorzego Kłapcia, wysunęła się z powozu i poczęła kręcić nosem na widok Bazylewicza, który z prostym jakimś, *per pedes apostolorum* idącym człowiekiem, za pan brat rozmawiał. Znać było na

téj facyacie pociesznéj, w drganiu nosa, w przymrużaniu oczek i wykrzywianiu ust, że mu to w smak nie szło.

— Panie! Panie! zawołał wreszcie ochrypłym głosem, coraz się więcéj wychylając — prosimy. . bo pojedziemy!

Bazylewicz poskoczył i widać było że bardzo się starał akomodować podkomorzemu, bo nawet uściskiem ręki nie pożegnał się ze Stasiem.

— No! a toż co za znajomość! odezwał się pan Kłapeć do wsiadającego i gniotącego mu pedogryczne palce Bazylewicza— aj! aj! co to za człowiek?

— To... mój dawny kolega z akademii— dziwak osobliwszy! rzekł Podolak wymawiając się dorywczém kłamstwem. Czybyś asan dobrodziéj uwierzył! człowiek bogaty... wcale bogaty! a ot tak, jedynie przez śmieszną fantazyę, odbywa podróż sam jeden i pieszo!

— Człek bogaty? powiadasz pan? przerwała pani Kłapciowa poprawując czépka i spoglądając na Emilkę córkę swoję, któréj nos nieładny naprawić miał półtorakroć stotysięczny posag po najdłuższém życiu rodziców. I młody! i dziwak!— A jakże się nazywa? a kto go rodzi?

— Nazywa się Stanisław Szarski.

— Jedna Szarska poszła za księcia Jana.

— Stryjeczno-rodzona jego siostra...

—Pss! to osobliwszy dziwak; ale któż go rodzi?

—Podobno baronówna von Petersdorf— odpowiedział szybko i bez zająknienia Bazylewicz.

—Kiedy *dorf* to być musi z Inflant, dodał podkomorzy— ja to już tego jestem pewny...

—I piechotą chodzi!.. piechotą! dorzuciła pani Kłapciowa. Możeby go poprosić na obiad przy popasie, żeby się poznać, ale wszystkiego mamy półtoréj kury i kaszkę na bulionie, nie wiem czyby wystarczyło. Młody, bogaty... powtarzała pani podkomorzyna— i rodzi go baronówna— jak, panie Bazylewicz.

—Baronówna von Paulinsdorf.

—Piękna to jakaś być musi familia... A gdyby kupić mięsa na bifsztyk, kochańciu? spytała żona zamyślonego pana Kłapcia.

—Jeśli dostanie, a nie drogo?

—No, ale czy się da zaprosić, ten jak się Furmansdorf.

—Szarski!

—Tak, Szarski, ale jak się darmo mięso kupi?

—Kto go rodzi? przerwała podkomorzyna, zapominam.

—Baronówna von Matthiasdorf, pani dobrodziejko... rzekł Bazylewicz roztargniony, plotąc co mu na myśl przyszło.

—Śmieszna rzecz, że tych cudzoziemskich na-

zwisk ani sposób spamiętać! szepnęła podkomorzyna ruszając ramionami.

—I wątpię, żeby się dał zaprosić, przerwał Bazylewicz— bo to dziwak osobliwszy, tai się ze swojém urodzeniem, z bogactwem, udaje biédaka.

—Inflantczycy... generalnie dziwacy, zawołał pan Kłapeć... znałem jednego, który literalnie, panie dobrodzieju, jadł tabakę i połykał całe laski laku; słychana to rzecz?

—Istotnie, potwierdził wpół żartując, wpół seryo Bazylewicz, chociaż on się tylko rodzi z inflantskiéj familii.

—A taki dziwactwo jest! z tryumfem dorzucił podkomorzy— generalnie tak! generalnie! co Inflantczyk to dziwak...

—Pan nie wié czy nie ma on intencyi ożenić się? dopytywać poczęła Kłapciowa.

Emilka zapłoniła się.

—Wątpię, rzekł Podolak, kobiétami się brzydzi.

—Inflantskie dziwactwo! szepnął podkomorzy, nic innego...

—A daleko się został? żeby go choć zobaczyć? oglądając się spytała pani.

—Już ani widać, zamykając rozmowę upewnił Bazylewicz...

—Szkoda! możeby taki wystarczyło kury i

kaszki; jabym sobie kazała co innego zgotować i podać osobno...

—A! Jejmość zawsze swoje! ruszył ramionami pan podkomorzy trochę zniecierpliwiony—gdzie? na co? po co? fi! do czego!

I nie chcąc przy obcym jaśniéj się tłómaczyć zamilkł pan Kłapeć, gwałtownie się tylko zżymnąwszy.

Pani podkomorzyna zamilkła także, a panna Emilija ukradkiem wyglądać poczęła za powóz, za którym jednakże nic widać nie było, oprócz bryki, piasku i sośniny. Stanisław pozostał daleko.

Nie wiém już którego dnia swojéj podróży, przysiadując się niekiedy na chłopskie wózki, gawędząc z powożącemi Litwinami, to znowu wlokąc się pieszo lub podjeżdżając na wracających koniach pocztowych, słowem dobijając się jak mógł ku rodzinnéj stronie, Stanisław ujrzał nareszcie okolicę znajomą i przestraszony zatrzymał się na widok Krasnegobrodu, nie mogąc wprost udać się do rodziców, skazany na powitanie ich tylko myślą zdaleka.

W dali ciemniały mu zarośla, lasek, dach dworu, stary młyn wodny, kościołek i dwa znajome kominy; cichy zakąt wyglądał tak jeszcze, jak gdy Stanisław witał go ze szkół wracając; nic nie zmie-

niony, ten sam, tak, że drzewa otaczające poznawał i liczył, witał wierzchołki lip starych, a nic, nic nie świadczyło o kilku upłynionych latach!

Dopiero w obec Krasnobrodu, Szarski począł szukać środków zbliżenia się do niego tak, by mógł widzieć nie będąc widzianym. Myślał zrazu zajechać do karczemki, ale żyd doniósłby o nim do dworu; chciał potém w sąsiedniéj osiąść na czas wiosce, ale i tam poznaliby go nieustannie z Krasnobrodu przychodzący ludzie, nareszcie przypomniał sobie list doktora Brant'a do pana Płachy, i postanowił wprost jechać do Jasiniec.

Jasińce dzieliło od wioski pana sędzi go, błotko tylko, gąszcz nizkich zarośli i bród długi, od którego miejsce to wzięło nazwanie; przezeń to właśnie szła granica dwóch posiadłości oznaczona dwóma wielkiemi omszonemi kamieniami, od wieków wgrzązłemi w piaszczyste dno moczaru. Stanisław nie znał Płachów, bo spór o granicę przejęty po pradziadach, różnił dwie rodziny, a Płacha stary i młody uchodzili za dziwaków, nie bywali prawie nigdzie i nie widywano ich tylko w kościele i na zjazdach obywatelskich.

Słyszał coś o nich Szarski, ale niewiele mógł z tego wnioskować, i na oślep wiozącemu go chłopku kazał się skierować do Jasiniec, ufając listowi doktora, a więcéj pomocy Opatrzności.

Potrzeba było przejeżdżać przez grunta Krasnobrodzkie, i Staś z głębokiém wzruszeniem ujrzał się na znanym kawałku ziemi, witając krzyże naddrożne, kamienie stare, każdy zagon, każde wzgórze i drzewinę...

Była chwila, że z małego garbku ukazał mu się dziedziniec dworu, wśród którego mógł dostrzedz osoby chodzące po nim, policzyć zabudowania, obejrzeć cały Krasnobród— i serce poczęło mu się coraz gwałtowniéj wyrywać do ojca, matki, braci, ale zawrócić tam nie mógł!!

Smutny tak, przejechawszy zarośla, błotko, ulicę topolami kanadyjskiemi sadzoną i maleńki dziedzińczyk, stanął przed dworkiem, który wyglądał zaledwie nieco porządniéj od prostéj chaty włościańskiéj.

Widać w nim było pomieszkanie szlachcica, który nie dba o wdzięki, bo musi pracować na chléb w pocie czoła, ale zarazem czuć było przy ubóstwie rząd dobry i stosunkową zamożność, bo to podwórko, ten dworek maleńki i całe obejście, schludne były, czyste i utrzymane starannie. Ganek zabudowany deskami w pas, z ławkami przy ściankach, poprzedzał domek i przed nim wysiadłszy Stanisław rozpatrywał do kogoby to udać się, by pana wynaleźć, gdy mężczyzna lat około trzydziestu mający, z fajeczką w ustach, wyszedł z drzwi

bocznych i stanął na progu. Była to postać wzniosła, barczysta. silna, z twarzą ogorzałą, z wąsem ciemnym obfitym, wpół żołnierska, na wpół szlachecka, coś myśliwca i gospodarza, typ jakich dzisiaj niewiele, bo wtedy nie zniewieściały jeszcze.

Na widok papiéru, bo Stanisław naprzód listu dobywać zaczął, zmarszczył się gospodarz i wziął przybylca za kogoś żyjącego z pióra i kałamarza, a że się gryzipiórkami brzydził, zacofał się aż do progu; dopiéro spójrzenie powtórne na młodego człowieka, którego twarz pełna łagodności i wdzięku wzbudzała zaufanie, skłoniło go do pozostania i zbliżenia się do gościa.

— Daruj mi pan — rzekł Stanisław, że nadużywam praw gościnności, ale mnie ośmiela i wprowadza list krewnego pańskiego, doktora Brant'a.

— A! to pan nie z kursoryą! zawołał śmiejąc się gospodarz — przepraszam, ale takem się papiéru nastraszył, myśląc że broń Boże patet jaki. List od Brant'a! jak Boga kocham, to cud! lat dziesięć poczciwiec do nas literki nie napisał. A! patrzcie i do ojca mojego adresuje; gdy ten od lat trzech w grobie biedny spoczywa!.. Pozwól-że mi pan rzucić okiem na list, dowiem się może jak mam mu służyć.

To mówiąc, gospodarz poszukawszy światła począł z dość widoczną trudnością syllabizować list,

odjąwszy od ust krótką fajeczkę i nie bez pracy i potu doszedł jakoś do końca... Żywo podał namulaną rękę Szarskiemu.

—I bez listu, rzekł, zawsze uboga chata szlachcica otwarta i rada gościowi; chodź pan do środka, przyjmij na co stało, wykwintu nie znajdziesz, dostatek mierny, ale serce szczere i życzliwe... Każ pan zaraz znosić rzeczy, odpraw chłopka, i bez ceregielów rozgość się, jesteś u kawalera .. Nas dwóch na dworek, aż szeroko nam będzie...

Tak się jakoś od razu rzeźwo poczęła znajomość, a Płacha gościa ośmielił do tyla, że Szarski powoli nabrał odwagi, nadziei i przestąpiwszy próg ubogiego dworku, uczuł jakby do portu dopłynął— mógł spocząć nieco w niezupełnie już obcym domu.

Wewnątrz jak po wierzchu chata to tylko była czysta i porządna, w któréj wykwint i myśl zbytku nie postała, ale pomimo to, swobodnie i wesoło było w jasnych, białych, wyświeżonych izdebkach. W piérwszéj kominek, siny piec kaflowy, stół z klapami, sofka wygodna, i na ścianie portret księcia Józefa, a obok flinta i skrzypka, były całą éj ozdobą; z drugiéj wyglądało łóżeczko, kufry i zasób kawalerski, myśliwski i gospodarski...

—No, jakże się tam ma poczciwe Brancisko? spytał Płacha posadziwszy gościa— mało ja go znam,

ale wiém że to najpoczciwsze człeczysko. Jak mu się tam powodzi przecie?

—Jak wszystkim poczciwym ludziom—nie bardzo dobrze idzie, bo się o to nie bardzo starają; ale koniec końcem, jest chleba kawałek i miłość u ludzi.—Wybiera się tu kiedyś do was.

—A! tak zapewne jak się zbierał pisać, odpowiedział śmiejąc się Płacha—nim się namyśli i upakuje my i dzieci nasze poumieramy! Ale co to dziwnego? gdzie komu dobrze niech siedzi! Nawet że nie pisuje i tego mu za złe nie mam, bo ja sam wiém jak to się ciężko wziąć do pióra; nieraz cztéry tygodnie na kwitek się zbieram, plunę w końcu i wyrzeknę się .. papieru cierpieć nie mogę, a atramentu nie wiém czy kropla w domu się znajdzie. Ostatnią razą posyłałem aż do Moszka arendarza po kałamarz.

To mówiąc, z wesołym uśmiechem przysiadł się poczciwy Litwin do gościa, położył rękę na jego kolanie, i z dobrodusznością spytał go po cichu.

—Cóż to pana tu przypędziło?

—Co? tęsknica!—rzekł ujęty całkiem Stanisław.

—Bądźmy szczérzy jeśli przyjaciołmi być mamy—rzekł po chwili Płacha; doktor mi tam cóś pisze, ale ja pisanego nie bardzo rozumiém—to umarłe słowa; powiedz mi pan to żywemi... Jakże? Wszak Szarski jesteś? słyszeliśmy cokolwiek o pańskich przygodach—Chcesz się widzieć z rodzicami? prze-

prosić ojca? daruj natrętności, alem ja prosty człowiek i mówiąc rąbię jak myślę.

— Wszystko panu opowiém w krótkich słowach, odezwał się Stanisław ze łzami w oczach i głosie:— Jestem winien przeciwko ojcu, bom go nie usłuchał, poszedłem za moją wolą nie za jego, wyrzekł się mnie! .. Zniosłem to jako karę zasłużoną, ale srodze zatęskniło serce za swojemi, chciałem choć zobaczyć kątek rodzinny... bo do Krasnobrodu mi nie wolno...

Płacha słuchał poważnie, z uczuciem głębokiém, jak tylko ludzie prości a szczérzy słuchać umieją — przeszedł się po izbie kilka razy.

— Serce sobie rozraniasz, rzekł, oczu nie wypłakuj darmo... nie mówmy więcéj... Poczciwe uczucie prowadziło cię tutaj, Bóg mu pobłogosławi może...

I podał rękę gościowi.

— Pamiętaj, pan, pamiętaj, dom mój, dom twój— gospodarz z czeladką na usługi, rozporządzaj nami... szczérze proszę...

— Nie wiész pan co się dzieje w Krasnobrodzie?— spytał podziękowawszy mu Stanisław.

— Nic nie wiém; Krasnybrod dla mnie jakby o mil dziesięć. Sędzia patrzeć na nas nie może, bo się wciąż kłócim po staremu o granicę, zresztą ja z nikim nie żyję, nie widuję się, siedzę jak pustelnik; to tylko wiém, że tam zdrowi wszyscy. Sędzia mi się cza-

sem przemknie przed oczyma na poletku... i tyle tego. Ale powiedz kochany panie z kim się chcesz widzieć? jak tam przystąpisz? co sobie poczniesz?

— Ja!... ja sam nie wiém, odpowiedział Stanisław, z daleka popatrzę na wioskę naszę, popłaczę, pomodlę się, i powrócę.

Gospodarz się zamyślił, a że pora wieczerzy nadchodziła, wyszedł wkrótce nią rozporządzić, więcéj dumając o Stanisławie niż o niéj. Przerwała się jednak rozmowa i wróciła do rzeczy obojętnych.

Po ciężkiéj podróży, pełnéj wrażeń, ale pracy też i niewygody, Stanisław pod tą słomianą strzechą, nad błotami których mieszkańcy śpiewali mu pieśń z dzieciństwa znajomą, lżéj i swobodniéj oddychał, dziękując Bogu w duszy, że mu się dozwolił dostać do tego skromnego dworku, w którym go spotkała gościnność wygnana już ceremonijami zkądinąd. Przyjęcie było proste, ubogie, ale pełne serca i otwartości, zaprawne tą chęcią przymilenia się, dogodzenia gościowi, która należała do starych zgasłych cnot szlacheckich. Sam Płacha od piérwszego wieczora cały mu się jak na dłoni odmalował, a nie był to mimo pozoru, pospolity człowiek. Dusza pełna poezyi, głowa myśli pełna, serce wezbrane uczuciem, ale to wszystko zostawione samo sobie, w najdziwniejszy sposób, o swych siłach się wykształtowało. Płacha zaledwie skończył trzy klassy powiatowe i

niecierpliwy, do życia wiejskiego powrócił. Najulubieńszém jego zajęciem było gospodarstwo i myśliwstwo, i żywot pod gołém niebem, wśród wieśniaków; najukochańszém schronieniem chata własna, ciepła, cicha, w któréj mógł robić co mu się zamarzyło, ubrać się jak mu było wygodniéj i mówić co pomyślał. Nie cierpiąc przymusu, udawania i ceremonii, nie mógł się pogodzić ze światem dalszym, który zawsze pewnych ofiar wymaga, ani też myślał się weń puszczać i wystarczał sam sobie.

Pomimo najzupełniejszéj ciemnoty w przedmiotach naukowych, Płacha był poetą, usposobienie miał marzycielskie. Całemi wieczorami zasłuchiwał się nad bajkami i pieśniami ludowemi, wygrywał na skrzypeczce śpiewki i tańce wiejskie z ogniem i akcentem dzikim ale pełnym charakteru; a niezepsuty sercem, pędził dni szczęśliwe w sferze, w któréj się czuł jak ryba w wodzie, i tak był rad ze swego położenia, majątku i życia, że nie mieniałby był ich na żadne inne.

Wielki łowiec i kochanek natury, znaczniejszą część dnia spędzał ze strzelbą w polu, w lesie, to słuchając ptaka, to przypatrując się obyczajom dzikiego źwierzęcia, to roskoszując się widokiem okolicy, którą kochał nad wszystkie.

Ludźmi się nie brzydził jak piórem, papierem i książką, ale się bez nich łatwo obchodził, a w sto-

sunkach szukał swobody i najwyżéj ją cenił. Wciąż obcując z naturą, z żywą pieśnią i poezyą żywą, nie dziw że utworów sztuki nie rozumiał ani ich lubił. Powiadał, że żaden poemat nie wart śpiewki ludu nuconéj na polu z towarzyszeniem wiatru, skowronka, woni wiosennéj i słońca, a żadna powieść nie może iść w zapasy z prostą baśnią opowiadaną przy łuczywie na wieczornicy lub doświtce.

W domu prócz kalendarza i Złotego Ołtarzyka nie miał też nic drukowanego, i prawie był zapomniał pisać i czytać, tak go oba te zajęcia niecierpliwiły i męczyły.

—Cóż tam może być w książkach?—rzekł zaraz piérwszego wieczora Stasiowi, widząc ich kilka w jego tłómoczku. Co tam być może czegoby wprzód nie było w świecie żywym, w żywéj mowie, to tylko zasuszone ziółka bez barwy i zapachu! Trzeba jeszcze odgadywać jak były malowane i czém pachniały za życia. U mnie poezya panie, to gdy na pogrzebie zawiedzie chłopka od serca żalem, co mi i łez dobędzie i pierś rozedrze, poezya, gdy się wśród wesela odezwą z odwieczną pieśnią korowaju! gdy na łanie chórem zahuczą mi żniwiarze... a wasze tego wszystkiego naśladowania! ho! ho! daleko im do oryginału! I muzyki też dla mnie nie ma jak wiejska i prosta, to zboże co karmi, a wasze sztuczki, wódka już wydystylowana, która spoi, ale nie pożywi.

Takim był pan Płacha; spotkanie tego dziwnego człowieka, któremu mimo umyślnego zdziczenia nie można było odmówić wielkich przymiotów serca i głowy, należało do najbardziéj zajmujących wypadków podróży Stanisława, i uczyniło na nim niespodziane wrażenie. Umysł ten świéży, nie nadziany nauką, nie skrzywiony mimowolném naśladownictwem, często błyskał zupełnie niespodziewanemi i samoistnemi światłami, w których znać było energią ducha i silne piętno wyciśnione na niém przywiązaniem do swéj ziemi, kąta i zagona, do całego tego czarodziejskiego kręgu z którego nie wychodził. Sąd jego bywał fałszywy przez niewiadomość, przez namiętną jednostronność, ale dziwnie się odbijał ze swą porywczością, prostotą, siłą, przy bladych, pospolitych, nieśmiałych i startych wyrokach ogółu. Wszystko brał ze strony poetycznéj, błyszczącéj, jasnéj, i wejrzenie jak wiarę miał całkiem ludową — ludu z którym żył, namiętności, wady i cnoty, jego poezyę i ducha.

Na dobitkę jeszcze, co go w tym stanie zdziczenia na wieki przykuć musiało, to nieszczęśliwa miłość, dla prostéj wiejskiéj dziewczyny; — brakło mu jeszcze trochę odwagi by się z nią ożenić, a już opuścić jéj nie mógł. Horpyna od dawna jak pani rozkazywała na dworku, którego prawa strona do niéj należała, i piastowała już na ręku dwuletnią dziecinę. Płacha

walcząc z sobą, sam nie wiedział na czém skończy, ale miłość przerastała już w przywiązanie i nałóg, wcielała się w jego życie. Może być, że oprócz innych powodów odstręczających go od świata, i to położenie jego stawało na przeszkodzie do wejścia w społeczność, krzywém spoglądającą okiem na to, co się śmie zbyt jasno i śmiało ukazywać przed nią, a nie godzi się z jéj prawami; wyzywać się zdając, zamiast przebaczenia prosić. Nie idzie tu tyle o sam występek, co o formę. Płacha musiał żyć z sobą, bo wszyscy wiedzieli o miłości jego dla wieśniaczki, a choć to dziéwcze było i wdzięczne i poczciwe i przywiązanie do niéj pana Płachy wkrótce miało być przez kościół pobłogosławionêm, jakże szlachcicowi przebaczyć ożenienie jego z prostą chłopką? Gardząc temi z któremi zrozumieć się nie mógł, Płacha często na prostéj kałamaszce obok Horpyny jeździł w święto do kościołka parafialnego i nie wstydał się jéj, umyślnie pokazując że drwi z ludzkich języków; ale też od czasu jak się tak parę razy wybrał z nią na nabożeństwo, nikt już do niego nie gadał.

Drugiego dnia pobytu w Jasińcach, Szarski uczuł się tak złamanym i słabym, że zmuszony został przez okno tylko swéj izdebki poglądać na dwór Krasnobrodzki, a gospodarz widząc go podupadłym na siłach i chorym prawie, nie pozwolił mu wyjść krokiem. Zrobił nawet dla niego tę ofiarę, że sam wy-

siedział z nim zamknięty dzień cały i w kilkanaście godzin tak się dobrze poznali, jak gdyby z sobą wiek cały przeżyli. Oba nie umieli się taić, potrzebowali wynurzać, zwierzali się więc sobie wzajemnie przygód, uczuć i myśli. Płacha, nieprzywykły do takiéj przyjacielskiéj spółki, ciągle był wzruszony głęboko, łzy mu się nieustannie kręciły pod powieką, ściskał rękę młodego chłopca, ale gdy został wezwany do rady, nic znaleźć nie umiał. Rada jego ograniczała się tak prostemi i gwałtownie do celu zmierzającemi środkami, że Staś użyć ich nie mógł.

Nazajutrz tęsknica, która tu przygnała Szarskiego, wywiodła go z domku pod wieczor, wyrwał się i poszedł sam w pole. Przez błotko i bród były kładki, które suchą nogą przejść je dozwalały, a raz na drugą stronę się dostawszy, na ziemi własnéj nie potrzebował Staś przewodnika. Uniesiony uczuciem pognał znajomą drogą wprost ku dworowi Krasnobrodzkiemu... dopiéro gdy się ku niemu zbliżył na staje, gdy żywo stanął przed jego oczyma surowy ojciec, zadrżały pod nim nogi, zakręciła się głowa i usiąść musiał na brzegu rowu. Tu pogrążony w myśli byłby może noc całą przesiedział, poglądając na drzewa ogrodu i kominy dworu, którego dach całą drogą mu rodzinę pokrywał, gdyby głos silny nie zabrzmiał nad jego uchem.

—No! a kto to! co ty tu robisz?

Po schrypnięciu i akcencie właściwym, poznał przelękły zrazu Szarski, trochę podpiłego Falszewicza, który powracał z karczemki od arendarza, ale że zakazano było dawać mu wódkę, żyd go nigdy całkiem nie poił, znał miarę jego głowy i kwaterką zaspokajał nieugaszone pragnienie.

Falszewicz często używany do gospodarstwa i niejako obowiązany do pilnowania porządku we wsi, zbliżywszy się do siedzącego i przy blasku zorzy wieczornéj poznawszy Stanisława, krzyknął z podziwienia:

— A pan tu co robisz? Jezu Chryste!

Stanisław powstał zmięszany.

— Widzisz, rzekł, patrzę na dom i płaczę.

— A! gdyby się pan sędzia dowiedział, zmiłuj się pan! uciekaj! Szczęście jeszcze, że leży chory!

— Chory?— zawołał syn łamiąc ręce.

— E! nic, tak sobie, nogę przytłukł trochę. Ale po co pan tutaj? Jak? dalibóg, nie rozumiém; czy mara, czy zjawisko... co pan myślisz?

— Myślę, że powiész o tém żeś mnie tu widział, matce, siostrom, braciom; o kilkanaście od nich kroków czekam, może wybiegną zobaczyć się ze mną... może mnie pocieszą?

— A! gdzie ja się tam będę w to wdawał, zatykając uszy zawołał Falszewicz — o tobym sobie napytał biédy, gdyby się sędzia dowiedział... Kobiéty to

zawsze, z przeproszeniem, gadatliwe, wyszeplałyby się... daj mi pan pokój! to być nie może!

—I może być i będzie!—rzekł stanowczo młody człowiek—ty masz dobre serce, i...

—Zapewne że mam dobre serce, ale i głowa niczego, a głowa serca nie puści.

—Tylko jednéj powiész matce.

—Dalibóg nie, nie, nie... idź pan sobie z Panem Bogiem, i niech to tak będzie, żem ja pana nawet nie spotkał i nie widział.

—Jeśli mi odmówisz, pójdę sam do dworu.

—Umywam ręce, umywam ręce!—rzekł Falszewicz—nie chcę znać, nie chcę wiedzieć! Pan wié, że gdyby sędzia zwąchał, bez ceremonii gotówby mi za pośrednictwo dać na kilimku trzydzieści, jeśli nie pięćdziesiąt.

—Gorzéj będzie...

—A już gorzéj być nie może!

Falszewicz począł się cofać ku dworowi, ale Stanisław dowiedziawszy się od niego, że ojciec leży w łóżku, pośpieszył za nim drogą. Preceptor ciągle się niespokojnie oglądał, i widząc że się od Stanisława nie wykręci, a przybywszy z nim razem o spółkę posądzony być może, wstrzymał się, jął namyślać i posadziwszy Stanisława na kamieniu, rzekł szybko:

—A! licho mi pana nadało! siedź-że przynajmniéj

tutaj! powiém matce i Mani, ale więcéj nikomu; albo jedna lub druga przyjdą. Więcéj dalibóg zrobić niepodobna, choć dla rodzonego brata... Do dworu się pan już nie zbliżaj, bo albo psy pokaleczą, albo ludzie poznają, domyślą się, doniosą i bieda będzie wszystkim...

Staś przekonany i złamany usiadł, a uwolniony od grożącego niebezpieczeństwa, Falszewicz jak strzała poleciał do dworu.

Już dobrze zmierzchać poczynało, gdy postać w bieli szybkim krokiem zbliżyła się od dworu, zdając szukać w ciemności zapadającéj kamienia, na którym siedział Stanisław.

Ten wstał i podbiegł, ale to nie była matka, któréj się spodziewał; była to starsza jego siostra poczciwa Mania, z szlochaniem i łzami rzucająca mu się na szyję.

—Staś! kochany Staś!—zawołała! a! jak ty wyrosłeś! jakeś się odmienił! o mój Boże! Żebyś ty wiedział, cośmy oczów wypłakali za tobą... a ojcu ani wspomnieć. Już mu i ksiądz słyszę z ambony przymawiał z textu o synu marnotrawnym, a serca jego skruszyć nie mógł. Matka! a! ty wiész, ani się może odezwać.

—Matka... nie przyjdzie?—spytał słabnącym głosem Stanisław.

—Nie, mój drogi, nie, siedzi przy łóżku ojca; oj-

ciec na nogę chory, a niecierpliwi się i zżyma, że leżeć musi... O! onaby tak chciała zobaczyć ciebie... Ale powiedzże mi, zkąd ty tu? co robisz? gdzie się podziewasz? jak żyjesz? jakim przypadkiem jesteś w Krasnobrodzie?

—To nie przypadek, rzekł Stanisław—przyszedłem tu z Wilna, pieszo, o kiju, umyślnie, byleby tylko was zobaczyć.

Tu począł opowiadać zapłakanéj siostrze, całe życie swoje Stanisław, i noc ich zaskoczyła w śród zwierzeń, zapytań i westchnień; biédne dziéwcze gdy ujrzało otaczające je ciemności, zadrżało ze strachu.

—Muszę powracać, zawołała—trzeba się rozstać. Albo nie, słuchaj: przejdziemy oboje przez ogród, zaprowadzę cię do altanki, ukryjesz się w niéj do rana, tam nikt cię nie zobaczy, a matka wybiegnie może choć na chwilę pobłogosławić cię jeszcze.

I szli tak razem ku bramce za ogrodem na pole wiodącéj, a Staś po cichu dopytywał Mani, która mu z drżeniem głos miarkując odpowiadała, to znowu ona badać poczynała, a on z życia się jéj swojego spowiadał.

Mania była najstarszą z córek sędziego i najpodobniejszą do Stasia, dziś już pod tą srogością wychowania i pracy zawczasu sercem dojrzała niewiasta. Często rady jéj i pomocy używała nawet matka, bo choć nikt sędziemu ani sprzeciwić się nie mógł, ani

go przebłagać, Mania czasem potrafiła wynaleźć jakiś środek, gdy szło o wyśliznienie się bez kłamstwa i fałszu z pod tyrańskich rządów jego. I teraz dając dowód wielkiéj odwagi, pomyślała by brata ukryć w altanie, a matce z nim ułatwić choć krótkie widzenie się i rozmowę.

—A matka? a ojciec?— pytał nieustannie Stanisław.

—Nic! nic się tu nie zmieniło, odpowiadało dziewcze—na włos, na szpilkę... poznajemy tylko po coraz krótszych sukienkach moich, Julki i Basi, że czas uchodzi, że się powoli starzejem. Matka trochę słabsza i bojaźliwsza codzień, ojciec ten sam zawsze...—Westchnęła.

—I nigdy nie wspomnieliście o mnie?—spytał Stanisław.

—Głośno! nigdy! od razu wszystkim zakazał imie twe wymawiać, a ty wiész jak go słuchają wszyscy.

Spuścił głowę biedny chłopiec i jak na stracenie idąc, w milczeniu przekradł się przez furtkę, przez znajome dawniéj uliczki... otworzył drzwi staréj altany, których zamek znał dobrze, i płacząc rzucił się na stojącą w niéj ławę, a Mania żywym krokiem do dworu pobiegła.

Nie długo jednak trwały te łzy wywołane wspomnieniami: bliskość dworu, światło z jego okien bijące, ta myśl, że tam jest ojciec i matka, wywiodły

go ku domowi. Wyszedł zapominając ostróżności, jak złodziéj podkradając się pod okna, a serce powiodło go pod te, przez które mógł ojca i matkę zobaczyć.

W izbie sędziego, przy zakrytéj zasłonką świécy, w słabym jéj blasku ujrzał Stanisław spartego na poduszkach starca, który nogę jedną trzymał na krześle i ponuro zdawał się zamyślony. Obok siedziała żona, w białym czépcu, tuląc cierpiącego i podając mu napój jakiś który z odrazą ręką odpychał... Po niespokojnie rzucanych wejrzeniach matki, po jéj ruchach, poznał Stanisław że już wié o nim, a serce jéj bije zarówno miłością i strachem.

Obraz ten tak go pociągał niepojętym urokiem, że pomimo wrażenia postrachu jakie na nim czynił srogi i nieubłagany ojciec, pozostał długo przyrosły do okna, nie mogąc się odeń oderwać. Wszystko aż do szczegółów drobnych tego wnętrza, które znał tak dobrze, chwytało jego oczy; dziwił się, że nic się tu nie zmieniło, krzesło nawet żadne i sprzęt drobny miejsca nie stracił. Zwracając się ku ojcu z bojaźnią i wpatrując w jego rysy, w twarz matki, wielką z razu znalazł różnicę między obrazem zachowanym w duszy, a tym który miał przed sobą... znalazł ich oboje starszemi, zbladłemi, a na licu starca, obok surowości głęboko wyryty w marszczkach smutek... Ale po chwili starło się to piérwsze

wrażenie, i w obojgu znajdował tych, których od lat tylu porzucił, jakby wczoraj żegnanych dopiéro.

— Pójdę, rzekł w duchu — do nóg im upadnę a przebaczyć mi muszą.

Ale gdy pomyślał, że przebaczenie to okupi ofiarą dni swoich, uczuć, myśli, swobody, zadrżał i sił mu zabrakło. Najbardziéj kochające serce może się wzdrygnąć nad tak wielką ofiarą, może się wstrzymać nad jéj brzegiem.

Stał tak Stanisław, gdy cień matki wychodzącéj na palcach z izdebki i nadzieja zobaczenia jéj choć na chwilę, spędziła go z pod okna do altany. Tu znalazł tylko przelękłą Manię, szukającą go wszędzie, niemogącą pojąć co się z nim stało i obawiającą się już skutków zbyt śmiałego kroku. Przyniosła mu ona, jak kobiéta pamiętając o jego potrzebach, co gdzie podchwycić mogła, owoców, chleba, szklankę herbaty swoję.

— Gdzieżeś był? — zawołała do wracającego — a! czy cię tylko kto nie zobaczył!

— Nie obawiaj się! nikt mnie nie widział, stałem tylko pod oknem ojca — kto wié czy go raz jeszcze w życiu zobaczę!

Po chwilce szelest sukni dał się słyszeć u wnijścia. Stanisław padł na kolana i uczuł tylko jak drżące ręce ściskały mu głowę, a gorące usta staruszki spoczęły na jego czole, które zwilżyło się łzami.

— Stanisławie! Stanisławie! — odezwała się łkając po chwili — co ty nas łez kosztujesz! mnie — nas! wszystkich! ojca nawet! Tak! widziałem go nieraz płaczącym, choć łzy połykał przed ludźmi!

— Więc mi przebaczy, ja nic nie pragnę więcéj.

— Nie, Stanisławie, nie łudź się tą próżną nadzieją; on płacze, ale w tobie nie da złego przykładu reszcie dzieci; zaklął się, a co raz powiedział tego nigdy nie zmieni. Bóg jeden, co zna serca ludzkie, wié co będzie, ja się nie śmiem spodziewać. Mówże mi drogie dziecko o sobie!

Stanisław powoli rozpoczął znowu te dzieje, ale nie utyskując wcale na los swój, aby nie zakrwawiać serca matki.

— Przy pracy, rzekł, chleb mieć będę — a któż nie pracuje? to dola człowieka! Ciężko mi jeszcze, ale komuż w początku nie ciężko?

Pytania następowały po pytaniach, a rozstać się tak było trudno! Biedna matka chciała choć zobaczyć tego syna, który był dla niéj jak straconym, którego głos męzki słyszała tylko, ale światło w altanie o téj porze byłoby ich zdradziło, a wprowadzić go do domu obawiały się. Znać było walkę serca z obawą niepokonaną i serce biedne ustąpić jéj musiało. Trzymała ręce jego w swych rękach, pieściła głowę zbolałą, odgadywała myślą i sercem syna

który wyrósł na mężczyznę, płacząc, że oczy jéj przypatrzeć mu się nawet nie mogły.

—Idź!—rzekła nareszcie po godzinie cichéj rozmowy—idź, jeszcze się zobaczymy może. Kiedy jesteś w Jasińcach... jutro może wyjść mi będzie wolno na przechadzkę z Manią... spotkamy się u granicy nad wieczor, nikt nas tam nie zobaczy.

I po tysiącznych pożegnaniach i błogosławieństwach, pocieszany, nienasycony, rozmarzony tylko doznanemi uczuciami, biédny Stanisław wykradłszy się znów furtką na pole, poszedł czarną już nocą ku Jasińcom.

Była to niedziela, jedno z tych świąt rocznych, w które najmniéj nawet pobożni parafianie czują się obowiązani zjeżdżać do kościołka i pokazać, że w sercach ich tli jeszcze iskierka przywiązania do wiary.

Dzień piękny jesienny sprzyjał nabożeństwu; gospody też w miasteczku, cmentarz i plac przed starym, czarnym, gontami od dołu do góry obitym kościołkiem w S... pełne były koczyków, koczobryków, bryk, wózków, kałamaszek i prostych wozów.

Kościołek, ledwie mogący natłok przybyłych pomieścić, coraz się bardziéj napełniał różnego stanu ludźmi, którzy zalegali go od kratek presbyterium do drzwi wielkich i kruchty. W piérwszych ławach, pokrytych czerwoną sukienną od wosku pokapaną

oponą, *honoratiores loci*, wcześnie zajęli miejsca swoje; a wybredniejsi co i z Panem Bogiem rozmawiając, nie radzi żeby kto innego stanu do ich konwersacyi się mięszał, gardząc ławką dla wszystkich otwartą, na krzesłach i taburetach własnych rozsiedli się bliżéj wielkiego ołtarza.

Tu i pan Adam Szarski i żona jego i księżna pani ich córka, i zmuszony do pobożności dla oka sam książe, kupą się trzymając posiadali na fotelach fundatorskich, poklękali na wyszywanych herbownych poduszkach i nim się modlić zaczęli, rzucali okiem na lud Boży, by schwycić może wzorek do rozmowy przy obiedzie.

W piérwszéj ławce z prawej strony, zasiadł pan sędzia Szarski z małżonką i starszemi córkami, a tuż Falszewicz stał na straży dwóch chłopaków. Zbladła, surowego wyrazu ale poważna twarz sędziego, na tle ściśnionych głów ludu, odbijała się tak jakoś wyraziście, że nawet książe spytał pana Adama, kto to był ten jegomość? Na co krztusząc się ni to ni owo odpowiedział pan Adam, skłamawszy nawet odrobinkę, bo do kuzynowstwa nie życzył sobie przyznać się choć w kościele. Niedaleko od téj ławy, pod bocznym ołtarzem, sparty o słup drewniany, równie jak sędzia bił w oczy wszystkich nieznajomy młody człowiek, którego rysy, wyraz twarzy, piękna postawa, szlachetne oblicze wzbudzały cieka-

wość wszystkich. Był to Stanisław Szarski, obok którego w szaréj taratatce, ogorzały, stał dobrze znajomy wszystkim pan Płacha.

Są twarze, na których żywot i myśli piętnują się jak głoski na papierze, tak do wyczytania snadne, że najniewprawniejsze oko pozna co Bóg w duszy tego oblicza położył. Taką, w téj chwili młodzieńczego rozkwitu i boleści była twarz Stanisława, przypominająca młodego Schillera, gdy tworzył swych Rozbójników. Więcéj tylko może łagodności, wytrwania, chrześcijańskiego męztwa, było w tych rysach regularnych i poważnych mimo młodości. Jadąc do kościoła, Szarski, choć nie myślał o ludziach, wdział jednak na siebie co miał najlepszego, i wśród téj ciżby wiejskiéj, proste jego ubranie wyróżniało się jakoś smakownością swoją.

W chwili, gdy Stanisław nieznacznie przecisnąwszy się przez tłum stanał na oczach ojca i rodziny swojéj, nikt z nich nie miał w tę stronę zwróconego wejrzenia, a matka choć go może dostrzegła i poznała nie patrząc nawet, spuściwszy oczy ku książce, udawać musiała że nic nie widzi. Sędzia pomimo bolu w nodze, klęczał i modlił się ze Złotego Ołtarzyka, nie zwracając uwagi na to co go otaczało. Dopiéro gdy zabrzmiały dzwonki i gwiazdka na chórze, zwiastując *Podniesienie*, starzec obrócił oczy ku ołtarzowi, spotkał syna stojącego ze

skłonioną głową i pobladł. Wzruszenie jego było tak wielkie, że upuścił książkę z rąk i osłupiał, bo mimo kilku lat upłynionych, poznał Stanisława od razu. Matka oddawna już wiedziała o nim, postrzegła także co się działo z mężem, ale bała się dać poznać mu, że wié dla czego tak był zmięszany, modliła się, modliła, trzęsła ze strachu i znikła prawie w głębi ławek.

Po krótkiéj chwili oprzytomniał stary, podniósł Ołtarzyk swój, zdawał się w nim szukać przerwanéj modlitwy, ale ręce mu drżały widocznie, a oczy próżno zwracane na karty, biegły ku dziecięciu. Jakie uczucia miotały twardą tą duszą, trudno już było poznać po twarzy powleczonéj znów zimną, obojętną, nieruchomą jakąś maską. Ale się modlić nie mógł, ale patrzał i patrzał na to dziecię stracone, na marnotrawnego syna, który się zjawił przed nim w kościele, jakby w imie Boga co wszystkim przebaczył, o przebaczenie błagał.

Niepodobna wyrazić co się działo z przelękłą matką, Manią i resztą rodzeństwa; przestrach ich widać było na twarzach, i obojętni nawet postrzegali, że się im cóś stać musiało, tak wszyscy byli pomięszani.

Stanisław zbladły, modlił się gorąco.

Właśnie gdy oczy załzawione wznosił ku niebu, piękna księżna Adela, która ciągle z książki swéj

w złociste klamry oprawnéj, czarnemi oczyma latała po kościołku, spójrzała nań, i oko jéj zatrzymało się na poecie. Rzekłbyś, że rumieniec miał na bladą twarz jéj wypłynąć, ale nie... popatrzała tylko, odwróciła się, spójrzała jeszcze, i zdawała się już z zimną tylko rozwagą czynić wnioski ze stroju o człowieku.

A! krótką ma pamięć serce kobiéty! i dobrze Fredro powiedział, że kto swe życie bluszczowi temu powierzył, upadnie w przepaść, bo go bluszcz nie strzyma. Któżby się mógł domyśleć, że ta piękna pani, przed kilką laty, z przysięgą niezłomną, łzami oblaną niezapominajkę dała temu biédnemu chłopcu! Ciekawe tylko i niespokojne biegło jéj oko od Stanisława do jego rodziców, i ledwiebyś się nie domyślił, że zdawała się wyrozumiewać z czépka pani sędzinéj, czy czasem ci krewni nie myślą jéj swoją wizytą po mszy, w oczach księcia skompromitować. Tego świata ludzie najstraszniéj się w oczach swoich kompromitują źle skrojonym frakiem, starą chustką, suknią nie modną i człowiekiem nieumiejącym po francuzku.

Tak, w obec tego wielkiego ołtarza i Ofiary, odegrywał się, jak wszędzie na świecie, jak zawsze na świecie, dramat łzawy i komedya próżności ludzkiéj. Tu płakał syn i ojciec, drżała matka omdle-

wająca z przestrachu, a daléj śmieszna laleczka troszczyła się o bańkę mydlaną.

Nabożeństwo przedłużało się jeszcze; na twarzach żadnéj nie widać było zmiany, tylko sędzia, mimo niezmiernéj mocy nad sobą, niekiedy zdawał się gwałtowniejszego doznawać uczucia, które hamował zaraz wolą nawykłą do rozkazywania.

Nareszcie odśpiéwano suplikacye, ten szczytny śpiéw, a raczéj wołanie do Boga, niezrównane w swéj prostocie, jak krzyk duszy wyrywające się z niéj głosem potężnym; i gdy ostatnie dźwięki jego dobrzmiały, lud począł odpływać na cmentarz, zgromadzenie rozchodziło się różnemi drogami.

Państwo Adamowie ujrzawszy Szarskich, których sama grzeczność nakazywała im prosić do blizkiego dworu na obiad, oboje jak córka bojąc się skompromitować przed zięciem, udając że nie postrzegli krewnych, nie przez środek kościołka jak byli zwykli, ale pokornie bokiem uszli za ławkami, pośpieszając żeby ich orszak długi krewniaków nie napędził przy wsiadaniu do powozów. Trudno opisać co wycierpieli za swą próżność, daremnym ukaraną strachem.

Sędzia modlił się jeszcze i modlił, Stanisław z miejsca nie ruszał, a biédna matka gdy jéj przyszło chować do woreczka książkę, okulary, róża-

niec i chustkę, z kolei wszystko poupuszczała na ziemię.

Kościołek już prawie był próżny, gdy nareszcie starzec się podniósł, wyprostował i nie rzuciwszy już okiem ku słupowi, przy którym widział syna, przykląkł, i poszedł wiodąc za sobą rodzinę swoję, ku wnijściu. W chodzie jego zazwyczaj śmiałym i pewnym, znać było jakieś wahanie, jak gdyby go co w tył ciągnęło, jakby nogami nie władał. Szedł i chwytał się za ławki, a zanurzywszy wzrok w ziemię, gdy stanął u kropielnicy, szukać jéj musiał kilkakroć palcami, nim się opamiętał i znalazł wodę święconą.

Idący za nim milczeli wszyscy, nieśmiejąc nawet spójrzéć na niego.

W progu odwrócił się sędzia i spójrzał na kościół— powóz zachodził; nie ruszył się, ale nie mówił słowa, wszyscy czekali jak on, a serce matki bijące dotąd strachem tylko, poczęło się poruszać drobiną nadziei.

Po chwili oczekiwania ukazał się Stanisław, który już może nie spodziewał się spotkać ojca, a ujrzawszy go przed sobą zacofał się przestraszony, ale natychmiast wzruszenie odebrało mu bojaźń i pamięć, poskoczył i padł na kolana...

Blada twarz sędziego straszną była jak marmurowy posąg sprawiedliwości mściwéj i nieubłaganéj;

brwi jego ściągnęły się gwałtownie, usta poczęły drgać, ręka miotać, ale oczy napełniły się łzami, wyciągnął ramiona do syna i przycisnął go do piersi.

Matka, bracia, siostry, otoczyli ich kołem i Stanisław uczuł się w uścisku wszystkich. Ale niedługo trwała ta chwila zapomnienia, starzec po rozczuleniu mimowolném, wrócił do surowości całego życia.

— W imie tego Boga rozpiętego na krzyżu, rzekł poważnie wskazując drewnianą figurę cmentarza— przebaczam ci — i błogosławię... przyjdź i usiądź za stołem naszym raz jeszcze, pokosztuj jak chléb rodzinny i miłość rodzinna jest wielką roskoszą — ale dla przykładu, przebaczając ci sercem, dłonią i głową darować nie mogę przewinienia. Na rodzinie stoi związek społeczny, na posłuszeństwie świat cały; zerwałeś z nami, chciałeś swobody przed czasem, okupiłeś ją drogo, ale masz coś chciał. Jesteś synem moim, bom przebaczył; ale nigdy nie będziesz spadkobiercą, ani towarzyszem siostr i braci. Przyjdziesz i pójdziesz jako obcy, powrócisz jako gość... aleś swobodny, niezależny, nic nam nie winien, i my też nic ci nie jesteśmy winni.

Stanisław nic odpowiedzieć nie mógł na wyrok ojcowski, usiadł na wskazane mu miejsce w wózku, który wiózł Falszewicza i braci jego, a tak był

szczęśliwy, że choć wiedział iż niecofnięte słowo ojca wydziedziczało go z wszelkiéj pomocy i udziału majętności, za jeden ten uścisk, byłby do ofiary dodał chętnie część swojego życia.

Sędzia odbył drogę całą w ponurém zamyśleniu, Sędzina płacząc całowała ręce jego, Mania kradła łzy swoje przed niemi udając że z powozu wygląda, a na wózku Falszewicz kiwał głową tylko przypatrując się jak Stanisław nie mógł się braćmi młódszemi i ich wesołą swawolą nacieszyć. Tak przybyli do Krasnobrodu, a gdy wysiadać poczęli, znowu strach ogarnął Stanisława— ale sędzia z rozpogodzoną już twarzą czekał nań w ganku i jak obcego prawie do domu wprowadził.

Jeszcze raz padł mu do nóg syn, ale nic prócz powtórzonego błogosławieństwa nie zyskał.

—Słuchaj, rzekł nieubłagany starzec, jako ojciec ci przebaczyłem, ale nie jako głowa rodziny... obcy nam będziesz, boś chciał być obcym; łańcuch ten raz rozerwany już się nie wiąże, nawet skruchą, żalem i przebaczeniem.

— Ja też nic nie żądam prócz przebaczenia i serca— rzekł Stanisław.

—A jutro, dodał sędzia, wracając do swego charakteru— jutro waćpan pojedziesz ze mną do akt i napiszesz zupełne zrzeczenie się wszelkiego spadku po mnie; tego pod błogosławieństwem wymagam.

Ani matka, ani bracia i siostry młodsze nie śmiały już przemówić za bratem; samo przebaczenie zdawało im się takim cudem Bożym, że więcéj pożądać nie śmieli. Sędzia wyszedł powiedziawszy te słowa, a Stanisław ujrzał się znowu w kółku rodziny, pod strzechą domową, szczęśliwy, rozweselony, lekki, pełen słodkich nadziei przyszłości.

Gniew tylko ojca mu ciężył, ubóstwo było dlań tak z dawna przewidzianym końcem, że na nie spoglądać się nauczył bez obawy. Oddał się więc cały niespodzianéj roskoszy rozmowy z matką, niemogącą się mu napatrzéć, z braćmi i siostrami, które go obstąpiły szarpiąc na wszystkie strony. Piérwszą to godzinę od dawna, mógł nazwać szczęśliwą!

Kiedy się ta scena odegrywała na progu kościołka, cmentarz już prawie był pusty; jednak znalazło się kilkunastu ciekawych, znajdujących się wszędzie gdzie cóś podpatrzéć lub podsłuchać można, i co byli zdala świadkami ojcowskiego przebaczenia. Zaraz więc gruchnęła wieść po sąsiedztwie, tak upiększona, tak udramatyzowana, że nawet ci co wypadku byli świadkami, każdy inaczéj opisując, relacyi swych współzawodników dziwili się jak nowości. Z tych wszystkich opowiadań, eklektycy, bajarze z professyi, zbudowali sobie wersyą auten-

tyczną, ostateczną, poprawną, i poemat ów poszedł jako materyał między podania ludowe na własność ogółu.

Nawet do dworu państwa Adamowstwa, przez pana komornika Bortyłłę zaraz dnia tego doszła wiadomość o pojednaniu syna z ojcem, ale ją po cichu powtarzano, żeby ciekawości księcia nie obudzić. Sama księżna dowiedziała się niektórych apokryfowych ale dobrze dosztukowanych szczegółów od swojéj garderobianéj, i zamyśliła się głęboko związując na noc włosy.

— Musi to być nieokrzesane stworzeńko, mówiła w duchu, ale wcale ładny mężczyzna, ma coś poetycznego w sobie— poeta! poeta! Gdyby mi nie szło o męża, który się tych krewnych z drugiego świata nastraszyć może, prosićbym go kazała przez papę... A! pośmielibyśmy się szczerze z naszych dziecinnych miłostek!

Westchnęła w duchu.

— A— dobre to podobno były czasy, przecież nie zamieniałabym ich na dzisiejsze. Nie! nie! ale na godzinę, na chwilę, gdyby do białéj sukienki owéj, do tych uczuć, do tego ogródka i kwiatków powrócić można!!!

Westchnęła raz jeszcze uśmiéchając się do siebie w źwierciedle – tak jéj z tym smętkiem ładnie było!

— Co za dziecińStwo! co za dziecińStwo! zawołała! — *que je suis bête!*

Mimo to, nazajutrz była mowa między nią a rodzicami o Szarskim; napomknęła księżna, że możeby się godziło, gdy książe gdzie pojedzie w sąsiedztwo, prosić Stanisława... Na tém się skończyło.

Dość takiéj myśli zarodka, żeby rozpieszczone dziécię uparło się fantazyi swojéj dogodzić. Adela wyprawiwszy na dwa dni męża w sąsiedztwo na polowanie, nazajutrz zaraz wyrobić potrafiła na ojcu, że po Stanisława posłał.

Wielkie, zaprawdę było podziwienie jego, gdy grzeczno-zimny bilecik kuzynka odebrał, ale ojciec i matka naglili nań żeby pojechał; Staś nie śmiał się im przyznać jak raz ostatni rozstali się z panem Adamem i choć z niemałym wstrętem, musiał siąść i pojechać.

Myśl o Adeli przychodziła mu często, ale słyszana w drodze rozmowa, na wieki oziębiła go dla niéj; nie uczuł już jak dawniéj na wspomnienie jéj wzmagającego się bicia serca; niepokój jakiś tylko w nim jeszcze pozostał. Ten wzrósł gdy się zbliżył do miejsca pamiętnego mu w życiu jedną chwilą nadziei, i Stanisław wysiadł ze swéj biédnéj bryczki onieśmielony przeszłością, zagłuszony państwem i przepychem, który tu teraz z powodu zięcia z mitrą, jeszcze był widoczniejszy, niż kiedykolwiek.

W salonie nie znalazł nikogo jeszcze, a porozrzucane książki świadczyły, że literatura miała tu zwolenników. Zróbmy tu nawiasowo uwagę, że czytanie musi być dla wielu przykrością i pańszczyzną niemałą, kiedy się z niém popisują tak i chwalą. Niema pokoju, w którym się gości przyjmuje, gdzieby zapylonych kilka książek nie świadczyło, że— gospodarz ich nie czyta. Są to zwykle pięknie oprawne i ozdobne wydania tych nicości, których nikt w rękę nie biorąc, używa za świadectwo stopnia swéj cywilizacyi. Gdzieindziéj znajdziesz w ten sposób porozrzucane nowości literackie, których naturalnie dopóki nie zestarzeją nikomu wziąć niewolno, boby stolik stracił ubranie swoje; a czasem nóż kościany wsunięty we środek ma być niezłomnym dowodem, że się tam zastanowił czytelnik, a raczéj, niestety! ten co karty przecinał. Jest też w modzie, a ktoby się na tém nie poznał! że przyjmując pisarza dzieło jego kładną na stoliku; ale trzeba być nie wiém jak zarozumiałym, żeby ten komplement kosztujący często wystękane kilkanaście złotych, przyjąć za dobrą monetę. Trafia się, że w podobnym razie uczą się grzeczni gospodarze i kilku tytułów pism i kilku opinij lub ducha autora... Żeby też połowę téj komedyi, téj pracy użyć na coś poczciwie szczérego, jakby to stokroć było lepsze Kłamstwo w naszym teraźniejszym świecie ma tę wielką niedogo-

dność, że nic skłamać nie umié, a zawsze tego co go użył poniża.

Stanisław, któremu te mody i zwyczaje były rzeczą obcą, przywykły brać wszystko co do joty jak było, zdziwił się postrzegłszy wczoraj podobno u pana dzierżawcy pożyczony i rzucony swój poemat, na wspaniałym stole palisandrowym, obok nowego romansu Dumasa i poematu Soumet'a.

Serce uderzyło mu wdzięcznością i uczuł się usposobionym wszystko tym ludziom przebaczyć! A! i poeci są ludźmi! Wziąwszy do ręki jakąś książkę, zatopił się w myślach i nie postrzegł jak piękna Adela wśliznęła się do salonu.

Szelest jedwabnéj jéj sukni i lekki umyślny kaszelek obudził go z zamyślenia, które można było wziąć za udane, tak było głębokie. Księżna, strojna jak stan jéj wymagał, od aksamitów i atłasów, cała w pierścieniach i fraszkach błyszczących, miała minę pięknéj lalki, ale blado-melancholijnie wyglądała i choć trochę przebrała miarę w ubiorze, czémś istotnie arystokratyczném się odznaczała. Na widok jéj, Stanisław zmięszał się, ale ta nowa Adela mało, mało przypominała mu dawniejszą... była to może jéj siostra, ale nie ona!

Przesuwając pierścionki na białych ślicznych paluszkach, księżna rozparta w fotelu poczęła od niechcenia rozmowę, wśród któréj wzrok jéj zwracał

się często na młodego chłopca, onieśmielonego jéj wielkością i tonem. To wejrzenie było w ciągłym sporze z postawą i pełną dumy twarzą, gdyż nie kiedy zdawało się promykiem dawnego połyskiwać uczucia; ale Stanisław do siebie nie przypuszczał przypomnień.

Po chwili, księżna pani wstała i biorąc parasolik do ręki, skinęła na Stanisława.

— Możebyśmy poszli się przejść po ogrodzie, rzekła z nieopisanym uśmiéchem, papa i mama nie nadejdą rychło, a ranek tak ładny! Dawnoś pan nie widział Mruczynieckiego ogrodu, zobaczym czy się też bardzo odmienił.

— Pewno mniéj niż ludzie co po nim chodzą, odpowiedział dość wesoło i powoli ośmielając się Stanisław. Wszystko się zmienia, a najwięcéj ludzie!

— Prawda, dodała księżna, wszystko, wszystko, świat byłby bardzo nudny, gdyby tak trwał jednostajnie...

— Zapewne, rzekł Stanisław, bierzmy świat jak jest, bo go przerobić niepodobna.

To mówiąc Staś otworzył furtkę i weszli tą właśnie ulicą, którą przed laty kilką biegli oboje tak wesoło i dłoń w dłoni, ku cienistym w głębi lipom. W istocie, ogród był bardzo zmieniony, bo sprowadzony niemiec, wiele w nim podosadzał, powycinał, poustawiał ławy i stoły kamienne, porcellanowe ja-

kieś siedzenia, urny i t. p. Stanisław nie mógł się pokierować ku miejscom znajomym i stanął zdziwiony.

— Nieprawda, spytała go księżna śmiejąc się, nie podobna poznać ogrodu, tak teraz ładny i nowo wygląda.

— Nowy, to prawda, ale żeby był piękniejszy od dawnego, nie powiém, rzekł Szarski z westchnieniem— ja tak cenię wspomnienia!

Księżna rozśmiała się tylko, powoli posuwając się daléj.

— A więc pan zapewne szukasz tu ławki drewnianéj i ulicy gdzieśmy biegali razem; o! jakież z pana dziecko jeszcze!

— Dziecko! prawda! żywo przerwał Stanisław, bo szukam więcéj czegoś niż ławki i ulicy... bom jeszcze niedawno nosił na piersi..

— A! pewnie sławną ową niezapominajkę, która mi w téj chwili na myśl przychodzi... Jak to było śmieszne! cha! cha! jakże to było śmieszne! I pan ją nosisz może jeszcze? spytała Adela.

— Nie, już nie mam, rzekł Stanisław.

Księżnéj twarz zmieniła się i przybrała wyraz surowszy.

— To lepiéj, odpowiedziała po chwili, nie trzeba zbyt długo być dzieckiem, choćby się kto urodził

poetą, bo nic śmieszniejszego nad przedłużone dzieciństwo.

—A przyśpieszona starość? zapytał śmieléj Stanisław.

—Ta smutną tylko być może, ale śmiészną nie jest, przerwała dumniejąc Adela, któréj oczy na ziemię się jednak zwróciły. Widać było że się nie spodziewała takiéj śmiałości w kuzynku, i sądząc że się jéj odpowiadać nie odważy w tę niebezpieczną wdała się rozmowę; ale Staś nic już nie mając do stracenia nie czuł potrzeby tajenia myśli swojéj.

—Ogród się bardzo odmienił, rzekł po chwili młody człowiek, zbliżając się do lip starych nieco poocinanych, którym nowe nadano kształty dla ukazania dalszego pejzażu; ale starych przyjaciół poznaje serce, jakżebym ja tych poczciwych lip nie poznał? Wszakże to miejsce przysięgi! zawołał ze śmiechem.

Księżna wyzwana w ten sposób widocznie się zmięszała, i trochę rozdrażniona odpowiedziała pytaniem.

—Doprawdy?

—Wprawdzie świadkom jéj poocinano głowy, ale i tak przecie trafić na nich można.

—Prawda! przymuszonym śmiechem przerywając zawołała nagle Adela— wszakeś mi pan przysiągł

wieczną i niezgasłą miłość!! O! jakżeśmy byli śmieszni! seryo, ze łzami zamieniając przysięgi i niezapominajki.

—Prawda! to było niezmiernie śmieszne, rzekł Stanisław— dwoje dzieci, które nie znały świata, które świat dzielił cały... po kilku dniach, po kilku serca uderzeniach... zawcześnie to było! zawcześnie! A jednak pani, dodał poważnie Stanisław— z całego życia mojego, jest to jedyna chwila może, któréj nigdy nie zapomnę, tak mi się głęboko wypiętnowała na duszy.

Piękna pani uśmiechnęła się tylko.

—Dzieciństwo jeszcze! powtórzyła przez białe ząbki.

—Nie przeczę! ale mi żal téj ślicznej Adeli, która naówczas nie była jeszcze księżną, ani panią, ani może tak piękną jak dziś pani jesteś, ale miała na sobie skrzydła anielskie i aureolę idealnego świata.

Coraz bardziej zdziwiona i zmięszana odwagą ubogiego chłopaka, Adela odwróciła się z twarzą surową i obiecała stroić sobie żarciki, ale bała się rozmowy zwracającéj w stronę uczucia niebezpieczną i.. nudną.

—Przepraszam, rzekł widząc to Stanisław, samaś pani podobno wywołała te niepotrzebne stare wspomnienia, a ja nic w sobie taić nie umiem.

—To bardzo zły zwyczaj!

—Dla prostych jak ja ludzi to obowiązek.

Księżna ruszyła ramionami.

—Chodźmy, chodźmy, rzekła, żebyś się już pan wspomnieniem téj Adelki nie rozrzewniał na próżno.

—A! pani, dodał śmiejąc się choć z goryczą Staś, co chwila byśmy tak w życiu rozrzewniać się musieli, opłakując zmarłych-żywych, których poznać z serca ni z twarzy nie można... Takie prawo życia... przeboleć trzeba i milczeć.

Rozmowa była na tak niebezpiecznéj drodze, że się co chwila stoczyć mogła w wyraźniejsze jeszcze wymówki i żale. Księżna postrzegłszy to i widząc że żarty z nieśmiałego kuzynka wcale się już udać nie mogą, pośpieszyła ku domowi nazad, kwaśna, nadąsana i dumna.

Gdy weszli do pokoju w którym już zastali oboje państwa Szarskich, Adela padła na krzesło, wzięła książkę do ręki i zamilkła zupełnie. Stanisław mówił śmiało i rozogniony wyrządzoną sobie na nowo krzywdą bolesną, targał więzy, które go jakąś grzeczności resztą i uszanowaniem dla bogactwa łączyły z tym domem. W miarę jednak jak on stawał się śmielszy i mniéj zważał na ich popisywanie się wielkością i państwem, oni stawali się coraz grzeczniejsi, pobłażliwsi, delikatniejsi, chcąc

go ukołysać. Adela tylko uporczywie zajmując się czytaniem, milczała.

Wśród obiadu, turkot niespodziany powozu nastraszył niepomału wszystkich, a gdy poznano konie i ekwipaż księcia, pomięszali się bardziéj jeszcze. Książe wszedł do sali i pierwszym rzutem oka postrzegłszy między domowemi nieznajomego, którego fiziognomia go uderzyła przypomnieniem rysów gdzieś znajomych, zastanowił się szukając po głowie ktoby to był taki?

Po obejściu się jego z Szarskiemi znać było że czuł jaką robił łaskę zostając ich zięciem; oni znowu aż do zbytku korząc się przed nim, zdawali się potwierdzać postępowaniem swojém jego przekonanie; tak dziwnie mu nadskakiwali. Gospodarz łamał sobie głowę jak tu zaprezentować przybysza, którego nie chciał nazwać kuzynkiem, a nie mógł inaczéj... Mruknął więc po cichu:

— Mam honor prezentować W. Książęcéj Mości mego .. tu cóś połknął i udławił się jak kością — pana Stanisława Szarskiego.

Książe ucho miał dobre i pamięć niezgorszą; przyszła mu zaraz na myśl scena owa ze Stanisławem w Wilnie, w któréj nie najpiękniejszą odegrał rolę, ale udał że nie poznał Szarskiego, zamilkł i skłonił się grzecznie. Mina jego jednak okazywała że mu ten gość nie był do smaku, bo się skrzy-

wił, nosem zakręcił, i pod pozorem odpoczynku i zmiany ubioru, znikł natychmiast z pokoju.

Obiad skończył się milcząco, a wprędce po nim Stanisław, nie zatrzymywany, pożegnał krewnych, swobodniéj oddychając wyjechawszy z pod ich dachu, nie bez żalu jednak po Adeli, tak dziwnie, tak niepojęcie zmienionéj.

Pobyt Stanisława w Krasnobrodzie nie przeciągnął się też długo, gdyż od piérwszego dnia przekonał się Stanisław, że ojciec choć mu przebaczył, nic dla niego nie uczyni. Potrzeba było samemu myśléć o sobie i znowu wieś opuścić, szukając w mieście ciężkiego chleba, któren za myśl kupić tak trudno! Pożegnanie było rozczulające z matką i rodzeństwem, z ojcem chłodne. Starzec może miał jaką łzę w oczach, ale jéj wybiedz nie dozwolił; jeszcze raz tylko powtórzył Stanisławowi, że jako syn nic się po nim nie ma spodziewać i pobłogosławiwszy go na drogę, nie spytał nawet czy ma ją o czém odbyć. Matka, bracia, siostry, wszyscy złożyli się ze swego ubogiego mienia dla wygnańca, ale Staś z udaném weselem poczciwy dar ich odrzucił, zapewniając że nic nie potrzebuje. Odesłany nie daléj jak do Jasiniec, do Płachy, znalazł się znowu sam, samiuteńki na całym Bożym świecie.

O! tęskno mu było, ale kiedyż to w życiu nie tęskno? są chwile pogody, ale tło jego szare, ale na dnie tych przelotnych błyskawic zawsze panują ciemności. Lżéj teraz jednak wybierał się w podróż z błogosławieństwem rodzicielskiém, nie zostawując za sobą ciężaru ojcowskiego gniewu, chociaż żadna z trudności życia rozwiązaną mu nie była i z zupełną swobodą, wszelką troskę o przyszłość wziął na barki swoje.

O mało nie zapłakał nad odjeżdżającym chłopakiem z Krasnobrodu, który go tu przywiózł jak go do szkół woził, a gdy kałamaszka znikła z dziedzińca, tak się uczuł sam i smutny, że uciekł ze łzami do swojéj izdebki.

Szczęściem, Płacha umiał tę serdeczną tęsknicę poszanować i nie przyszedł go pocieszać, ani go też nazajutrz wstrzymywał, gdy się wyjeżdżać napierał, bo zrozumiał, że blizkość Krasnobrodu musi zakrwawiać serce dziecka wyprawionego tak w świat o własnych siłach.

Nazajutrz rano wyszukał mu żydka, mającego jakoby jechać za swoim interesem do Wilna, sprowadził go z bliskiego miasteczka i po gospodarsku napchawszy wózek wyprawą złożoną z wędlin, sérów, piérogów, masła i pieczystego, tak urządził podróż Stanisławowi, aby go nic prawie nie kosztowała.

Poczciwy Litwin pokochał jakoś poetę i umiał się tak położeniu jego litować, że podobno tajemnie żydka opłacił, a wiedząc że Szarski w drodze sobie rady nie da z Izraelitą, wysłał z nim jeszcze własnego sługę, starego Piotra. Piotr dawno już, po śmierci ojca Płachy, uwolniony został od dworskiéj służby i osiadł w chacie na roli, ale w wielkich wypadkach posługiwał się nim Płacha, choć już ani ubioru porządnego, ani butów nie miał i chodził w łapciach i sukmanie.

Był to mruk, posępny, małomówiący, nadzwyczaj podejrzliwy człeczyna, ale wypróbowanéj poczciwości, trzeźwości i statku. Jemu na ręce zdał Płacha gościa swojego i upłakawszy się w ganku, wyprawił go spokojniejszy na sercu, że co mógł zrobił dla niego. A potrzebując rozrywki po pożegnaniu, które go nieco rozmazało, bo się aż na łzy zebrał ów wąsacz, wziął flintę na ramię i ruszył ze psami w pole.

Stanisław znów jechał w świat, zadumany po swojemu i już cały w sobie, bo szczęściem nie potrzebował myśléć o podróży, i mógł zdać całkiem kierunek jéj na starego Piotra. Droga, choć nędzną szkap parą, po piaskach, ale teraz szła już raźniéj i prędzéj, bo się nigdzie nie zatrzymywali i choć prawie stępą jadąc, po kilka mil na dzień ujechać mogli. Żyd niewiele mówić potrzebował, Piotr całe

życie milczał i gwałtownie tylko zapytany, gdy się kiwnieniem głowy wyratować nie mógł, gębę otwierał i ręką machał. Staś też nie miał ochoty do gawędy i tak milcząco posuwali się ku Wilnu.

Któregoś tam dnia téj posępnéj drogi, w gęsty deszczyk jesienny, kropiący od cztérdziestu ośmiu godzin, pokazało się nagle miasto ze swemi wieżycami i tumanem dymów, któremi wiatr jak wielką powiewał zasłoną; a Stanisław powitał je ze smutkiem jakimś i przeczuciem dusznėm chwil ciężkich, które go tu czekały.

Na Trockiéj ulicy, że to była pora dla pana Horyłki werbowania do swego domu, ujrzał go Szarski pod parasolem czatującego na przejeżdżających, a Hersza w odwodzie przytulonego do bramy. Nie mogła się już wymknąć im ofiara, jakoż uścisk Horyłki i kapiący jego parasol wstrzymał Stanisława, a wózek jego zatoczył się w znajome podwórze.

—Stancya pańska czeka na pana! rzekł biegnąc przodem z kluczami gospodarz— znowu ją odnowić kazałem: lamperye pomalowane klejowo, okna podwójne dopasowane, bo zimę nam kalendarz prorokuje okrutną.

—A jakże się tam panu powodzi? zapytał Stanisław—jak się ma żona pańska?

—Żona! nie mam żony! to ostatnia łajdaczka niech mi jéj pan nie wspomina!— zawołał Horyłka.

—Jak to? wszakże się okazało że to były potwarze?

—Okazało się, że znowu diabli ją w świat ponieśli, ale jak, proszę pana! Ot co było! przyjechała tu trupa komedyantów, co hece pokazują... a ja ich tu zainstallowałem nic nie przeczuwając. Ta, za pozwoleniem, szanując uszy pańskie niegodziwa... upodobawszy sobie antreprenera, porozumiała się z nim i bryznęła... Ale basta! dodał Horyłka—teraz mi się już nie wytłumaczy, więcéj do domu nie przyjmę... baba z wozu kołom lżéj.. Ot, pański pokój! pokoiczek! albo nie caca? ha? dla kawalera niema w całém mieście weselszego apartamentu; okno na ulicę, ulica ludna a cicha.

Apartament ten tak sławiony, wcale nie zyskał od czasu jak go znał Stanisław; owszem coraz bardziéj znać na nim było lata, ale miał wielki przymiot tanności i Szarski musiał się w nim znowu umieścić, choć izdebka bez dawnych towarzyszów, smutniejszą była jeszcze niż przedtém.

Nazajutrz zaraz, zostawiwszy Piotra wypoczywającego przy rzeczach, Staś pobiegł do doktora Brant'a, którego zastał w fotelu z książką w ręku i ze snem się pasującego.

—Ha! jak się masz wędrowcze, list mi pewnie przywiozłeś od moich?

—Tylko od jednego? rzekł Staś.

— A reszta?

— Kilka lat jak ich już na świecie niema.

— Patrzaj jak to ludzie umiérają, westchnął doktor— nie poczekali nawet żebym ich odwiedził! No! a młody Płacha?

— Żyje i oto list na który się zebrał.

— Położ go, przeczytam wolnym czasem, odparł Brant wzdychając— siadaj i powiedz jak cię przyjęli?

— Z serca! po bratersku!

— Płachy byłem pewien, młody poczciwe być musi z kośćmi Litwinisko... a jakże mu się tam powodzi?

— Tak, że lepiéj nie żąda choć ma mało, powiada że nie mieniałby się na żadne inne położenie w świecie.

— A twoi? ojciec? matka? rodzeństwo? byłeś? widziałeś ich? spytał niespokojnie doktor. Stanisław opowiedział mu szczérze całą podróż swoję, w ciągu któréj lekarz zażywał a zażywał tabakę.

— Wszystko to dobrze, rzekł, ale co teraz poczniesz powróciwszy.

— Będę pracował!

— I to ślicznie, ale co umiész i co możesz robić?

— Mam rozpoczęty poemat, dramat, historyę.

Brant ruszył ramionami.

— Słuchaj no, rzekł, choć to z Trockiéj ulicy dość do mnie daleko... ale wiész jaka się do mnie

na starość bieda przyplątała... straciłem apetyt... gdy nie mam z kim mówić w czasie obiadu, jeść nie mogę. Żebyś ty mi tę łaskę zrobił, a do mnie na obiad przychodził.

Staś się rozśmiał, bo istotnie Brant trochę go już za nadto sądził naiwnym.

— Ale słuchaj-no! — zakrzyknął Brant bijąc się w piersi — klnę ci się Boërhavem, Broussaim, kim chcesz, nawet Eskulapem i Chironem i mityczną Hygiją, że nie bałamucę. Głupi żołądek psuje mi się, dowiedzioną jest zkądinąd rzeczą, że rozmowa zaostrza apetyt.

— Kochany doktorze, przyjmę twój obiad, ależ nie myśl znowu bym się na tém nie poznał że mi chcesz dopomódz, bojąc się bym głodem nie marł.

— Śmieszny jesteś; z głodu dziś nikt nie umiera, nawet literaci... Ale istotnie nie ja tobie, ty mnie łaskę zrobisz, bo tak jest co do słowa jak ja mówię; jeść nie mogę gdy nie mam z kim gadać... punkt o piérwszéj regularissime siadam do stołu.

Stanisław uścisnął poczciwą dłoń jego i wymknąwszy się wzruszony, poleciał do księgarni, gdzie trafił właśnie na bibliopolę w cichéj jakiéjś naradzie z Bazylewiczem. Ujrzawszy wchodzącego przerwali rozmowę i gospodarz podszedł ku niemu, podając mu rękę z miną zaambarasowaną.

— A! przecie pan nam powraca!

—Jak mnie pan widzi—na usługi.—A cóż? wyszły moje poezye?

—Tak... to jest... to jest... wydrukowane, tylko się zszywają.

—Alem ja już widział egzemplarze po świecie.

—Piérwszych kilkadziesiąt egzemplarzy, reszta u introligatora.

—Nie mógłbym moich odebrać?

—Chyba później, kochany panie, chyba później.

Szarski głos zniżył.

—A nie dałbyś mi pan jakiego zajęcia?—zapytał nieśmiało. Bibliopola zatarł ręce, podrapał się po twarzy, pomyślał.

—Nic! nic nie mamy w projekcie, wątpię żeby się co znalazło.

—Nie wakuje u pana miejsce korrektora lub co podobnego?

—Nie, nie—a potém, dodał z uśmiechem gospodarz—poeci zwykle są najgorszemi korrektorami; świadkiem własne poezye pańskie, które po nim musiałem jeszcze dwa razy kazać przeglądać.

Zatrzymał się.

—Ale, ale, możebyś pan tłómaczył?—zapytał.

—Będę tłómaczył, rzekł Stanisław.

W téj chwili zbliżył się i Bazylewicz, z uśmiechem dwuznacznym poglądając na towarzysza.

— O co to panom chodzi?— rzekł wtrącając się do rozmowy — jeśli wiedzieć można?

— Mnie, po prostu o zajęcie i chleb idzie, odpowiedział Stanisław.

Księgarz i literat spójrzeli na siebie, a Bazylewicz usta wydął z litością szyderską.

— Znajdziemy ci cóś, rzekł namyślając się— przyjdźno do mnie.

— Gdzie mieszkasz?

— Ja? Ale z podkomorzym Kłapciem, bo i on tu przybył z familią na zimowisko. Gdyby nie córka w któréj się formalnie kocham, porzuciłbym już safandułę... Stojemy gdzieś na Bakszcie, mam pokoik osobny...

Księgarz tymczasem chodził zadumany po sklepie, nadarł sobie trochę włosów z twarzy, i wziąwszy wreszcie za łokieć Stasia, rzekł do niego:

— Przyjdź-no pan do mnie jutro rano, namyślemy się.

Bazylewicz, który się już do odejścia wybierał i rękawiczki naciągał, zaprosił Stasia z sobą na rozmowę, a nie chcąc go wlec aż na Baksztę, wszedł z nim do piérwszéj z brzegu cukierni, gdzie kazawszy podać ulubionego naówczas akademikom glintwejnu, zasiadł badać przybylca.

— No! cóż myślisz?— spytał, starać się o guwernerkę?

— Nie, rzekł Stanisław—jest to powołanie do którego nie czuję się usposobionym, a sumienie nie pozwala mi podjąć się tego, czegobym nie był w stanie spełnić uczciwie.

— Będziesz więc żył z pióra?

— Z jakiejkolwiek pracy, choćby z przepisywania... ale swobodny i niezależny.

— Daj ci Boże szczęście!— rzekł Bazylewicz, mnie już to guwernerowanie choć krótkie dojadło; jeśli mi się Emilki wykraść nie uda, nad czém pracuję, matkę już po troszę mając za sobą, rzucę to wszystko do licha, a wezmę się do wydawania przez prenumeraty. Lepszy to kawałek chleba niż pisanie, księgarze żyją z niego przecie.

— Ale... o czémżeście się to tak tajemniczo naradzali z panem X.?

— Tymczasowie podjąłem się wydawania dzieł Naruszewicza... cóś mi to przyniesie. Fabrykujemy, między nami mówiąc, parę Od, dla tego, żebyśmy powiedzieć mogli na tytule, że są w naszéj nowéj edycyi rzeczy całkiem nie wydane... Cha! cha! żebyś ty wiedział jak dobrze mi się udało pochwycić manierę Naruszewiczowską, i ten styl, w jakim naprzykład walił ksiądz biskup odę do słońca, zowiąc je:

Prawicy Twórczéj najdroższym sygnetem!

Stanisław zdumiał się bezczelności, z jaką to mó-

wił Bazylewicz, ale w piérwszéj chwili tak był zdumiony, że się odezwać nie śmiał.

—Szachraj księgarz, myśli że mnie w pole wyprowadzi, mówił daléj Bazylewicz potrząsając głową—ale zje licha, trafiła kosa na kamień; zobaczymy kto tu kogo odrwi.

Mowa ta dziwnie boleśnie zabrzmiała w uszach człowieka, który powołanie ludzi pióra przywykł był widzieć z cale innéj strony—jako poświęcenie i kapłaństwo.

—Ha!—rzekł—nie spodziewałem się, byś w podobne brudy umoczyć miał rękę.

Bazylewicz się uśmiechnął.

—Nigdy z ciebie nic nie będzie, odparł zapalając fajkę—dajmy temu pokój i nie mówmy o tém... Ja tak lub owak, dobiję się czegoś na świecie; ty albo się musisz odmienić, albo umrzeć z głodu.

—Wydałżeś to, na co ogłosiłeś prenumeratę?

—Jeszcze nie, rzekł zimno literat—łaję z góry prenumeratorów którzy się dopominają, a powoli drukuję. Że zaś pieniądze dawno stracone, każe się im dla nieprzewidzianych kosztów dopłacać przy odbieraniu książki.

Po tych wyznaniach, taki wstręt i oburzenie chwyciło Szarskiego, że nagle wstawszy z miejsca, nie mając nawet odwagi podać ręki Bazylewiczowi, uciekł cały w płomieniach z cukierni.

Krąg jego dawnych znajomości kończył się prawie na Bazylewiczu, bo professora Hippolita nie było jeszcze w Wilnie, a Iglickim tak się Szarski brzydził, jak spekulantem z którym tylko co zerwał; poszedł więc do samotnéj swojéj izdebki ze ściśniętém sercem, a jakiś stary nałóg bezmyślny powiódł go przez Niemiecką ulicę. Oko jego przywykłe szukać tu kogoś w oknie, podniosło się na kamienicę Dawida Białostockiego, ale w niéj było pusto i ciemno, sklep nawet stał zamknięty, z kartką do najęcia. Staś zatrzymał się niby spytać o dawnych znajomych, ale nie znalazł od kogoby się o nich dowiedział.

W ten sposób rozpoczęło się tęskno nowe jego życie, w śród niczém niezaludnionéj pustki, ze smutkiem w sercu nieuleczonym i jakiémś chłodném odczarowaniem. Jedno tylko miał lekarstwo na wszystko, wszechwładne panaceum — pracę. Sparty nad książką, zwieszony nad papierem, cofając się w przeszłość, zaszywając w cudzą skórę i cudze życie, uciekał od teraźniejszości, w śród któréj był obcym i niepotrzebnym. Praca też stała się dla niego koniecznością, warunkiem prawie przyszłego życia, którego stanowiła dźwignię jedyną. Nic dotąd nie stérowało jéj kierunkowi, prócz wewnętrznego usposobienia i potrzeby duszy; pisał więc co chciał, badał to co go pociągało, pracował jak zapragnął, ale nadchodziła chwila, w któréj się to zmienić musiało.

Nazajutrz zaraz, gdy o ósméj przyszedł do księgarza i zastał go już nad rachunkami, bibliopola zaproponował mu tłómaczenie

—Co pan chcesz bym tłómaczył?—zapytał Szarski.

—Naturalnie romans, rzekł księgarz — romanse ogromnie się czytają i rozprzedają; wprawdzie to co czyta u nas, czyta prawie powszechnie po francuzku, ale jest klassa, która ją małpuje a nie umié języka; dla téj potrzeba tłómaczeń.

To mówiąc bibliopola chwycił z półki powieść sześciotomową, z angielskiego na francuzki przełożoną, i pokazał ją Szarskiemu.

—Warunki zaś, dodał—są następujące: naprzód żebyś się pan na tłómaczeniu podpisał.

—Zgoda na to!—rzekł nie zastanawiając się Stanisław.

—I położym wprost—tłómaczenie z angielskiego.

—Tego ja napisać nie mogę, boby to było fałszem.

Księgarz się rozśmiał.

—No! no! kochany panie, zrobim tak, żeby był i wilk syty i koza cała, napiszemy tylko, tłómaczenie z Bulwera...

Staś zwiesiwszy głowę zamilkł, rozpatrując dość spore tomy przyszłéj roboty swojéj.

—Za to, ofiaruję panu...

Tu połknął ofiarę księgarz, pewnie ją zmniejszając w myśli.

—Ofiaruję panu—powtórzył.

Ale ofiara przez usta przecisnąć się nie mogła.

Nareszcie zdobywszy się na determinacyą, dodał cicho:

—Po sto pięćdziesiąt... złotych.

—Jak to?—zawołał Stanisław—za arkusz czy za tom?

—Za tom! za tom! może i to nawet za wiele, bo są którzyby mi to zrobili i taniéj, ale ja znając talent pański, ufając że to będzie cóś lepszego od tuzinkowych przekładów...

—Ale kochany panie, odparł uśmiechając się Szarski—gdybyś kazał tylko przepisywać.

—Jak pan chce! jak pan chce!—rzekł szybko na półkę zakładając książki bibliopola—więcéj w żaden sposób dać nie mogę. Za sześć tomów to wynosi dziewięćset złotych, piękny grosz! śliczny grosik! A nim się to odbierze sprzedając po egzemplarzyku... dobrze trzeba poczekać. Zresztą to robota lekka i miła, siądziesz pan i żartując napiszesz, potém poprawisz nie przepisując, a dziewięćset złotych zostaną w kieszeni!

Stanisław sam nie wiedział co począć, ale całego majątku pozostało mu cztérdzieści złotych w kieszeni, a nikomu ciężarem być nie chciał i z przykrém uczuciem konieczności, wziął książki podane mu skwa-

pliwie przez przedsiębiercę, którego oczy zabłysły ukontentowaniem.

— Ale mi to potrzebne prędko, rzekł księgarz — pilno, bardzo pilno, najdaléj za miesiąc lub półtora.

Nic na to już nie odpowiadając wyszedł najęty robotnik, aby się zaraz zamknąć przy nowéj pracy. Nie spodziewał się żeby mu szła tak ciężko, żeby tak była dławiącą i nieznośną. Mając w duszy własnéj wylewające się z niéj myśli bogate; czując mierność tego co przekładał, mozolnie i ciężko tłómaczył, to co mu się w duszy niezdawało wartem ukazać w szacie nowego języka. Przykuty do słów, do formy, do innemi drogami i ku innemu celowi idącéj myśli, był jak niewolnik którego łańcuch do taczki krępuje — ale potrzebował chleba i daléj iść musiał!

Jednego z tych dni nużących jednostajném powtarzaniem zimnych jakichś i obcych mu myśli, szarym mrokiem, wyszedł Stanisław przejść się trochę i odetchnąć świéższém powietrzem. Widok ulic, ruchu ich i wrzawy jakoś go krzepił złamanego ślęczeniem nad utrapioną robotą niemal machinalną, która nie dozwalając mu własnych rozwinąć pomysłów, krzyżowała je tylko. Wieczor był piękny, mimo pory roku spóźnionéj i zimy już blizkiéj, mnóstwo osób przesuwało się po trotuarach, krążyły powozy i ulice rozlegały się piosenkami sług idących po wodę, wesołych chłopaków i dziewcząt.

Stanisław z Trockiéj skierował się ku ognisku miasta, pod mury uniwersyteckie, koło których wiła się znowu młodzież akademicka, obca już dla wyzwolonego Szarskiego, a tak mu jego niedawne czasy przypominająca, bo dzisiejszą swobodę byłby chętnie na mundur zamienił.

Tu w rogu Kardynalii, znajomy mu żydek Jankiel, roznoszący książki stare, zatrzymał dawnego swojego klienta, pomnąc że nieraz już u niego stary surdut za starszą jeszcze wymieniał książkę.

— Niech-no pan zobaczy! — rzekł — proszę no pana zobaczyć... piękne mam rzeczy! Solikowskiego... Fredrę... Kobierzyckiego... a nawet raritas Włodka! Włodka! pan wié! w Rzymie drukowany!

Stanisław choć wcale nie miał ochoty kupować, wstrzymał się jednak dla tego tak szumnie zapowiedzianego Włodka, którego dzieło z powodu miejsca druku, jest istotną w handlu rzadkością... Przy żydzie stał maleńki staruszek w wyszarzanéj surducinie, w okularach, już tego Włodka trzymający w ręku i z pod mosiądzem oprawnych szkiełek pełne strachu rzucił wejrzenie na nowego współzawodnika, któremu nie puszczając z rąk egzemplarza, tytuł tylko jego w milczeniu ukazał.

— No! bierzesz dukata! — rzekł staruszek żywo.

— Ten pan więcéj da! — odparł żydek mrugając na Stasia.

—Ja i tego ci nie dam, zawołał Stanisław—bo kupować nie myślę.

—Nu! to zrobim handel!—przerwał Jankiel śmiejąc się.

—I handlu nie będzie!

—Egzemplarz powalany, z dopiskami—dodał staruszek, i tego nie wart...

—Aj gwałt! na to się pan skarży że z dopiskami! a to jeszcze droższy!

—Jak chcesz! dukat daję—z rąk nie puszczając rzekł stary który widocznie ślinkę połykał—no! bierzesz czy nie?

Zawahał się widocznie spekulant.

—Nie mogę!—odparł.

—No! to więcéj feniga złamanego nie dam!

Już odchodził ów oryginalny niepoczesny staruszek, gdy Jankiel przekonany że wytargował co tylko było można, wetknął mu w rękę Włodka, a biblioman opatrzywszy go bacznie raz jeszcze, dostał sakiewki nicianéj i z niéj wysypując po złotówce i berlince powoli z westchnieniem, dopełnił summy złotych dwudziestu, od których niewiele mu cóś zostało.

Jankiel pogonił za kimś innym, a dwaj nieznajomi pozostali z sobą oko w oko. Na licu staruszka swobodnie teraz malowała się radość i uśmiech igrał

filuterny, widocznie był w wyśmienitym humorze z powodu nabycia.

—A pan także—zapytał, amator bibuły?

—Amator, ale ich nie kupuję.

—Bardzo panu dziękuję, żeś mi nie podrożył Włodka... a mogę spytać o szanowne imie pańskie.

Szarski powiedział je, staruszek się zamyślił.

—A, to pan wydałeś poezye?

—Tak, to ja...

Skrzywił się nieznacznie okularowy jegomość.

—*De gustibus non est disputandum*, rzekł—choć poezye pańskie, w swoim rodzaju, na którym się ja nie znam, piękne być mogą, ja téj szkoły zwolennikiem nie jestem...

Poszli daléj w jedną stronę; rozmowa choć przerywana ciągnęła się powoli.

—Ja jestem klassyk, zabity klassyk, dodał staruszek—panu być musi znajome imie Benedykta Pleśniaka; poezye moje były drukowane z oklaskami w Dzienniku Wileńskim; słyszeć musiałeś o poemacie moim *Władysławiada*, nad którym, bez przechwałki lat już dwadzieścia i pięć pracuję... były z niego gwałtem mi porwane kawałki niektóre w Tygodniku Żołkowskiego.

Szarski skłonił głowę.

—Bardzo mi miło poznać pana dobrodzieja...

—A ja panu bardzo wdzięczen jestem, żeś mi przez

figiel młodości nie podrożył mego Włodka... radbym to panu zawdzięczyć. Masz pan czas?

—Trochę.

—Gdybyś pan zaszedł do mnie, przeczytałbym mu kawałek Władysławiady! pokazałbym mu nieco książek...

—Najchętniéj! najchętniéj, pójdziemy!

—Choć to prawdę rzekłszy, dodał Pleśniak—poezya panu nie będzie do smaku. Waćpanowie mytologii nie lubicie—cha! cha!—rozśmiał się stary, ale ja szczęśliwą i oryginalną myśl powziąłem, pan wie? zastąpiłem mytologią alegoryami... Jowisz zowie się u mnie Przedwieczny, Juno zrobiłem Opatrznością, Marsa Duchem Wojny, Wenus Miłością, aby tych wstrętliwych dziś imion uniknąć, a machiny się nie wyrzekać.

Tak rozprawiając, staruszek z Zamkowéj ulicy poprowadził swego towarzysza zaułkiem, a w dziedzińcu jakiejś staréj kamieniczki, dopadłszy wschodków i galeryi, pociągnął za sobą Szarskiego w ciemny zakątek. Tu dobytym kluczem drzwi otworzył i wprowadził go do ciasnéj izdebki, w któréj już całkiem było ciemno, choć oczy wykól.

—Nie ruszaj-że się asan dobrodziéj, rzekł gospodarz—póki ja ognia nie rozświecę, bo mógłbyś nadeptać skarb jaki... tych tu wszędzie pełno... Ot, zaraz, tylko krzesiwo znajdę.

Nie rychło jednak poznajdowały się krzesiwko, palone płótno, siarniczki i świéca, któréj blask rozszedł się nareszcie po lichéj komórce całéj zapchanej książkami.

— Ha! ha! — rzekł Stanisław rozglądając się — pan tu pokutujesz jak szczur w sérze.

— To praca życia całego! to skarby nieocenione! — zawołał staruszek, z dumą wskazując półki. — Rzadkości, kruki białe... czarne łabędzie... unikaty! Moja biblioteka komu nie potrzeba warta milion... słyszy pan! milion! Ja się znam na tém, dodał Pleśniak — i po swojemu robię fortunę, cena książek idzie w górę!

— Więc pan to zbierasz...

— Trochę z zamiłowania rzeczy, ale też i przez spekulacyę — uśmiechnął się stary; moi spadkobiercy gotowy znajdą majątek w tych szpargałach, które ja po ulicach zbierałem. Karta po kartce niemal wyłatałem tu Bielskiego in quarto! i dwa przepyszne egzemplarze dwóch wydań arkuszowych, Paprockiego, w którego Herbach jednéj mi literki nie braknie i Okolskiego z podwójnemi kartkami, najrzadszą rzecz w świecie!

Mówił, a oczy mu się iskrzyły, uśmiech rozświecał usta jego blade i znać było że ożył.

— Ale nie traćmy czasu, rzekł — bo świécy kawałek mały, a Władysławiady dużo; mógłbym panu pa-

rę ustępów przeczytać. Siadaj pan na tym kuferku i słuchaj, wynajdę co już mi się zda więcéj skończoném... choć wiele jest jeszcze do zrobienia, wiele! Ot, naprzykład, piąty już rok medytuję, czy lepiéj w wierszu 893 użyć:

rękę wypręża,

czy

rękę wytęża...

Korespondowałem w tym przedmiocie z najsławniejszemi krytykami naszego wieku; zdania są podzielone, niepewność wielka, sam nie wiem jeszcze na czém stanie. Czasem rok cały pozostaję przy wyprężeniu, to mi je znów wytężeniem zastąpić przychodzi. Sześć razy skrobałem ten wiersz 893, przepisywałem całą stronicę dla tego jednego wiersza, i boję się by mnie śmierć nie zaskoczyła w téj niepewności!

Po téj przedmowie, doskonale malującéj człowieka utopionego w drobnostkach, stary rozpoczął deklamacyą wstępu Władysławiady swojéj, gdyż wybor w śród jéj piękności zdał mu się za trudny. Stanisław słuchał cierpliwie, ale nie dziw, że to chłodne wierszowanie wyrazów i budowa z lodu rozgrzać go nie mogły. Zresztą, nie potrzebował Pleśniak, by mu ukazywano piękności, gdyż sam na nie zwracał uwagę, i wszelkiemi sposoby wymuszał na czytelniku pochwały. Cała piérwsza pieśń bez oddechu została połkniętą; szczęściem świéczka zaczęła pryszczeć,

trzaskać, dogorywać, drugiéj nie było i czytanie przerwać się musiało.

Staś chwalił mało, i Pleśniak nie bardzo był rad ze słuchacza, zimno więc dosyć poczęli żegnać się z sobą, i miał już odchodzić, gdy drzwiczki się otwarły i wpadł professor Hippolit, tylko co ze wsi przybyły.

—A! a ty tu co robisz, młody mólu!—zapytał śmiejąc się Stanisława zobaczywszy go u drzwi—co robisz u tego starego skąpca? czy jak ja przychodzisz pożyczać książki, i słuchać ustępów nieśmiertelnéj Władysławiady?

—Poznaliśmy się dzisiaj przypadkiem...

—Ale spodziewam się, że cię Władysławiada nie minęła?—rzekł śmiejąc się professor.

—Pieśń piérwsza.

—Późniéj przyjdą następne, do dwódziestéj czwartéj, bo jest ich okrągło dwa tuziny.—Panie Benedykcie, odwrócił się do gospodarza—przychodzę wysłuchać pieśni szóstéj i prosić cię o pożyczenie poezyi Grochowskiego i Miaskowskiego.

—Miaskowski Kasper! rzadki! o! rzadki. Rytmy! mam! Grochowski w oddzielnych broszurach także nie łatwy do dostania, ale i to tu jest?

—Wszak święcie pożyczone oddaję?

—Ani słowa!

— Pieśń szósta, rzekł niespokojnie poprawując resztkę świécy stary — jesteśmy w obozie.

— Słucham, odparł z westchnieniem professor i ja i Szarski — po czém będę prosić o książki i zmykam bo czasu nie mam.

— Zaraz, ale cóż pocznę ze świécą — zawołał stary — nie mam świécy!

— Gdyby też kiedy jaki funt smarkaczek kupił — rozśmiał się Hippolit.

— O! zapewne kupił! — ofuknął się stary — dobrze to gadać, albo to ja bogacz jaki! tyle ekspensując na książki, żebym jeszcze świéce kupował! Lokatorowie mi dają po kawałku i tak się żywię... pójdę na dół dostanę może... bo podobno pieśń szósta jest jedną z najlepszych. Zwłaszcza opis bitwy w któréj się bez Marsa obeszło, chociaż go czuć wszędzie... i armaty grają a nigdzie po imieniu ich nie zwałem i to sztuka! tylko mi książek nie ruszajcie!!

To mówiąc pan Pleśniak poszedł po świécę zostawując na chwilę sam na sam Stanisława z Hippolitem.

— Co to za oryginał! — odezwał się Szarski.

— Jeszcze go znasz mało, rzekł Hippolit — jest to jeden z tysiąca typów przeszłości, literat, poeta i spekulant książkowy, biblioman, który kupuje kapitalizując grosz w papierze... a przytém skąpiec, żywiący się jak widzisz, resztkami ogarków od loka-

torów swoich, choć jest właścicielem kamienicy i autorem Władysławiady! Nie pamiętam już wiele lat tworzy, poprawia poemat swój, i czyta go wszystkim kogo tylko złapie. — Będziemy dziś mieli pieśń szóstą... muszę jéj wysłuchać dla miłości Grochowskiego i Miaskowskiego, a ty dla mojéj!

Stary wpadł szybko z łojówką w ręku, rzucając niespokojném okiem po książkach i chwyciwszy rękopism rozpoczął zaraz pieśń szóstą od inwokacyi Ducha Wojny... Zagrzmiały ogniownętrzne kłody (działa), zionęły paszcze ich płomieniem i gradem i dobre pół godziny trwał bój okrutny rzeczy ze słowami, myśli z szatą w któréj się ukazywała, nareszcie niecierpliwy Hippolit klasnął w ręce i wstał.

— Wiesz zacny panie Benedykcie, rzekł żartobliwie, w téj pieśni przeszedłeś sam siebie, nic podobnego nie znam w całéj literaturze naszéj — bój homeryczny, a największa sztuka, że wszystko umiesz powiedzieć unikając trywijalności, przez omówienia pełne kunsztu i dowcipu... kończ tylko a uwijemy ci wieńce...

— No! no! dosyć kpiarzu jakiś, uśmiechając się odparł Pleśniak, a kiedy mi odniesiesz Grochowskiego i pana Kaspra?

— Przygotuj-no tylko pieśń siódmą i Samuela ze Skrzypnéj Twardowskiego, a będziesz mnie miał rychło. To mówiąc ujął książki w jedną rękę, drugą

pochwycił Szarskiego i wyszli od pana Pleśniaka, który natychmiast świécę zdmuchnął i drzwi za niemi zaryglował.

— Masz tu jedną tylko próbkę literata, rzekł schodząc ostróżnie po przepaścistych wschodkach Hippolit, a raczéj tego co ze słabéj głowy naśladownictwo zrobić może. Oto lat kilkanaście życia, których mógł użyć korzystnie na uczciwe poszukiwania historyczne, pogrzebł w tym poemacie, w którym poezyi nie ma ani kropli, sensu ani odrobiny, żadnéj myśli świéżéj, jednéj formy nowéj. Ale takich jak Pleśniak znajdziesz w różnym rodzaju po naszym świecie tysiące, przeznaczeniem ich było małpiarstwo, i ci nie mogą powiedzieć, by swojéj nie spełnili missyi. Rodzą się istotami biernemi, a los stanowi o tém co małpować mają, zaleci ich cóś nowego czy starego, już pochwycili temat i dość im na całe życie wątku do mozolnéj łataniny. Jest cóś w takich umysłach osobliwszego, to naiwność z jaką cudze biorą za swoje. Wczoraj powiedziałeś im myśl jaką, oni ci ją jutro oddają popsutą za własną, nową, za wyrosłą z ich głowy. Dość dla nich przespać się na cudzém, aby się stało ich własnością. Nie dodadzą nic nowego, nie wyrobią, nie rozszérzą, ale zżują i wyrzucą, czego strawić nie mogli. Mniejsza o poemat którego nikt czytać nie będzie, ale massy ksiąg wychodzą nakształt tego poematu tworzonych na cudzéj

przędzy. Musi to być na coś potrzebném, kiedy się ten fenomen powtarza, kiedy się to drukuje i rozchodzi; ale ja zawsze dziwię się niczemu więcéj nad zarozumiałość tych ludzi co pożyczaném piszą, pewni będąc że się nikt na tém nie pozna. Pleśniak zresztą jest maroderem wielkiéj armii klassyków, która nie uznawszy się zwyciężoną, zwróciła ku larom i penatom, trąbiąc na odwrót jak na zwycięztwo.

— Oprócz niego znajdziesz do koła mnóstwo ludzi, co jak on, wierni dawnym bogom, palą im ofiary jeszcze i literaturę po staremu za jakąś uważając zabawkę, trapią się akrostychami jak zadaniem kwadratury koła, lub po setny raz tłómaczą Ody Horacyusza, coraz je czyniąc niezrozumialszemi. W rodzaju Pleśniaka mamy historyków piszących od lat dwudziestu, dzieje naprzykład trzech lat trzynastego wieku, o których trzech słów sumiennie powiedzieć trudno; zbierających materyały bez końca, bo nie wiedzą co zrobić z niemi. Geniusz odgaduje, oni gotowego nawet zrozumieć nie umieją, zawsze im mało jeszcze, zawsze czegoś braknie, zawsze pozostaną zawahani, czy bohater ich nazywał się tak lub owak, lub czy się z 15go na 16ty, czy z 16go na 17ty grudnia urodził.

Świat ludzi myśli i pióra jest tak ogromny, rozmaity i ciekawy, ciągnął daléj przerywając sobie

chwilami professor Hippolit—jak inne światy Boże, a kto weń spójrzy bacznie, napatrzy się dowoli osobliwości.

Oto na szczycie prawdziwi a niepohamowani poeci, których boleść, zapał święty, wiara gorąca, miłość wielka, uczyniły wieszczami. Są to arcykapłani świątyni, wielcy ludzie, gdy z trójnoga ogłaszają wyrocznią ludowi, często znów do niepoznania drobni, gdy z niego zejdą na ziemię. Jedna połowa ich życia zabija drugą; kazałbym im jak cesarzowi chińskiemu schować się za zasłonę i nigdy nie pokazywać inaczéj, jak w wielkich chyba uroczystościach; lub jak Sybillom rzucić księgi ludowi a samym zniknąć. Żaden z tych olbrzymów nie może być ani całe życie sobie równym, ani ciągle poetą; ztąd męki dla niego i zdumienie ludzi. Śpiew nawet, który z ust ich nie ich wiedzą i wolą wychodzi, co lat kilka jest inny i barwę odmienia... słabnie... zwraca się w różnych kierunkach, ucicha. Poeta w końcu jak lampa, z któréj się olej wypalił, pozostaje zimném naczyniem... Szczęśliwi, których pieśń młodzieńcza była śpiewem łabędzim. Nie jeden z noszonych na ręku, który miał w piersi jedno tylko słowo do wypowiedzenia światu; nie umiejąc umrzeć w porę, to jedno słowo powtarza, gdy już dziesiąte po niém inne wygłosiły usta.

W drugim rzędzie stoją poeci jeszcze, ale to już

nie olbrzymy owe, choć w nich płonie iskierka czegoś, myśl jakaś drobna, dar jakiś maluczki. Czasem w ich żywocie jest chwila, że głosem wieszczów śpiewają i omamiony tłum poklaskuje im jak wieszczom; ale resztę życia, bawią się złapanym oklaskiem, nie mogąc nań drugi raz zasłużyć. Kiedy w nich młoda iskierka zagaśnie, a popioły wytleją i zastygną, ludzie ci nie padają martwo jak wieszcze-olbrzymy u ołtarza, żyją zręcznością i sprytem. Jak płazy, których rozcięte członki ruszają się długo nim skostnieją, oni też nie żywi udają życie. Nauczyli się, obserwacyą drugich i siebie, którędy chodzi uczucie, jak wygląda i jakim mówi głosem; udają więc wybornie czego już w nich nie ma i zwodzą tych, co nie mają instynktu piękna, przez małpiarstwo tylko wznosząc ku niemu oczy. Są to poeci klassy nie poetycznéj ludu, dla któréj w sam raz te pieśni, jak dla pewnych pijaków bez smaku w gębie fałszowane wino szampańskie. Ci poeci będą ci robić i robić nieźle wszystko, poemat, dramat, odę, satyrę, bajki, epigramata, według mody, formy i upodobania wieku... bo im to wszystko jedno, czy szyć bóty, czy trzewiki — są to majstrowie-poeci.

Za niemi czy przed niemi idą, nie wiém, ci ludzie którym Bóg dał poezyę w duszy, a zawiązał usta, nie dając formy i sposobu wypowiedzenia co czują... Są to prozatorowie-poeci, cóś nakształt lubowników

muzyki u których dusza pełna śpiewu, a w gardle brak głosu — litujmy się nieszczęśliwym!

I daléj szeregiem długim... ludzie myśli, ludzie pracy, ludzie wiedzy, i kapłani i massy...

Ludzie myśli są rzadkiemi; nie liczę tu tych, co jednę tylko w życiu mieli i na niéj zawsze jak Ś. Marcin na białym koniu jeżdżą; ale o tych mówię, w których myśl żyje, wyrabia się, rośnie, potężnieje i samoistnie przerabia co tylko dotknie. Ci są najnieszczęśliwsi z całego świata, wyjąwszy poetów; oni wypowiadają, co wyśpiewują tamci — słowo przyszłości, oni przepowiadają jutro, ale teraźniejszość jak Sokratesowi zawsze im płaci cykutą, oszczerstwem lub kamieniem za odwagę, z jaką zaglądają w drogę dla innych ciemną. Ludzie myśli rodzą ją najczęściéj, nie umiejąc ani wykołysać, ani wyhodować, ani nauczyć ją mówić... dzieci ich jak podrzutki Jana Jakóba chowają się w szpitalu. Piérwszy lepszy człek miernych zdolności i pracy przypije się do tego niemowlęcia i wyhodowawszy je za swoje podaje światu. Z tych, których ludzie mieli za geniusze wielkie, połowa przynajmniéj byli to tylko zręczni, śmieli przywłaszczyciele, którzy cudzym groszem kupili sobie sławę nieśmiertelną. Myśl rodzi się prawie zawsze w jakimś bezimiennym mozgu, a dojrzewa powoli w drugim, i często trzecie dopiéro usta roznoszą ją po świecie, czyniąc dla ogółu przystępną;

Sic vos non vobis.

Za temi idą ludzie wiedzy, którzy się obżerają faktami, i siakim takim cementem lepiąc te gruzy, uchodzą za wielkich budowniczych... Ich głowy mieszczą w sobie ogrom ładunku jak wielkie kupieckie okręty, a często samo zestawienie tego mnóstwa danych obok siebie, z porównania ich między sobą, daje coś nowego i niespodzianego. Do ostatniego rzędu ludzi tego rodzaju należą szperacze mozolni, komentatorowie, uczeni drobnostkowi, którzy czasem całe życie spędzają zasklepieni w jednéj dacie i służą swym następcom za wyborny materyał, bo nic w tym makrokosmie ducha, nie jest bez użytku i celu.

Ludzie mniejszego talentu, zawsze pracowitsi bywają od geniuszów, których natchnienie zabija, ale i ci mają przyczynę bytu i potrzebne stanowisko. Przy wielkiéj budowie trzeba i wyrobnika coby plac oczyścił, i tragarza coby cegłę nosił, i osła nawet coby woził wodę, i mistrza, któryby kierował robotą stojąc sam z założonemi rękami, i bezmyślnych rzemieślników, coby w naznaczonéj przezeń linii, kładli wapno i kamień.

Dalekobyśmy zaszli, gdybyśmy chcieli całą tę rozmaitość umysłów i cały ten tłum pracowników przeglądać... Naostatku położyłem podobno pisarzy-kapłanów, przejętych świętością powołania swego, bo

ci też w naszym się wieku urodzili, a najmniéj ich mamy.

Literatura jak wszystko w dziejach świata, miała swe niemowlęce, młodzieńcze i dojrzałości lata. Zawsze byli poeci i pisarze-kapłani, ale dziś dopiero może wiémy o kapłaństwie naszém i szanujemy w sobie prawdę, któréj ołtarz otaczamy.

Ztąd żywot prywatny pisarzy uledz musi potężnéj reformie, bośmy się postrzegli, że z nieczystą ręką nie godzi się do świętych przystępować tajemnic. Pamiętamy jeszcze czasy, gdzie nie tylko geniusz, ale lada jaki talencik, do próżnowania, rozpusty i rozpasania dawał prawa; dziś jest lub być powinno wcale inaczéj — geniusz i talent obowiązują do poświęceń i przykładu.

Tak rozmawiając zaszli aż na Trocką ulicę, a Hippolit rozśmiał się z siebie, gdy postrzegł, że go tak daleko zaprowadziła rozprawa na Władysławiadzie poczęta.

— Dobranoc ci poeto, rzekł — i życzę, by ci się nie śniły ani pieśń piérwsza, ani szósta poematu starego naszego kolegi.

Tłómaczenie Bulwera, po przezwyciężeniu wstrętu, szło dosyć szybko, a że księgarz chciał je wydać co najprędzéj, by go kto nie uprzedził, i już był

nawet wystąpił z szumnym prospektem, gdy mu tom piérwszy skończony przyniósł Szarski, zaraz go drukować kazał.

Z wypłatami jak zwykle były ceregiele, trudności, zwłoki i drobne szachrajstwa, ale na to nie było sposobu. Około czwartego tomu coraz gorszą i kwaśniejszą miną począł bibliopola przyjmować swego tłumacza.

Parę razy spotkali się u niego Szarski z Bazylewiczem, ale ostatni obrażony widocznie znalezieniem się Stanisława w cukierni, uchodził jak go tylko zobaczył.

— Coś to pan zrobił Bazylewiczowi? spytał wreszcie księgarz Szarskiego — co przewiniłeś przeciw majestatowi Iglickiego? wszyscy są przeciwko panu.

— Ja? rzekł zdziwiony Szarski — prawdziwie nie wiém, czém się im mogłem narazić; chyba tém, że zawsze prawdę mówię, lub uczuć ją daję.

— Jest to bardzo zły system, odparł bibliopola zimno — prawda nie zawsze jest rzeczą strawną...

— Ale zawsze potrzebną, dodał Szarski, Iglickiemu nie kłaniam się, nie pochlebiam, nie czapkuję, nie poję go, bo dla niego nie mam szacunku.

— Złote pióro! złote pióro! rzekł składając ręce księgarz, każ mu pan co chcesz *ex abrupto* napisać, siędzie i tnie aż strach! Szkoda jednak że pan z nim źle jesteś... Co się tycze Bazylewicza, talent

zdaje się niewielki, ale takt ogromny, spryt przerażający, zna interes... pójdzie daleko! Z wszystkiemi dobrze, każdemu pochlebia choć nie ma z kogoby nie drwił w duchu. Niby na oko ostrą mówiąc prawdę, zawsze wie gdzie kogo szamerować, i wyspowiada się z naganą tam, gdzie nie lubią tego komu łatki przypina. A jeśli przypadkiem wśród klassyków napadnie na klassycyzm, trzeba widziéć jak on to zrobi zręcznie! Uchodzi więc weredyka, a z ust jego słodkie słówko podwójną ma cenę..- Doskonale zna przytém zakulisowe sprawy literatury, fizyologiją prospektu, charakterystykę ogłoszenia, fascynacyą tytułu, siłę rzuconego dwuznacznie słówka... Szkoda że pan niémasz jego zręczności, żal żeś go czémś obraził... od niejakiego czasu z przekąsem mówi o panu.

—Cóż robić! odparł Stanisław z uśmiéchem.

—On, Iglicki i kupa innych za nimi, krzykną na pana, a do początkującego jak tych kilka strzałów choć z wiatrówek wypali, dosyć by go zabić.

—To pewna, rzekł Stanisław, że ja zbyt może z wysoka i poważnie widzę literaturę, i nie mogę poniewierać się w intrygach jakichś dla sławy. Jeśli mi jest co zarzucić, nie chcę by milczano, prawda prędzéj czy późniéj musi się wykluć na wiérzch; jeśli zarzuty będą niesprawiedliwe, osobistością i

niechęcią tchnące, odpowiem na nie, a sąd ogółu zawyrokuje między nami.

— Ogół, rzekł coraz zimniéj księgarz— jest zawsze za temi co drwią, nie za temi co rzeczy biorą poważnie; druga zaś reguła, jeśli jeden przeczy, drugi twierdzi, przeczenie u ogółu ma zawsze dziesięć szans przeciwko jednéj.

— Tém gorzéj dla ogółu, rzekł Stanisław.

— Ale nie lepiéj i dla pana, dodał bibliopola. Przyznam się mu szczérze, że jeszcze tłumaczenie pańskie nie wyszło, a już słyszę o krytyce... musiałem użyć całego mojego wpływu żeby ją powstrzymać, bo by szkaradnie rozkupowi zaszkodziła.

Stanisław nie miał dłużéj ochoty rozprawiać i ze wstrętem ledwie dosłuchawszy aforyzmów księgarza, wyszedł od niego zniechęcony. Szczęściem, bezpieczniejszy teraz trochę o chleb powszedni, którego wiele nie potrzebował, mógł znowu pracować swobodniéj, iść gdzie go myśl niosła skrzydlata, i w tych zachwytach tworzenia znajdował nagrodę za kwasy i gorycze drugiéj życia swego połowy.

W ciszy swéj izdebki, sam z myślą swą tylko, nie jeden wieczór spędził w roskoszném marzeniu i widzeniach, na których wypowiedzenie nigdy może sił mu nie miało wystarczyć.

Jasno stawały przed nim piękności tysiące szeleszcząc skrzydłami, ale ich obraz ledwie pochwy-

cony okiem, znikał kiedy go chciał zatrzymać. Ten bój z ideałami uciekającemi w niebiosa, to rozbratanie się ze światem pospolitym i codziennym, dla drugiego lepszego, codzień więcéj miało dla niego ponęty.

Zadumany siadał jak Bramin otaczając się tworami wyobraźni i czytał wielką księgę dzieł, na którychby napisanie nie starczyło życia. Tysiączne pomysły, obrazy, plany wysuwały się dlań z obłoków, przeciągały przed nim i nikły.

Życie poziome szło tymczasem w poręcz zaprzężone z rumakiem niebieskiego rydwanu, zastanawiając co chwila w polocie pegaza, brakiem siły i znużeniem. Trzeba było rzucać poemat zaczęty, by tłumaczyć Bulwera dla chleba powszedniego, lub iść się z księgarzem ujadać, ktory był zawsze nie kontent czy z powolności, czy z pośpiechu w robocie.

Tomy téj nieszczęśliwéj pracy drukowały się szybko i nareszcie wyszły na świat, a szumna reklama dość niezgrabnie napisana, ukazanie się ich zwiastowała w sposób tak przesadny i niezręczny, że sam Stanisław przepowiedział drwiny, do których ona powodem być musiała.

Jakoż nie długo czekając, zjawił się w gazecie artykuł obejmujący niby rzut oka na piérwsze prace Szarskiego, a w istocie będący nielitościwém z niego i ostatniéj jego roboty szyderstwem. Ar-

tykuł ten był bezimienny, ale w niektórych jego ustępach rozpoznać było łatwo złote pióro Iglickiego na tle mogącym do Bazylewicza należeć. Numer gazety zawierający ten paszkwil sam bibliopola jako powód może do niedopłacenia za ostatni tom przekładu, przysłał Stanisławowi, który go zrazu przeczytał zimno, ale rozmyśliwszy się okrutnie zgryzł i oburzył.

Sąd nie mógł być niesprawiedliwszy, ale za to płynął strugą żółci i sarkazmu. Piérwsze poezye u Dworca wydane, poemat Pryska i ostatnie tłumaczenie zgnieciono na miazgę, tam naśladownictwo, ówdzie wyrywanemi słowy, próżnego dowodząc uganiania się za oryginalnością. W ostatku sama rozmaitość rodzajów, w których probował się Szarski, bronią się stała przeciwko niemu. Nazwano go *Deus ex Machina*, za to, że gotów był pisać poemat i tłumaczyć Bulwera jednym zamachem, tą gotowością zabijając talent jego. W tłumaczeniu pokazano nieznajomość języka, błędy grammatyczne (o co przy omyłkach druku było łatwo), pośpiech i pracę dla chléba.

Wszystko to osolone było tak mocno, że łzy potoczyły się z oczów biédnemu chłopcu czującemu się jakby zbryzganym tém błotem, jakby we własnych poniżonym oczach. Zwątpił on o powołaniu,

o talencie, o przyszłości, o potędze myśli własnéj, o wszystkiém.

Wieczór przeszedł w tych konwulsyach i miotaniu się, jakie wywołuje zawsze piérwsza w życiu doświadczona niesprawiedliwość.

I byłby może Stanisław skruszył pióro, w inny rzucając się zawód, gdyby professor Hippolit przeczuwający wrażenie jakie zrobi na nowicyuszu ten krwawy policzek nieprzyjaciół, nie nadbiegł ze słowem pociechy.

Dość mu było spójrzéć na Stanisława, by stopień jego rozpaczy odgadnąć; na stole zresztą leżała gazeta.

— Widzę jak na dłoni, rzekł śmiejąc się, co się z tobą dzieje, myślisz porzucić pióro, chcesz się bić, chcesz odpowiadać, wściekasz się, gryziesz, wątpisz!

— W istocie, jest to wszystko razem co mówisz, i więcéj jeszcze.

— A! wszystko to jak ospa minie! zawołał Hippolit— zaszczepią ci obojętność jak mnie. Naprzód rozbierzmy kto to pisał? Bazylewicz którego obraziłeś śmiertelnie okazaną mu pogardą, Iglicki, który się darmo współuczestnictwa wypiera... Spotkałem go na ulicy, przysięga się że niewinny, ale go zdradza szpilkowanie. Jego krytyka jest czémś nakształt wymyślnéj owéj bajecznéj męczarni chrze-

ściańskich dzieci przez żydów; całe ciało szpikuje drobniutkiemi razami.

—Ale oni mogą mieć słuszność! zawołał Stanisław— ja może nie mam talentu!

—Zróbmy próbę, rzekł Hippolit, upój dziś Iglickiego, pogódź się z Bazylewiczem, a jutro ci napiszą *junctis viribus* apologią.

—A! wartoż to żyć na takim świecie!

—Warto, żeby się śmiać z niego jak ja. Nie wszystko zresztą jest takim błotem jak ci panowie.

—Szkarada! o! szkarada!

—No! ale inaczéj nie przerobim ich, przerabiajmy tymczasem siebie.

—Ja? siebie? jak to?

—Niezrozumiałeś mnie, zostań czém jesteś, a przerób tylko nieszczęsną drażliwość swoją.

—Ja im muszę odpisać! zawołał Stanisław.

—Niewarto, bo ci ludzie sami nie wierzą w to co piszą— ale jeśli ci koniecznie potrzeba splunąć to co na sercu, wal a mocno!

I tak Stanisław siadł do swojego drugiego artykułu do gazety, który silnie miał być apostyllowany, żeby dostąpił honorów druku.

Wśród tych głosów tysiąca, które dyktują osobistość, niechęci, uprzedzenie, interessa, zawiść,

ubarwionc tysiącznemi ślicznemi powodami, kiedy się ozwie głos szczéry, z serca, młody, szlachetny i czysty, dziwnie się odbije wśród téj brudnéj wrzawy. Jest w nim coś tak warjacko-szczytnego jak w wyprawie Don Kwichota. W historyi krytyki, od czasu jak Zoilów zastąpili ludzie co się niby na pewnéj opiérając teoryi, poważnie o rzeczach sądzić mają— ledwie znajdziemy kilka głosów zupełnie beznamiętnych, niepodejrzanych i sumiennych... są to fenomena i wyjątki. Reszta tłumu pisze aby się odznaczyć, aby błysnąć, aby pisać, podpisać się i popisać, aby zrobić boleśną komuś incyziją, a innemu przysługę i t. p. Nie powiém, żeby ci nawet krytycy z fantazyi, z potrzeby, zapłaceni, uproszeni, zniechęceni, nie mieli czasem trafić na cóś słusznego i prawdziwego, owszem twory ludzkie ile ich jest, tak są wielostronne, że w nich łatwo złe odkryć i dobre. Krytyk który chce być sprawiedliwym szuka jednego i drugiego; namiętny kosztem jednéj podnosi drugą stronę i w tém jest właśnie niesprawiedliwość i fałsz. W sądzie jego niknie cała jakaś strona utworu, a występuje dzieło przepołowione i rozcięte, czy je pochwala, czy gani.

Rzadki i bardzo rzadki jest człowiek sumienny, coby nieprzyjacielowi oddał sprawiedliwość, a przyjacielowi powiedział prawdę nagą; to też gdy głos

podobny da się słyszéć, samą swą nowością i siłą tajemniczą pociąga ku sobie.

Takie wrażenie uczynił artykuł, który Stanisław napisał w swojéj obronie— nie była to prosta *oratio pro domo sua*, ale teorya krytyki, myśli, wzniosła o posłannictwie i obowiązkach, przyznanie się do winy, śmiałe wskazanie grzechów własnych i cudzych— cóś tak z serca wylanego, pełnego życia, ognia i talentu, że i gazeta chętnie tą gorącą umieściła obronę i Szarski wyżéj nią może stanął w opinii, niżeli wszystkiém co dotąd uczynił. Zresztą pokazawszy i odwagę i siłę, onieśmielił swych nieprzyjaciół, którzy ostróżniéj chodzić koło niego postanowili, lub więcéj mu w drogę nie włazić.

Po ukazaniu się téj odpowiedzi, przez kilka dni o niczém w Wilnie nie mówiono tylko o niéj, wyrywano ją sobie w kawiarniach i cukierniach, czytano głośno po domach, a z powodu rozgłosu jaki miała i dawne pisma Stanisława ściągnęły więcéj uwagę. Było w niéj trochę ironii bolesnéj, i niejedno namiętne słowo podyktowane cierpieniem, któreby teraz, zimniéj się zastanawiając, odmienił może Szarski, ale to właśnie może czyniło ten artykuł tak ponętnym.

Iglicki spuścił nosa, ale teraz bardziéj niż kiedykolwiek wypiérał się zaczepki, a Bazylewicz umywał od niéj ręce całkowicie. I stało się wypad-

kiem że to co najwięcéj zaszkodzić miało poecie, najbardziéj mu podobno pomogło.

Odebrał zaraz grzeczny bilecik od bibliopoli zapraszający go na kilka słów do księgarni, a po ulicach tak go łapali najmniéj znajomi, tak zapraszali ledwie raz widziani ludzie, że Szarski nie mógł się téj zmianie usposobienia powszechnego wydziwić.

— Widzisz, rzekł Hippolit, który serdecznie radował się powodzeniu przyjaciela, nie zawsze krytyka najzłośliwsza trafia do celu, ci których najwięcéj prześladują, najwyżéj z łaski jéj idą. Imie się rozgłasza, walka literacka je roznosi, i powoli to co miało sławie zaszkodzić, daje sławę. To pewna, że Iglicki i Bazylewicz o kilka stopni wyżéj niż byłeś na ramionach cię swoich podnieśli, do czego przyznać się wstydzą, choć i ich to w oczy kole. Zabójcza taktyka milczenia, daleko jest szkodliwszą i rozumniejszą... ale jéj tylko starzy i wytrawni używają nieprzyjaciele. Umiéć milczéć i niewidziéć gdy co w oczy skacze, jest zawsze nieposlednią sztuką.

Szarski pobiegł do księgarza, który — o cudo! prosił go nawet siedziéć i potraktował hawańskiém cygarem, nie było już mowy o tłómaczeniu.

— Pan dałeś dowód takiego talentu, w nowém swojém wystąpieniu, rzekł spekulant, że literatura ma prawo po panu wymagać oryginalnego dzieła,

niech-że ja te dziecię do chrztu trzymam... A nie masz pan co gotowego?

—Cóś jednego tylko, w nieokreślonym rodzaju, fantazye, jakieś, obrazy, cóś nakształt powieści, niby romansu ułomki... ale prozą.

—A na miły Bóg, dawajże mi to pan! zawołał ściskając go księgarz, dawaj, natychmiast drukuję.

—Ale muszę wykończyć, poprawić..

—Pan popsujesz tylko! rzeczy takie tracą na opiłowywaniu, trzeba je zostawić jak były stworzone... kończenie i przekończanie to robota klassyków... Kiedyż to będziemy oglądali? a nadewszystko jaki będzie tytuł?

—Tytuł jest... *Fantasmagorye*, rzekł Stanisław.

—Sliczny, cudny! wyborny tytuł! zawołał bibliopola w uniesieniu— pan masz istotnie szczególny talent do tytułów! Jaka jest objętość rękopismu, dwa, trzy...

—Ale jeden i to mały tomik.

—Nie możnaby go, nasztukować, powiększyć? bo jednotomowe dzieła źle się sprzedają!

—Więcéj nie dam nad to co jest— to nie moja rzecz zresztą ale pańska.

—No, wieleż pan chcesz za ten tomik?

Stanisław miał wstręt do targu, i od razu zerwał rozmowę, ale nie dał się tak łacno odpędzić

księgarz, i póty nalegał, póki owych fantasmagoryi nie nabył.

Było to cóś w istocie bardzo dziwacznego, jakby marzenie Jean Paul'a, pomieszane z obrazkami Hoffmanna, ze śmiéchem Molierowskim, z wykrzykami boleści Shakspearowskiemi; obok scen komicznych, dramat i tragedya, sielanka i satyra. I jak w godzinach wieczornych myśl puszczona swobodnie snuje się, kłębi, barwi, ulata, fantastyczne wspomnień, nadziei i dziwacznych snów przybierając postacie;— tak tu mięszały się sceny najsprzeczniejsze, stanowiące niby jednę całość niedobrze zszytą dla tych, co lubią by im scena za sceną jak żołnierze w szeregu stały;— ale jednak jednolitą i pełną.

Wszystkie głosy duszy odzywały się w téj książeczce, w któréj autor chciał sprobować z kolei każdéj struny swego ducha.

W literaturze była to właśnie chwila innowacyi, i ten silny wylew młodéj duszy nie mógł przejść niepostrzeżony, bo się odcechowywał na tle ogólném, właściwemi znamionami. Jak każdy młody, Stanisław więcéj do niego czerpał z siebie niż ze świata, i to może czyniło go żywszym, prawdziwszym, bo wzór stał przed malarzem cierpliwie.

Nie dał mu pokoju bibliopola póki rozrzuconych kartek mających składaé tę książczynę nie poła-

pał, nie pozszywał i nie schwycił, wcześnie ogłaszając arcydzieło.

I zła to była i dobra taktyka... pół przynajmniéj czytelników wierzy w arcydzieło przychodzące z patentem gotowym, drugiéj połowie mającéj w sobie ducha oppozycyi, zawsze to co ogłaszają doskonałém, wyda się bladém. Dość jest cokolwiek bądź zbytecznie zachwalić, by się mniéj dobrém pokazało. Że jednak ci co sami przez się nie sądzą liczniejsi są od tych, którzy własny jakikolwiek sąd mają, bibliopola dobrze się obrachował trąbiąc zawczasu że drukuje rzecz niezmiernie oryginalną, nową i przeznaczoną do wielkiego rozgłosu... kłamał nawet dziwy o wrażeniu jakie rękopism zrobił na tych co go czytać mieli i t. p.

Tymczasem podrastający w sławę pisarz, prowadził życie nędzy i roskoszy, od jakiego począł swój zawód; marzył głodno, tworzył ze łzami, pojąc się pracą samą i nadzieją że na głos jego tysiąc serc uderzy. Sława z jego ówczesnego stanowiska, zdawała mu się tylko współczuciem spotęgowaném, zidealizowaném, podniesioném do jednolitości chóru pełnego niebieskich harmonii.

Nie rozbierał on jak Iglicki elementów sławy ludzkiéj, która się składa niestety, chemicznie ją biorąc, z ciekawości, z głupstwa, z małpiarstwa a najmniéj może ze współczucia rzeczywistego, któ-

rego kropelka na spodzie najróżniejszych ingrediencyi, leży utopiona w morzu obojętnych żywiołów.

Brał więc z wdzięcznością wszystkie otaczające go oznaki ciekawości za sympatyą, na której siłę rachować cóś było można. Nie brak mu teraz było i znajomych i zapraszających i przyjaciół, którym lubo było nosić po mieście słowa jego powykręcane, mówiąc że je z ust jego wczoraj jeszcze tak a tak słyszeli. W początku chodził wszędzie tracąc czas na próżne przysłuchiwanie się czczemu szelestowi wyrazów i grzeczności, ale wprędce poczuł że to nie karmi, że to jest życie w którém przyzwoitości i formy wszystko a wszystko zastępują, a na korzyść ślepych nikomu nie wolno przyznać się że od nich widzi więcéj. Błądził więc wśród tego zbiorowiska ludzkiego osamotniony znowu, smutniejszy niż kiedy, bo nie miał ani Sary, któréjby mu spójrzenie śpiéwało poemata, ani widoku boleści Dormundowéj, dojmującéj, ale wyzywającéj do czynnego udziału, ani poczciwych towarzyszów wiążących się z nim tylą wspólnemi myślami.

Wszystko to rozleciało się po świecie, rozniosło, znikło, rozwiało... Stanisław chodził jeszcze często na ulicę Niemiecką, a mijając dom Dawida Białostockiego, spoglądał w okna ku swojemu poddaszu, a nigdy nic tu nie przypomniało mu chwil

bezpowrótnie, ciężko ale rozkosznie spędzonych. O Sarę zapytać nie śmiał, szukał jéj tylko oczyma napróżno i znaleźć nie mógł.

Dawni znajomi przenieśli się gdzieś wszyscy daleko, a tak ich serce pragnęło!

Raz czy dwa przemknął mu się powóz księcia Jana i Adeli, i temu nawet rad był zjawisku, choć na widok jéj, pierś się już nie poruszała.

W domach w których bywał, nic doń głębiéj nie przemawiało, śmiały się usta, iskrzyły oczy, wyciągały dłonie, ale z nich nie dobywało się nic istotnie sympatycznego; ludzie zimni nie dają się pokochać gorąco. Ze starych przyjaciół jeden mu pozostał Hippolit...

Tęskno było Szarskiemu, ale i tęsknica sieje poezyę w duszy; błogosławić ją był powinien, choć nie raz oblewał łzami. Któż nie cierpiąc był poetą i komu za piastunkę nie służyły boleści? Szczęście usypia tylko...

Tajemnica, okrywająca dla niego los Sary, któréj rozwiązać nie mógł czy nie chciał, jedna jeszcze jakimś węzłem łączyła go ze straconą przeszłością. Nic łatwiejszego może nie było jak spytać o nią, ale Staś tak się obawiał znaleźć swój ideał splugawionym, spospolitowanym, uwiędłym, że wolał nosić go w duszy jakim mu pozostał. Wiedział już smutném doświadczeniem, że piękne kwiaty wiosny

przerastają w dziki chwast i burzany, w których potém ich nie poznać. A tak smutno! tak smutno! patrzéć na tę metamorfozę!

Serce młode musi czémś żyć przecie, nie może pozostać próżném, potrzeba mu albo wspomnień przeszłości, albo nadziei, albo marzenia i gorących uczuć, któreby niém miotały codzień, w nowe rzucając otchłanie, codzień na nowe unosząc wyżyny.

Dla Szarskiego tém życiem była uboga jego przeszłość, i choć dnie spędzone na strychu w żydowskim domu ciężkiemi opłacił prywacyami i nędzą, miło mu było przywodzić je na pamięć, z obrazem pięknéj Sary. Jéj wejrzenie goniło za nim ciągle, a wzrok, który spotkał gdy raz ostatni zjechali się na ulicy, tkwił w nim jak pocisk gorący.

Gdziekolwiek wyszedł, machinalnie kierował się zawsze jeszcze przez tę brzydką i niemiłą Niemiecką ulicę, teraz pustą, ale pociągającą go ku sobie. Zdawał się czuć, że z przeszłością nie zerwał jeszcze całkowicie, że w losach jego ten dom, te lata muszą się jakąś boleścią odezwać.

Jednego wieczora w godzinie mroku powracając od doktora Brant'a na ulicę Trocką, skierował się wedle zwyczaju przez Niemiecką; u kamienicy Dawida zwolnił kroku i wzrok sam poszedł szukać w oknach, czego w nich od dawna nie znajdował. Pierwszy raz podobno od czasu jak się tędy prze-

chadzał, w jednem z okien pierwszego piętra, poruszyła się firanka, mignęło światełko, a tego drobnego znaku życia dość było, by wywołać marzenia, bicie serca i niepokój. Stanisław jednak przeszedł szybko, nie zatrzymując się nawet i wpadł do izdebki, wyrzucając sobie słabość swoją.

— Co za dziecińswo! wołał gniewając się i miotając— dozwolić sercu takiego panowania nad głową! Między nią a mną możesz być co wspólnego? byłoż co kiedy jednoczącego nas prawdziwie? Trochą litości mogłaż mnie sobie zakupić na zawsze? Jestli to tylko wdzięczność, czy niepohamowane jakieś bez nazwiska uczucie?

Wstrząsł się na myśl namiętności niedorzecznéj, do której dosć było iskierki, aby ją rozniecić z niedogasłych popiołów.

I począł własnemi rękami rozwalać zażarcie budowę wyobraźni i rozkołysanego serca.

— Na chwilę wydać mi się mogło dobre to i piękne izraelskie dziéwcze, czémś idealném, a! bo idealnie była piękną!! ale dziś! kiedy z niéj zapewne prosta już tylko żydówka, kiedy dziewiczy urok jéj rozwiał się dotknieniem życia, trzeba być szalonym ażeby marzyć jeszcze, szalonym i słabym by kochać. .

Nie pomogły nic jednak rozumowania i walka z sobą, Stanisław położył się rozmarzony na cało-

nocną bezsenność. Księżyc, który wkrótce izdebkę rozświecił, do snu mu jeszcze swym blaskiem przeszkadzał i po próżnych usiłowaniach sklejenia powiek zmęczonych, Stanisław jakby w gorączce jakiejś wstał ubrał się i wyleciał na miasto.

Oświecone księżycem w pełni ulice, już prawie były puste, a długie linje tych białych murów połamane głębokiemi cieniami, tworzyły dziwny obraz jakiegoś zaczarowanego, skamieniałego grodu. Chwilami nic nie rozbijało tego uroku fantastycznego, bo żywa dusza nie pokazywała się nigdzie.

Szarski opanowany wspomnieniami pobiegł wprost na ulicę Niemiecką... W kamienicy Dawida na piérwszém piętrze, widać było trzy okna oświecone... poznał że to był pokój Sary; sam nie wiedząc dla czego stanął u bramy.

W tém stara żydowica, dawna sługa domu z założonemi rękoma czekająca na cóś u wrót, zobaczywszy go, chwilę już stojącego nieruchomie na miejscu, zbliżyła się i zajrzała mu w oczy; a poznawszy go aż krzyknęła.

—Aj! gewalt! a to jegomość! a co jegomość tu robisz?

—Gdzie twoja pani?

—Jaka pani? kupcowa Dawidowa?

—Nie... córka jéj, Sara... dodał ciszéj obawiając się swego głosu.

—Herszt! a gdzie ma być? tu jest! my dziś tu z Kowna przyjechali w gości?.. a cóż wy chcecie?

—Nic nie chcę... nic... ale Sara... zdrowa?

—Nie koniecznie, pokiwała głową mrucząc żydówka, a widząc że Szarski powoli się oddala, weszła także do kamienicy.

Stanisław dobiegł do końca ulicy Niemieckiéj i zawrócił się znowu, oczów nie mogąc oderwać od oświeconych okien; gniewał się i burzył przeciwko sobie, ale to nic nie pomagało; zburzone serce miotało nim jak chciało.

Raz i drugi przeszedł się pod oknami, noc coraz stawała cichszą, ciemniejszą, miasto poczynało uspokajać się i usypiać, gdy po raz trzeci mijając kamienicę, (przysięgał sobie że to ma być ostatni), zdało mu się że postrzegł jakby cień jakiś biały we wrotach. Zastanowił się oddech wstrzymując, postać postąpiła nie śmiało, i Stanisław pchnięty jakiémś przeczuciem, w progu bramy spotkał się z Sarą, na któréj twarz zbladłą, zmienioną, zbolałą, padły promienie księżyca.

Nic nie mówiąc Izraelitka chwyciła go za rękę i dysząc wstrzymała go tak chwilę przy sobie, topiąc w nim czarne swe oczy. On także chciwie po tak długiém niewidzeniu przypatrywał się téj, któréj obraz w sercu nosił, ale zaledwie mógł ją poznać! Cień to był tylko pięknéj Sary!

Znikł z jéj lica ów kwiat młodości, owa świéżość rozlana po całéj twarzy, a oczy tylko palniejsze jeszcze, płomienistsze, gorzały na tych ruinach. Usta jéj drgały niewysłowioném uczuciem, ale przemówić nie mogła.

I stali tak chwilę w roskoszném a pełném niepokoju milczeniu.

—Dowiedziałem się... domyśliłam... przeczułam, odezwała się nareszcie Sara głosem przerywanym.

—A ja! odparł Stanisław gwałtownie, nie wiedząc czemu, nie mogłem dziś wyjść z téj zaklętéj ulicy!

Mówił to do kobiéty, do któréj nigdy inném jak zimném nie odezwał się dotąd słowem, i zdało mu się w tém odurzeniu gorączkowém, że wszystkie myśli, cierpienia, całe dzieje serca jego były jéj znane i jawne Sara nie zdziwiła się temu, ciągle trzymała rękę jego drżąc ze strachu, czy wzruszenia.

—A! dobrze, zawołała cichym słabnącym głosem—dobrze żem was znalazła... wybawisz mnie, uratujesz... ja jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa...

Dwie łzy błysnęły w jéj oczach.

—Ja! gdybym mógł, rzekł Szarski, ale cóż ja mogę!

—Ja nie wiém... trzeba byś mnie ratował, bo umiéram, bo ginę...

Piérwszy to raz Sara przemówiła tak namiętnie, z takim wyrazem boleści, a w mowie jéj znać było, że wprzódy już językiem tym mówiła sama z sobą, że się stał jéj własnym i jedynym.

—Cóż mam robić? mów... zrobię co zechcesz!

—A! uwolń mnie od nich! ja z niémi żyć nie mogę... mnie to życie zabija... ucieczem, skryjem się...

To mówiąc, zapłakała.

—Mąż, jego rodzina, wszyscy, aż do moich, do tych co mnie kochali, uwzięli się mnie dręczyć... Ja im mówiłam że nie będę niczyją, że chcę pozostać wolną, oni mnie ciągną gwałtem, w swój krąg, w swój świat... nie mają litości! nie mają litości!

—Ale cóż począć! zawołał Stanisław, ja tak nie znam życia, że nie wiém sposobu... sam sobą kierować nie umiem; mów, co mam zrobić!

—Co robić! a! w świat uciekać! krzyknęła Sara rzucając mu się na szyję — daleko gdzieś, daleko! gdzieby mnie ani dziad Abram, ani mąż, ani teść, ani nikt z nich dogonić nie mógł... Szpiegują mnie... do zobaczenia... jutro!

To mówiąc, na szelest jakiś w podwórzu Sara wyrwała mu się i znikła, a Stanisław instynkto-

wym pchnięty strachem, szybko oddalił się od kamienicy.

Zdało mu się w początku jak gdyby ktoś biegł za nim i gonił, kilka razy mignął cień w ulicy, kryjąc się po załomach, ale to widzenie zaraz z oczów mu znikło. Nie ośmielił się jednak wprost wrócić do domu, bojąc jakiegoś szpiegostwa i pokręciwszy po ulicach, późno bardzo powrócił na Trocką.

Chwila téj rozmowy w bramie, była dlań jakby nowego jakiegoś życia początkiem; kilka jéj słów boleśnych, skargi, żale, prośby, wszystko to razem z gorącym uściskiem dłoni, z tą twarzą, na któréj boleść wyryła ślady tak straszliwe, wraziło się w bijące uczuciem serce jego. Rozpoczynał nowy żywot od nieznanéj mu jeszcze męczarni. Co miał przedsiębrać na jutro? opuścić ją, czy pójść znowu? mógłże jéj być pomocnym? gdzie z nią uciekać? jak jéj ułatwić ucieczkę? nie mając o czém, nie wiedząc jak krok piérwszy postawić? Godziłoż się znowu rzucać ją obojętnie na pastwę dręczącym ludziom bez serca?

Myślał, rwał się i łamał ręce, przekonany o nieudolności swojéj, a niczyjéj rady zasięgnąć nie mógł, bo cudzą tajemnicą dzielić się nie godziło. Ranek schwytał go w téj niepewności, a dzień dopiéro jasny, uspokoił nieco marzenia, które w blaskach

jego zdały się gorączkowemi przywidzeniami. Padł na łóżko i usnął snem kamiennym. Mrok już znowu szarzał, gdy się Szarski przebudził i w jednéj chwili wszystko mu żywo i wyraziście przyszło na pamięć. Porwał się sam nie wiedząc co pocznie i poleciał na ulicę Niemiecką.

Zgiełk na niéj był jeszcze wielki, a Szarski wmięszawszy się w płynącą ciżbę, puścił się przeciwną stroną ulicy, z któréj lepiéj mógł widziéć okna Dawida Białostockiego; nic w nich jednak nie dostrzegł coby życie oznajmywało; zasłony były spuszczone, w bramie jak na czatach stała tylko wczorajsza żydowica.

Obwinąwszy się płaszczem aby nie być poznanym przeszedł raz, drugi i trzeci pod oknami, czekając aż się ciżba przerzedzi, wreszcie gdy pusto się już zrobiło, podszedł pod wrota i zastanowił się. W chwilę potém uczuł się pochwycony za rękę i kobiéta zakweflona, obwinięta jakimś płaszczem, gwałtownie pociągnęła go za sobą.

Szarski nie wiedząc dokąd, począł biedz z nią razem przez kawał ulicy; Sara z instynktem dziwnym kierowała nim z ulicy jednéj na drugą, z zaułka w zaułek, i nie mówiąc słowa, przeleciała tak z nim aż na Ostre Przedmieście. Tu wreszcie znużona biegiem i przestrachem, osunęła się i padła pod murem jakiegoś ogrodu, nie puszczając ręki Stanisława.

Długo jeszcze przemówić nie mogła, podniosła głowę, spójrzała na niego i błagającym zawołała głosem:

—A! uratujesz mnie! uratujesz! ja już tam powrócić nie mogę... prowadź mnie dokąd chcesz... pójdę za tobą...

—Ale oni cię ścigać, szukać i odkryć muszą nareszcie.

—Naówczas, odezwała się Sara—pójdę na Zielony most i w Wilią się rzucę... dość już mam tego życia. To mówiąc poczęła płakać gorzko zakrywając oczy, a na widok tych łez Szarski poczuł w sobie odwagę i siłę—rozpacz jakaś otwierała mu oczy.

—Słuchaj Saro, rzekł—jeśli zostaniemy razem, oni ciebie odkryją.

—Uciekajmy daleko!

—Ja nie mam o czém uciekać, jam tak ubogi jak byłem—ze wstydem odezwał się Stanisław—praca mnie tylko żywi.

—To co mam wystarczy dla nas obojga, odpowiedziała Sara—ale uciekać daleko, uciekać potrzeba! uciekać!

—Nie, rzekł Szarski, czekaj—w Wilnie bezpieczniéj może niż gdzieindziéj—chodźmy, i szukajmy sposobu ukrycia się. Nie poprowadzę cię do siebie, tamby nas najprędzéj znaleziono; musimy na czas jakiś się rozstać, bo szpiegować nas będą, ale ocalę cię od ich prześladowania.

To mówiąc, Szarski zawołał przejeżdżającego dorożkarza i nakazawszy milczenie Sarze, która płakała ciągle przytulona do niego, pojechał z nią razem ku ulicy Trockiéj. Tu nie dojeżdżając do mieszkania swego, dorożkarzowi kazał się wstrzymać na ulicy, a sam pobiegł wprost do Horyłki.

Zacny gospodarz pił właśnie ponczyk w swéj izdebce, w której zwykł był z kilką dobranemi przyjaciołmi przy maryaszu pędzić wieczory, gdy Stanisław zapukał i wywiódł go z sobą.

—Panie Horyłka, rzekł—potrzebuję twojéj pomocy, musisz mi jéj udzielić... tyś tak uczciwy człowiek...

—Ale dalibóg pieniędzy nie mam!—przerwał poprawując myckę Horyłka.

—Tu nie o to chodzi, możesz ich nawet dostać!

—Rzeczywiście żem człek uczciwy i honorowy, to wszyscy wiedzą... no! co potrzeba! co potrzeba, byle nie pieniędzy!

—Potrzeba mi—rzekł rumieniąc się Szarski—stancyjki skrytéj trochę, nie na oczach, bezpiecznéj.

Horyłka poprawił mycki z drugiéj strony i rozśmiał się w kułak po cichu.

—Aha! złapał kozak tatarzyna... nie mów pan daléj... rozumiém... było się młodym... taka stancyjka jest u mnie...

—Nie! tu być nie może... naraj mi gdzie domek na ustroniu, daleko...

—Czemuż nie u mnie? czemu nie u mnie?

—Nie, bo nie—szukaj co innego panie Horyłko. Gospodarz się zamyślił.

—A jest, rzekł—za Zielonym mostem, cioteczny mój brat Gilgin, napiszę do niego karteczkę.. ale...

—Pisz, a prędko...

—Kobiéta?—spytał Horyłka ciekawie patrząc w oczy.

—Pisz, a prędko, a prędko!

—A za nastręczenie? cóś kapnie?

—Co zechcesz!

—Ba! pobogaciałeś pan! no! no! targować się nie myślę... piszę, a w rachunku postawi się skromna cyferka... niech się pan nie obawia. Zaraz za Zielonym mostem, domek niepozorny, stancyjka na górze, niczego. Lokowały się już tam różne jejmoście i jejmościanki... ale to tak daleko, że już od roku izdebka pustką stoi podobno.

Porwawszy kartkę Horyłki, Stanisław wybiegł z gospody i pośpieszył do rzuconéj na ulicy Sary, któréj się już obawiał nie zastać, ale czekała nań drżąca i przelękniona, a w chwilę poźniéj lecieli oboje do domku Gilgina.

Zaledwie miał czas umówić się o to mieszkanie i spójrzeć w twarz gospodarzowi Szarski, i lękając się

pogoni, szpiegowstwa, śledzenia, uściskiem ręki tylko pożegnał ją nie wiedząc na jak długo. Nie mógł nawet przyrzec że ją odwiedzi, póki mogące nań paść podejrzenia, usunięte nie zostaną. Wpół drogi na Trocką, niepokój opanował go nowy i zawrócił do professora Hippolita. Kosztowało go wiele, rady w tém jego zasięgać, ale czuł potrzebę ubezpieczenia Sary, a sam nie umiał przedsiębrać środków, których myśl jego nie szukała nigdy, o których nie marzyła.

Osłupiał professor, gdy rzuciwszy mu się na piersi Stanisław, opowiedział wszystko co go od dwóch dni spotkało.

— Zgubiony jesteś! — zawołał — będziesz prześladowany, odkryty, rozkochasz się do rozpaczy... Rzuć ją i sam uciekaj z Wilna.

— To być nie może, stanowczo rzekł Szarski — radź inaczéj, daj mi dla niéj jakie bezpieczne schronienie, zginę ale jéj nie opuszczę. Kocham ją, powierzyła mi się... to niepodobna. Długo i usilnie starał go się odciągnąć od tego postanowienia Hippolit, ale ulitowawszy się wreszcie męczarni, chwycił go za rękę i rzekł:

— Dotąd to tylko poświęcenie jeszcze i miłość szalona ale czysta... cóż poczniesz, jeśli cię namiętność jéj uniesie i spodli?

— Nie bój się, odpowiedział Szarski — im więcéj

ją kocham, tém pewniejszy jestem że ją uszanować potrafię.

— Ale pewienże jesteś, że ci się nie rzuci na szyję, że nie stracisz pamięci... że nie ulegniesz...

— Na Boga! Hippolicie, dosyć dręczyć, radź i ratuj — czas uchodzi...

Professor Hippolit po długiém wahaniu, dał mu wskazówkę jakąś do domu położonego na Bakszcie, w którym dwa pokoiki nie zajęte być miały; a Szarski zwrócił się znowu na Zielony most, odmieniwszy tylko zhasane konie.

Zastał Sarę leżącą na ziemi i płaczącą rzewnemi łzami — na widok swojego zbawcy rzuciła mu się na szyję, i łkając gwałtownie, poczęła go dopytywać czy ich nie gonią.

— Zabieraj co masz, i jedź ze mną — co najprędzéj, co najrychléj... nim się gospodarz opatrzy... nie zupełnie pewny jestem Horyłki... trzeba gdzieindziéj szukać schronienia.

Sara porwała tylko zawiniątko, otuliła się znowu swoim płaszczem i piérwsza zbiegła ze wschodów, a Gilgin ani się postrzegł jak mu lokatorowie uciekli.

Noc już była poźna, gdy na zamówione mieszkanie u Bakszty przybyli, zastawszy je zimném i ciemném. Była to niemal pustka, z oknami na tył obróconemi; znać dawno nikt w niéj nie mieszkał, na dole tylko był jakiś rzemieślnik, który zawiadował

kamieniczką, a u niego niewiele się w co zaopatrzyć było można. Szczęściem żonę miał ciekawą i wścibską, od dawna skazaną na głód, bo nikt u nich nie mieszkał; jéj więc troskliwości powierzywszy Sarę, która bojąc się kradzieży, oddała odjeżdżającemu ciężkie jakieś pudełko zawierające jéj mienie. — Szarski znowu pośpieszył do domu.

Księżyc znowu jasno przyświecał, w ulicy widno było jak we dnie — z daleka już postrzegł Stanisław Horyłkę, Hersza i kogoś trzeciego, stojącego jakby na naradzie we wrotach. Na widok przybywającego rozpierzchli się zaraz, a Horyłka sam późniéj nadszedł, gdy Stanisław wysiadał.

— A co? — zapytał podstępnie — pan spodziewam się kontent z lokaty? izdebki wcale ładne... daleko, to prawda, ale za to bezpiecznie... Jakże się panu wydało?

— To bieda, rzekł Stanisław chmurno — że nie mam tam już kogo umieścić...

— No? jak to? co pan mówi? jakże? z wielką ciekawością przystępując rzekł gospodarz — a cóż się z nią stało?

— Z nią? — odparł Szarski — osoba o któréj mowa jechać mi odmówiła, choćem się jéj spodziewał... nie chciała mi być ciężarem... powróciła do domu...

— Powróciła! — splasnął w ręce Horyłka — ot tobie masz! a moje trzy rubelki! wszak trzy?

— Zapłacę!

— Dziękuję panu, bo cóżem ja winien że powróciła? One to wszystkie takie wiele ich jest... co do nogi, i moja nie lepsza... Ale jakże się to stało?

— Daj mi pokój panie Horyłka—jestem strudzony, potrzebuję spoczynku, a mówić o tém mnie boli.

— No! to dobranoc!

Gospodarz wyszedł, słychać było jakieś szepty w korytarzu, długo w noc trwało chodzenie, narady, jakiś niepokoj w gospodzie, nareszcie ucichło... Stanisław zaryglował drzwi, a pudełko powierzone mając jutro odwieść do Brant'a, zarzucił tylko bielizną, aby go kto nie zobaczył.

O świcie niemal, obudziło go gwałtowne stukanie do drzwi.

Był to usłużny gospodarz, niosący sam kawę ranną Szarskiemu.

— Dzień dobry! myślałem że już pan wstał... jakże się spało? Może panu potrzeba usługi? Hersz poczciwy i sprawny stoi na rozkazy, i mój Piotrek także. Ale, ale, jest tu ktoś, co się chce widzieć z panem.

— Kto?

— Nie znam, podobno kupiec jakiś!

— Tak rano?

— Mówi że to cóś pilnego.

— Pilnego? wprowadź-że go pan, proszę...

Przeczuwał już Szarski co go czekało, jego co kłamać nie umiał, któremu najmniejszy fałsz palił usta! Potrzeba było przyjąć albo walkę odkrytą, niebezpieczną, zgubić ją, lub kłamać i udawać! Musiał, ale cierpiał i płomień go oblewał na samą myśl fałszu, którym się splamić musiał.

Drzwi się otworzyły i wszedł blady z zaciętemi usty, z niespokojném wejrzeniem Dawid Białostocki, nie kiwnąwszy nawet głową, nie skłoniwszy się, nie rzekłszy słowa, wprost szybko przybliżył się do łóżka.

— Poznajesz mnie pan? — począł z rozdzierającym wyrazem rozpaczy — com ja ci winien? co? powiedz?

— Co to zapytanie ma znaczyć? — usiłując spokojną i zdziwioną przybrać minę odpowiedział Stanisław. — Co to jest?

— Nie udawaj pan! — sucho i pogardliwie niemal zawołał żyd — ja wiem, nikt inny nie mógł jéj pomódz do haniebnéj ucieczki.

— Komu?

— Nie probuj pan kłamstwa, to darmo! widziano pana krążącego około domu wczoraj i pozawczoraj! Pan ją wywiozłeś! Dokąd? nikt o tém prócz was nie wie; powiedz pan gdzieś ją ukrył? oddaj nam dziecko nasze? oszczędź wstydu... Mów co chcesz, dam ci co zechcesz!

— To warjat! — zakrzyknął rzucając się na łóżko Szarski.

Na krzyk ten Dawid schwycił go silnie za rękę.

— Milczeć! — rzekł groźnie — mówmy rozumnie, bo źle być może! Mój dom zostanie zhańbiony, ale pan pójdziesz pod sąd, w kajdany, na zsyłkę! Wyszukam córki, a twoją głowę kupię choćby tysiące kosztować miała!!

I oczy straszliwe groźbą wlepił w Stanisława, który znalazł w sobie siłę od tego wzroku nie zadrżeć.

— Kłamstwo się tu na nic nie przyda, dodał żyd — wiém o wszystkiém, widzieliście się pozawczoraj, wczoraj uwiozłeś ją pan za most Zielony do domku Gilgina. — Gdzie ztamtąd?

— A cóż ci do tego gdziem ja jakąś obcą tobie uwoził kobiétę? — zawołał Stanisław.

— To była Sara, to była córka moja!

Stanisław rozśmiał się, ale niezręcznie.

— Co ci jest panie Dawid? — spytał jak mógł najzimniéj — wszak córka twoja w Kownie? Prawda, żem wczoraj zawiózł kobiétę do domku Gilgina, ale ta kobiéta...

— To była Sara! to była Sara! — krzyknął żyd wściekając się.

Stanisław zamilkł, bo usta jego nie puszczały kłamstwa.

— Przywykliście gardzić żydem, mówił daléj ku-

piec drżąc cały—zwalać dom jego to niczém dla was, a i tu—rzekł w piersi się bijąc—i tu jest czucie i serce! i nam droga poczciwość i imie nasze! Co się stało nikt nie wié jeszcze... oddaj nam pan Sarę...

—Ale ja nie wiém o czém i dla czego to do mnie mówicie...

Żyd w rozpaczliwéj niecierpliwości przeszedł się po izbie parę razy.

—Zginiesz więc!—rzekł, nasz wstyd nie pójdzie darmo!

—Ja nie rozumiem czego chcesz odemnie?

Dawid wpatrzył się w niego.

—Mieszkałeś, odezwał się po chwili, pod dachem naszym, jadłeś chleb mój i zdradziłeś jak poganin co nie zna Boga! I to wy gardzicie żydem? cha! cha! i to wasz Bóg każe wam żony porywać od mężów, dzieci odbierać rodzicom, siwe kalać włosy, gubić całą rodzinę... Ty wiész że ona bogata ze mnie i z matki... ty chcesz jéj pieniędzy nie piękności, którą wypłakała... słuchaj goimie przeklęty—zawołał z gniewem... dam ci jéj posag cały... ale mi ją oddaj natychmiast, póki się wstyd mój nie rozgłosi... zapłacę ci co zechcesz... żyd skąpy mówicie... dam pół tego co mam, dam do ostatniego grosza...

Stanisław nie wiedział już co odpowiedzieć, byłby się może zdradził, ale wybladła twarz Sary stanęła mu przed oczyma i litość ścisnęła za serce.

—Szalejesz waćpan, rzekł głośno—a jeśli straciłeś córkę, nie dziwię się boleści i przebaczam obelgi... cóż chcesz bym na to poradził? ja nic nie wiem!

Dawidowi oczy błysły, poskoczył do stolika, chwycił z niego mały krucyfix drewniany, który Szarski miał od matki i przynosząc go do łóżka, zakrzyknął:

—Przysiąż-że mi zbójco na twego Boga, żeś nie winien??

I była chwila długiego, strasznego milczenia, a Szarski śmiertelnym oblany potem, schwycił się z łóżka wołając o ratunek głosem potężnym, który się rozległ po całym domu, Dawid rzucił krucyfix i znikł we drzwiach.

Tuż za nim Horyłka, Hersz, chłopiec, słudzy wpadli do pokoju, wołając wszyscy:—Co się stało?—dopytując o przyczynę krzyku; ale Szarski nie mogąc wymówić słowa, wskazał im tylko leżący krucyfix.

W téj chwili, doktor Brant niespokojny o Szarskiego, którego dwa dni nie widział, wtoczył się także zdumiony tą wrzawą do pokoju...

Przyjście jego wybawiło może nieszczęśliwego od napaści jeszcze niebezpieczniejszéj i rozdrażnienia, które mogło doprowadzić do szaleństwa.—Jak ku zbawcy swemu rzucił się ku niemu Stanisław wzru-

szony, ze łzami w oczach, z przerwanym oddechem, w stanie trudnym do opisania, a tak podobnym do choroby, że z razu lekarz wziął to za jakąś słabość i za puls go pochwycił.

—Co ci jest?—zawołał—choryś?

—Nie, ale nieszczęśliwy!—odpowiedział Stanisław... o! bardzo nieszczęśliwy...

—Mów, mów, może ci się zdam na co... co to za wrzawa... co znaczy żyd który ztąd wybiegł, ten krucyfix?

Ale Stanisław widząc przeze drzwi zaglądających Horyłkę, Hersza i sługi, nic odpowiedzieć nie mógł wyraźnie.

—Jakaś napaść dla mnie niepojęta, rzekł dając znaki doktorowi—jedźmy razem, muszę się skarżyć... muszę ubezpieczyć.

Lekarz nic tego wszystkiego nie rozumiejąc ruszył ramionami i usiadł, a Szarski żywo ubrawszy się i pod płaszcz włożywszy szkatułeczkę Sary, dał mu znak że jechać mogli.

—Dokąd-że jedziemy?—spytał doktor.

—Gdzie chcesz! Teraz dopiéro całe serce ci moje otworzyć mogę—rzekł Szarski ujrzawszy się w ulicy... słuchaj i ulituj się nademną.

I rozpoczął mu historyą swoją, nic z niéj nie opuszczając, aż do ostatniego niespodzianego jéj rozwiązania. Brant milczał, tabakę zażywał, ramiona-

mi ruszał, ani dostrzedz było podobna co uczuł i myślał.

Skończył wreszcie opowiadający i chwytając dłoń lekarza, zawołał:

— Ratuj mnie i ją, weź pod opiekę swoją; oto jéj mienie całe... ja nie podołam prześladowcom; żyd zagroził mi sądem, zsyłką, nie zląkłbym się tego, gdyby tu tylko o mnie chodziło, ale gdy ja zginę i ona zostanie bez podpory, bez przewodnika... Doktorze w tobie jednym nadzieja.

— Ha! ha! — odparł Brant powoli — zadanie do licha trudne... ale czy tam téj nieszczęśliwéj nie uprowadzili już z Bakszty do téj pory... a cóż myślicie daléj? Ażeby ją módz wyrwać z ich rąk, potrzeba chyba wmówić w nią by zmieniła wiarę... A jeśli ona nie ma Chrystusa w sercu... godziż się to? myśl i mów!

— Najpilniejsza, rzekł żywo Stanisław — żeby ją żydzi nie pochwycili, bo ją uwiozą tak, iż ślad po niéj nie pozostanie...

— Jadę więc na Baksztę, potém do urzędu, ażeby uprzedzić skargę... A ty?

— Ja za tobą pieszo pogonię... pamiętaj że nas śledzą, że co chwila i mieszkanie na Bakszcie odkryć mogą... na Boga ratuj ją, ratuj!

— Wmięszałeś mnie w śliczną kaszę, nie ma co mówić! — mruknął Brant ruszając ramionami — ale

co z tobą robić, muszę słuchać, choćbym rad umyć ręce...

—Umyć ręce! doktorze! czyżby się godziło?

—A godziż się spokojnego doktora pakować w taką intrygę... do siebie gdybym chciał wziąć jéj nie mogę... ale jest obok mnie wolne mieszkanie, zamówię dla niéj. Oko mieć będę... do urzędu pojadę... robię co tylko chcesz! Ruszajże na Baksztę!

—Mnie śledzą, dopóki nie powrócisz, nie podobna, zabieraj szkatułkę, rób co ci podyktuje serce, Ratuj! ratuj!

To mówiąc Stanisław wyskoczył z powozu i pobiegł ulicą, a poczciwy doktor namyśliwszy się, pośpieszył wprost na Baksztę.

Kilka godzin spędził Szarski w rozdrażnieniu i najdziwniejszych myślach, krążąc bez celu po mieście, oglądając się czy go kto nie śledzi, aż z południa wreszcie wyrachowawszy że Brant już wszystkiego co mu powierzoném było dokonać musiał, zawrócił się do jego mieszkania.

Biło mu serce gdy na wschody wchodził, ale uspokoił się widząc wypogodzoną twarz lekarza, występującego naprzeciw niemu.

—Sara jest już tu, rzekł mu po cichu wskazując drzwi przeciwległe, mamy dozór i opiekunów, potrafiłem u władz pomoc wyjednać; ale musiałem skłamać jéj żądanie chrztu, gdyż inaczéj

niczém się ucieczka usprawiedliwić nie mogła. Żydzi już zanieśli skargi, ale być możesz spokojnym... idź do niéj, widziałem ją, potrzebuje pociechy, powiedz jéj wszystko, gdyż dziś jeszcze przyjdzie po zeznania urzędnik.

Stanisław ledwie miał czas wzrokiem podziękować poczciwemu starcowi i niewstrzymując się pośpieszył do Sary.

Zastał ją siedzącą w krześle, zapłakaną, upadłą na duchu, drżącą, tak że gdy drzwi otworzył wstrzęsła się i krzyknęła. Chciała pobiedz przeciwko niemu, ale jéj sił nie stało, i rękę tylko wyciągnęła wychudłą. Spójrzał na nią Stanisław: teraz dopiéro po dniu lepiéj mógł rozpoznać jak straszliwie zmieniły ją doznane męczarnie. Schudzona, blada, cieniem była delikatnéj owéj i świéżéj dziéweczki, któréj czarne oczy tajemniczemi blaski rozświeciły jego duszę; wzrok ten ognistszy jeszcze był prawie obłąkanym, zdziczałym i rozsrożonym. Ale jeszcze z tych szczątków piękności typu pełnego szlachetności i wdzięków, artysta i kochanek mógł odbudować zachwycający ideał, bo z ruin patrzała dusza...

— A! zbawco mój odezwała się Sara przyciągając go ku sobie — powiedz mi, powiedz że jestem bezpieczną, że mnie nikt nie odda znowu na niewolę, któréj kajdany zrzucone jeszcze ciężą na rę-

kach, na myśli, na sercu. A! ty nic nie wiész! nic nie wiesz panie; biada tym co ze swojego koła myślą wyszli dalej! Jakem się ja męczyła, com wycierpiała ze swemi! tego język nie wypowie, tego płacz nie wyjęczy! Chcieli mnie zagrzebać w życiu swojém... jam uciekała z niego rwąc się do lepszego świata. Odbierano mi moich poetów, książki moje, pokarm duszy, zakazywano języka, który stał się myśli tłumaczem, a najgorszym z tyranów był ten, którego zwałam mężem moim... Człowiek ten nie miał litości... chciał mnie pokonać i nie mógł... i dręczył. Nie mogłam wytrwać; bo wszyscy z nim spiknęli się na mnie, a nikt za nieszczęśliwą nie przemówił... Wiesz resztę... mój zbawco... zobaczyłam cię i uciekłam.

— Saro, rzekł Stanisław... ja cię nie uratuję jeśli ty nie uratujesz się sama... zerwałaś z rodziną, trzeba wkupić się nową przysięgą do innéj wielkiéj rodziny, musisz przyjąć wiarę naszą...

Izraelitka zadrżała, wstrzęsła się, ale zamilkła.

— Koniecznież to? zapytała po chwili, jam nigdy jeszcze nie pomyślała o tém, bo zdało mi się że jeden jest Bóg dla wszystkich, bom się obawiała tego przekleństwa, które cięży na nowo-chrzczeńcach... Oni ani do jednéj, ani do drugiéj nie należą rodziny, obie ich odpychają z pogardą... Mo-

gęż ja dokonać tego, bez przygotowania, bez zapału, bez pragnienia, na zimno?

— Nie, rzekł Stanisław, anibym ja śmiał cię do świętokradztwa namawiać, ale inaczéj wolną być nie możesz, dopóki tego nie objawisz... a tak jestem pewien, że promień światła musi ci otworzyć oczy, iż ręczyłbym za ciebie, dziś jeszcze...

— Ręczyłbyś? spytała ze smutnym uśmiéchem, a znasz ty kobiétę, za którą chcesz ręczyć? Jam tak pragnęła światła, żywota, myśli, ducha... że co tylko wpadło w ręce moje, pożerałam, czytałam wszystko, przemarzyłam o wszystkiém... zepsułam się do ostatka... zbawco mój! ja mam pragnienie... ale mi brak wiary, mam żądzę, ale dusza jeszcze do źródła trafić nie może...

— Bo go nie szukała, rzekł Stanisław.

— Mylisz się, mylisz się jeszcze!.. bo się przesyciła złemi myślami, bo się napiła fałszu i prawda już do niéj może nie trafi. Na dnie... wśród zburzonych słupów świątyni, jaki w zniszczonéj Synagodze Jerozolimskiéj, leży zasłona kryjąca arkę przymierza i stół ofiarny i lichtarz siedmioramienny... jam w sercu wygnanka... jam w sercu izraelitka!

— A! Saro, nie mów mi tego, zawołał Szarski— jedno tylko przyjęcie wiary naszéj wyswobodzić cię może.

—Przyjmę ją... odpowiedziała zimno— aby się zbliżyć do ciebie... dodała cicho... nie ma ofiary którąbym tego nie okupiła! A! ty nie wiész! ty nie wiész! jakim niewidzialnym potężnym wpływem opanowałeś duszę moją! jak ona pragnęła ciebie, jak bolała że się nie czuła ciebie godną, że nie śmiała spodziewać się nawet, by niepokalaną jak dziś przyszła kiedy, dłonią gorącą przyciągnąć cię ku sobie i powiedziéć to co mówię.

—Saro! rzekł rozrzewniony Stanisław, nie mów mi tego... Dla człowieka co nikogo nie ma na świecie, ani jednego serca, ani jednéj ręki na którąby rachował, ponęta zbyt wielka... a tyś dla mnie zakazanym owocem.

—Tak! spuszczając głowę szepnęła Sara— obcą jestem, żydówką! zawsze żydówką! zwalaną żoną cudzą! Tak! tak... Alem ja niczyją nie była żoną! Kłamie kto powie... Byłam i jestem twoją... sługą, niewolnicą... ale twoją.

To mówiąc rzuciła mu się do nóg i ściskając go zapłakała tak boleśnie, tak serdecznie, tak rzewnie, że Staś dźwięku głosu tego przeląkł się i oszalał.

—Saro! rzekł— uspokój się, zaklinam cię na wszystko... uspokój się...

Zapukano do drzwi, i żydówka porwała się z ziemi przelękniona; powoli głowa starego lekarza wci-

snęła się, ciekawym sledząc ich wzrokiem i niespokojny głos wezwał Stanisława.

—Uchodź, rzekł doktor, idą— uchodź i skryj się u mnie.

—Kto idzie?

Ale nie było na odpowiedź czasu i Szarski mógł się przemknąć ledwie, a już urzędnik z Dawidem byli na wschodach. Brant przyjął ich w progu twarzą zimną, szepnął słowo urzędnikowi, który głową skinął i pozostał u wnijścia nieruchomy.

— Mam pozwolenie widzenia się z moją córką, rzekł Dawid udając spokojność, ale z gniewem wrzącym.

—Tak jest, w mojej przytomności— dodał urzędnik.

—I w mojéj, rzekł doktor, a naprzód spytam i zobaczę, czy to w téj chwili nastąpić może.

Przez wpół otwarte drzwi, Sara ujrzała ojca i krzyknęła, a Dawid nie czekając pozwolenia wparł się gwałtem do pokoju.

—Rozmowa ma być w języku dla nas zrozumiałym, ostrzegł doktór na wstępie.

Ale Dawid nie miał siły rozpocząć rozmowy, usta mu drgały, z oczów łzy płynęły, ręce załamał, głowę spuścił, stanął i stał tak przed córką, żywym wyrzutem.

Sara była wzruszona, sparła się na krzesło, chciała wstać, upadła na nie i zakryła oczy.

— Sara! Sara! zawołał nareszcie Dawid— ty to czy nie ty? ciebież to ja widzę szukającą schronienia między obcemi, przeciwko mnie ojcu, przeciw matce, cośmy cię w pieszczotach wypielęgnowali.

— Przeciwko temu któregoście mi kazali nazywać mężem, nie przeciwko wam, odpowiedziała córka siląc się na każde słowo.

— Chcesz? jutro rozwód otrzymam, rzekł Dawid ale powracaj do nas... powracaj a będziesz wolną.

— Nie! potrzęsła głową— to zapóźno! to zapóźno!

— Spójrzyj na mnie, na łzy moje!

— Nie, nie, nie! postokroć nie, porywając się dodała śmieléj Sara— będę chrześcijanką! jestem chrześcijanką! Tyś mi ojcem zawsze, matka matką, alem...

— Teraz ja powiém ci— nie! i po stokroć nie! wybuchnął żyd z wściekłością— tyś nie dziecko nasze! jam nie ojcem twoim, ani ci żona moja matką! bądź przeklęta! bądź przeklęta!!

Chciał mu dłonią doktor zamknąć usta, ale nieszczęsne słowo uleciało, Sara upadła z krzykiem bezprzytomna— i głuche nastąpiło milczenie.

Dawid płakał i miotał się w rozpaczy, otrzeźwiono zemdlałą, powiodła oczyma, ujrzała go i chwytając szkatułkę, którą z domu wyniosła, rzuciła pod nogi ojcu.

— Weź i to, zawołała, to posag mój, to klejno-

ty moje! posag córki, któréj się zaparłeś— umrę z nędzy, ale go nie tknę.

Pomimo boleści i gniewu, żyd schwycił szkatułkę skwapliwie, zawahał się, chciał cóś przemówić po hebrajsku do córki, ale urzędnik i doktor co prędzéj widząc stan nieszczęśliwéj pośpieszyli go oddalić

Sara pod przekleństwem rodzicielskiém ugiąwszy głowę, siedziała tak nieprzytomna i przybita, jakby w nią piorun uderzył, lekarz w błysku nienaturalnym jéj oczów, w oddechu, w biciu krwi po żyłach, dostrzegł choroby zbliżającéj się i za chwilę mającéj wybuchnąć.

Tymczasem w mieście potrzebującém pastwy jak każde inne,— dla którego zabijają codzień kilka wołów na strawę ciała, a kilka ofiar na pokarm języka— wieść o dziwnym wypadku z córką bogatego kupca, uwiedzioną jakoby przez poetę Szarskiego, poczynała się rozchodzić, ubarwiona tysiącem mniéj więcéj dowcipnych dodatków. Każdy ją stroił po swojemu, a że poecie łatwo przypisuje gmin najdziwniejsze czynności, nie żałowano poezyi w historyi pięknéj Izraelitki. Skalano ją i jego, zrobiono z niéj okropniejszy jeszcze dramat niżeli był w istocie, a że Dawid był bogaty, a Szarski ubogi, połowa

ludzi posądziła młodego człowieka o szkaradną rachubę.

Nie mogło mu to nie szkodzić w opinii... bo w ogólności każda nawet gwałtowniéj wybuchająca namiętność, przeraża ludzi przywykłych do zaspokojenia ich cichaczem. Iglicki dowcipował nielitościwie z tego tematu. Bazylewicz srożył się, oburzał, deklamował, jedni mianowali go zdrajcą, drudzy, życzliwsi rachmistrzem, inni użalali się nad upodleniem w jakie go miłość zawiodła... Dobry szlachcic, mówili niektórzy naiwnie— nie poszanował poczciwego imienia. Ale najzjadléj na Stanisława zagniewani byli Szarscy i książe Jan z żoną— ci się go już zupełnie zaparli.

Dodawszy do historyi Sary, wiadomostkę o nieporozumieniu z ojcem własnym i nieposłuszeństwie woli rodziców, które spowodowało zupełne wyłączenie z rodziny, łatwo go było jako człowieka, odmalować najczarniejszemi barwami. Poszło tedy jako pewnik, że to był człowiek charakteru burzliwego, niepokonanego, namiętnego, dziwak przytém i pół szaleńca.

Jako poecie ta sława dziwactwa nie wadziła Stanisławowi, bo była dla tłumu dowodem, iż tyle miał poezyi w sobie, że ją aż w życie własne przelać był zmuszony; ale jako od człowieka odstrychnęła ludzi, i zamknęła mu domy przyjazne. Zbliżyła doń

znowu innych, postacie dwuznaczne, które potrzebowały pobłażania w opinii, a których charakter szlachetny Stanisława odpychał.

W mieście, choć do nich nie pukał, ostrzeżony zawczasu, drzwi wszystkich domów były dlań zamknięte, na ulicach odwracali się znajomi udając że go nie widzą, inni z ciekawością oburzającą śledzili za nim, jak za osobliwszém dziwadłem, jak za teratologiczném studium. Położenie jego stało się nie do zniesienia, ale przywykły do utrapień, dźwignął je Stanisław mężném sercem, nie o sobie myśląc... Nie miał on czasu spójrzéć na ludzi, tak silnie zajmowało go zadanie, które mu los na ramiona rzucił.

Kochał Sarę... ale ta miłość dziwna była jak marzenie senne, kochał ją i lękał się, i nieznał jéj i czuł się obowiązanym poświęcić jéj wszystko, wycierpieć co go czekało, wypić do dna gorycze życia, ale mógłże się dla niéj, dla siebie spodziewać szczęścia? Na drodze stawało naprzód ubóstwo, któremu zaradzić nie umiał. Nie mieli nic! nad jego dwie ręce. A mógłże ręczyć że dwie ich dusze, które zdala pociągała sympatya dziwna, zbliżone, spojone, złączone z sobą, nie odepchną się ze wstrętem? Miłość to była tak dziwna, że na dnie jéj mogły się ukrywać najnieprzewidziańsze tajnie.

Sara pociągając ku sobie, przestraszała go razem wybuchami namiętności, która zamiast się z sobą u-

krywać, wyrywała się w świat z zapamiętałością niepojętą. Ten zachwyt i uniesienie mogłyż trwać długo? ten płomień nie musiał-li zagasnąć?

Myśli przelatywały jedna po drugiéj, ale im towarzyszył obraz Sary we łzach, błagającéj, rozbitéj męczarnią długą, i Stanisław odpychał je od siebie.

Za staraniem doktora, zostawiono ich w spokoju, ale żydzi nie poprzestali na uczynionych krokach, potrzeba było nieustannéj pilności, oka, straży, żeby ją zasłonić od napaści, i prześladowań codziennych. Choroba Sary, w któréj ją doglądał Brant, trwająca kilka tygodni, nie wstrzymała ich nawet i przedłużyć się musiała nieustannemi wrażeniami, które ją zwiększały.

Przy łożu jéj Stanisław nieodstępnym był prawie, bo oko jéj ledwie się otworzywszy już go szukało, a usta niespokojne przybycia jego wołały. Dzięki troskliwości i staraniom otaczającym ją, zaczęła wreście przychodzić do siebie i spokój jakiś z uśmiechem zjawił się na jéj czole i ustach, zapragnęła książki, wzięła ją z rąk Stanisława i zatopiła się w morzu myśli i obrazów, jakby chciała w niém obmyć się z wrażeń świata.

Nigdy nie pytając o jutro tak była pewną że ją nie opuści ten któremu się powierzyła, iż na chwilę nie zwątpiła o przyszłości.

Stanisław tymczasem musiał zabijać się pracą, by wydołać zaciągnionym obowiązkom nowym, by siebie i ją wyżywić. Przechodziło to prawie jego siły, ale czego miłość młoda nie zwycięży? Siedząc często za parawanem w pokoiku, w którym zasypiała Sara, noce trawił na przepisywaniu cudzych ramot, na poprawie druków, na tém rzemiośle literackiego śmieciarza, które nuży i zabija; ale każdy grosz zapracowany tą mechaniczną pracą, lżejszy mu był jeszcze niż sprzedawanie własnej myśli, któréj na zawołanie mieć nie mógł. Wolał więc być tragarzem.

Pół dnia spędzał zwykle w mieszkaniu swojém przy ulicy Trockiéj, drugie pół w pokoju choréj Sary; nie widywał nikogo i życiu nowemu ledwie mógł podołać, w ciągłéj będąc obawie od żydów, którzy jego i nieszczęśliwą starali się wszelkiemi sposobami prześladować.

Jednego poranka, drzwi się otworzyły i nieznajoma figurka, széroko je rozwarłszy, weszła wymawiając nazwisko Szarskiego. Był to mężczyzna jasno-blond, twarzy startéj i zupełnie nieznaczącéj, nadzwyczaj biały, różowy, oczów bladych, ust szérokich, wyrazu głupowatego i dumnego, ubrany wykwintnie, obwieszony łańcuszkami, brelokami, pozapinany na mnóstwo szpilek i guzików.

— Pan Szarski? zapytał.

Stanisław wstał od stolika.

— Pisarz... literat? poeta? zapytał powtóre, nie zrzucając płaszcza nieznajomy.

— Ja jestem.

— A! to dobrze, trafiłem widzę, rzekł ten pan siadając bez ceremonii na łóżku i zdejmując nareszcie czapkę, chociaż płaszcz na ramionach zostawił. Mam tu do pana interesik.

— Słucham pana, czasu mam niewiele.

— Słuchaj pan, a uważnie— obejrzał się.

— Jesteśmy sami?

— Najzupełniéj.

— Nikt nie słucha, Szarski ramionami ruszył.

Nieznajomy poszedł, wyjrzał jeszcze za drzwi i powrócił rozeprzéć się na łóżku.

— Jestem, rzekł— dosyć bogaty— bardzo bogaty.

— Bardzo panu winszuję, rzekł z bolesnym uśmiéchem Szarski.

— Ale słuchaj-no pan... Mam talent i ochotę pisać; dodał... piszę, piszę; napisałem świéżo dramat *Hidalgo*.

— Niezmiernie mnie to cieszy...

— Słuchaj-no pan tylko, dramat ten potrzebuje... przepisania... *wykończenia*, a ja na to nie mam czasu... Chcę kogoś coby mi to wygładził, wyrobił, a ja przejrzę późniéj ostatecznie i wydam.

Staś ruszył ramionami; nieznajomy rzucił na stół pokreślony rękopism.

— Jutro przejrzawszy powiém panu, co uczynić mogę, odparł, chcąc się co najprędzéj wywinąć Szarski.

— Zapłacę dobrze, rzekł nieznajomy — pan masz słyszę talent niczego, dodaj tam cóś, okrzesz, a bardzo proszę żeby to między nami dwóma zostało... rozumié pan.

— Wprzódy przejrzéć muszę...

— Jutro tedy będę, kładnąc na głowę czapkę dodał autor dramatu..

Po wyjściu tego oryginała, Szarski wziął do ręki papiéry, ale od piérwszego wiérsza przekonał się, że czytać było rzeczą próżną; nie było w rękopiśmie ani sensu, ani nawet ortografii, a cóż dopiéro mówić o talencie. Kilka tysięcy słów zrzuconych chaotycznie na kupę szamotały się nie wiedząc czego chciały, a w téj dziwnéj rapsodyi odezwały się i tłumaczenia i pożyczanki i naśladowania niezgrabne i najwyraźniejsze kradzieże... Dramat był doskonały... do wyrzucenia za okno na śmiecie.

Ruszył ramionami Szarski, ale tegoż dnia ostatni grosz zapłacił za lekarstwa i pomyślawszy o doskwierającém jutrze, przerażony niém, pobiegł do bibliopoli, chcąc co od niego na przyszłą jaką robotę utargować Księgarz znowu go przyjął zimno..

— Pan się zaawanturowałeś, rzekł ruszając ramionami, kompromitujesz i siebie i dzieła swoje; boję się o ich rozprzedaż. Dziwy o panu mówią... nie mogę nic nowego przedsiębrać, kassa moja pusta, prassy zajęte.

Stanisław nie umiał prosić ni nalegać, poszedł ze łzami w oczach; trzeba było dramat przerabiać!! Nazajutrz dramaturg ów jasno-blond zjawił się w progu o naznaczonéj godzinie.

— A co? zapytał, przejrzałeś pan?

— Przejrzałem, rzekł nieśmiało Szarski.

— No, i cóż powiadasz?

— Wszystko trzeba przerobić, żeby cóś z tego było. Nieznajomy nadął się i zamyślił.

— Jest materjał! jest! zrób pan z tego dobry dramat... ja to sobie późniéj poprawię... no? ale co chcesz za to?

Wstrząsł się poeta na samą myśl targu takiéj pracy! zapomniał o Sarze i głodzie. Pójdę, rzekł w duchu — pójdę z siekierą, ale tego nie potrafię!

— Nie! nie! rzekł, ja się tego nie podejmę!

— Ależ ja zapłacę! rzekł dzwoniąc pieniędzmi blondyn.

— Słuchaj pan, odezwał się zniecierpliwiony poeta — zrobię ci dramat jeden, dwa, trzy, ile zechcesz, przedam ci go z imieniem mojém, bo na jutro chléba nie mam, a życie moje dostarczy do dra-

matu wątku, ale z tego— dodał rzucając rękopism— nic być nie może...

Nieznajomy się zmięszał.

— Gorączka, rzekł po cichu— musi być bestja zdatny, a chleba nie ma.

— Zgoda, odparł głośno, dramat mi pan napiszesz... zapłacę, ale to pozostanie między nami...

Stanisław zgrzytnął zębami i leciał już za drzwi, gdy z za nich postrzegł posłańca od doktora i Sary, żelazna konieczność życia stanęła mu w oczach, zawrócił się.

— Co mi pan dajesz? zapytał.

Błondyn dobył sakiewki, z kilkudziesięciu dukatów, wybrał dziesięć kulfonów i położył je rzędem na stole.

— Drugie tyle, rzekł, gdy dramat będzie gotowy..

Księgarz pośpieszał z wydaniem *Fantasmagoryi*; kłamał wyrzucając Szarskiemu, że jéj szkodzić miało zaawanturowanie się autora; to bowiem nie tylko nie zobojętniało czytelników, ale podniecając ciekawość, do rozkupu dopomódz mogło. Ludzie tak lubią karmić się żywém mięsem, tak uporczywie szukają osobistości w świecie ducha i fantazyi, a między ideałami, znajomego sobie głupiego światka karłów i małpeczek, że wszystko obiecujące ich po-

karmić tą strawą zgorszenia, chwytają z największą chciwością.

Zawczasu już oblizywano się na *Fantasmagorye*, bo w nich przeczuwano fałszywie cóś lepiéj i bliżéj dającego poznać dziwnego człowieka, o którym od niejakiego czasu wiele mówiono po świecie. Zaledwie się ukazała biédna książeczka, rozchwytano ją natychmiast, i w księgarstwie oddawna nie było podobnego fenomenu wziętości, ale wrażenie jakie sprawiły te urywki dziwne, obrazki nie pokończone, myśli poodrywane i powiązane nie schwytanemi dla wielu węzłami— było wielce różne w indywiduach.

Jedni, fantastyczności, żywiołu nowego w literaturze, w cokolwiek większej dozie i w prozie zrozumiéć nie mogli, drudzy właśnie chwalili to czego nie pojmowali zupełnie, żeby sobie zrobić sławę niepoślednich znawców; poeci krzyczeli na to, że książka była prozą, surowi klassycy, że była zbiéraniną płochostek, kobiéty że w niéj miłości było mało i nic do rzeczy, a ich wizerunki nielitościwą nakréślone ręką; intryganci w ostatku co wszędzie czytają, tam nawet gdzie nic nie napisano, wyczytali i tu osobistości, satyrę, paszkwil, przytyki!!

Ta postać to pan N... a kulawy to oczéwiście R.— a ślepy to A.— a głupi to M.; słowem podkładając tak żywe wzory pod wymarzone figury, całą ksią-

żeczkę biédną uczynili niegodziwym jakimś paszkwilem. Są ludzie, którym się zdaje, że całem zajęciem pisarza co odwzorowywa społeczność, jest wybiéranie żywych typów i pakowanie ich na pióro, jak entomolog pakuje owady na szpilki.

Nie wiedzą niestety! że bez przyprawy, przerobienia, dodatku i ideału, najlepszy typ żywy na nic się nie zdał, że nawet ten co szuka kogoby pożarł— podle używając pióra przeciwko żywym i umarłym, musi do startych rysów tych modelów dodać cóś swojego, by je jako tako godnemi uczynić przedstawienia. Dla nich byle rys podobieństwa najlżejszy, już to znajoma postać, i często w różnych okolicach, do jednego typu, kilkanaście osób z zapałem się przyznaje. Jak gdyby pisarz, malarz, co garść mają pełną rozmaitości tworów bożych, potrzebowali jednego nędznego oryginału na zalepienie próżnéj kartki. Nigdzie ta śmieszność niestety! nie jest posuniętą tak daleko jak u nas, nigdzie miłość własna nie jest drażliwszą i rzekłbyś że im o to chodzi by przekonać, że w szatach arlekina wystąpili na scenę, oni nie kto inny. W książeczce Szarskiego będącéj zbiorem energicznych postaci, mnóstwo się na nieszczęście znalazło takich, których blade odbicia tam i sam włóczyły się po ulicy. Nie był temu winien autor, ale talent może, który tworząc tak dalece odgadywał, że nie tylko

typy, ale całe żywoty ludzi, trafiało mu się wieszczo jakoś odtwarzać, tak jak się gdzieś po żywym świecie mignęły. Znaleziono więc w książce podostatkiem powodu do zgorszenia i krzyku. A że to była chwila w któréj literatura nasza, rozwijając się w właściwym sobie kierunku, raz piérwszy dotykała społeczeństwa własnego, wychodząc z czysto idealnych światów do zidealizowanych przedmiotów narodowych — na nieprzywykłych jeszcze do tego rodzaju utworów, czytelnikach, ten śmiały sposób malowania towarzystwa i świata znanego, przykre robił wrażenie. Na nieszczęście trafiło się jeszcze że i nazwiska dwóch Żmudzinów jakichś znalazły się w książce przypadkiem — nuż larum!! nuż wołać na zgrozę! na paszkwil! na osobistość!

Księgarz korzystał z tego, bo każdy przez ciekawość kupował książkę, ale Stanisław cierpiał, milczący pożérając gorzkie pracy owoce. Myśl obwinięta w te obrazy pozostała jak mumja spowitą dla czytelników i nieznajomą; to co chciał niemi powiedziéć nie doszło do ich duszy, ale suknie i bandelety krajano nielitościwie. Krytyka szarpała książeczkę na kawałki; nawet wprowadzenie do niéj języka życia codziennego, wyrazów, które dotąd w druku nie postały, mowy poufałéj i żywéj, wywołało wrzawę grammatyków i purystów. Krzyczano na prowincyonalizmy, na wyrażenia grubijań-

skie, na koloryt jaskrawy, na dziwactwo, na wszystko na co się było można porywać; a nikt nie osądził ani drogi nowéj którą otwierała książka, ani głębszéj jéj myśli, ani nowego rodzaju piękności z wzorów ziemi rodzinnéj zapożyczonéj, któréj była piérwszą próbą. Nazajutrz zaraz siedli ją przerabiać naśladowcy, karykaturować małpiarze, echem powtarzać sroczki, ale Szarski dla tych pasorzytów był jeszcze nienawistniejszym może niż dla innych.

Bazylewicz, którego Szarski nie widywał, na ten raz sam już bez pomocy Iglickiego, usiadł do recenzyi, a że wprzód przez dwa tygodnie zbierał do niéj po ulicach materyały, łatwo mu ją zszyć było z cudzych kawałków. Chował sobie do skarbonki myśli i uwagi, potém dobył je, znizał, pokleił, przypasował, i artykuł był gotowy.

A że Bazylewicz więcéj był usposobiony do deklamacyi niż do szyderstwa, zrobił artykuł godny uwagi dla ogółu, obrachowany na efekt, i miły każdemu, bo w nim każdy cóś swojego znalazł.

Rapsodya ta poczynała się od jakiéjś mglistéj teoryi literackiéj, od ogólników, od narzekań, od filippiki, a daléj tnąc nielitościwie i poczciwéj nie zostawując nitki, kończyła się potępieniem... To tylko z wielkiéj swéj łaski raczył dodać aristarchus, że jeżeli młodzieniec się poprawi, uzna swe błędy i wyprze indywidualności, będzie mógł z czasem i pracą

nosić tekę za drugiemi. Artykuł był lichy w rzeczy, ale nic łatwiejszego jak zatumanić publikę; byle trochę wprawy, obejdzie się bez rozumu, może się nawet ściśle biorąc, obejść i bez sensu, dość pozorów obojga. Zwrócił więc uwagę i zrobił niejakie wrażenie, gdy dostąpił honorów druku.

Tymczasem książka w świat poszła, powoli odzywały się o niéj głosy różne, w coraz większéj liczbie, w ogólności nieprzyjazne.

Któż kiedy sympatycznym wyrazem podeprze młodego, który występuje obcy wszystkim i bezbronny; tacy ludzie służą pospolicie za łatwą pastwę głodnéj rzeszy, a im dzieło jest oryginalniejsze, im myśl w nim żywotniéj dysze, tém szérsze dla krytyki pole. Trudno ująć nicość, łatwo pochwycić twór żywy.

I tu się tak stało właśnie, każdy ułamek książki mógł być przedmiotem osobnéj rozprawy; w jednym za nadto dziwaczny panował ideał, w drugim rzeczywistość była zbyt krzyczącemi narysowana barwami, w trzecim brakło myśli, bo jéj nie dojrzano, czepiając się firanek wiszących u okna, przez które widać było światło; w czwartym nie dostawało moralnego celu, inny ułamek nie stanowił całości, inny w częściach był nieproporcyonalny, ten grzeszył przeciwko sztuce, ów przeciw etyce.

Ze smutkiem, ale już bez rozdrażnienia przeczytał

Stanisław te sądy tak surowe, z których żaden nie był natchniony ani radą życzliwą, ani uczuciem piękna; bo nikt z sędziów nie pomyślał o wydobyciu z dzieła błyszczących w niém wdzięków, a każdy zajadle wynajdował wady.

Inaczéj jednak oceniła *Fantasmagorye* opinia ustna i czytelnicy, w których pisarz znalazł sympatye, chociaż i tu zbytek artystyczności, jakiś sposób niezwyczajny uczuwania i przedstawiania piękności stał na zawadzie pozyskaniu ogólniejszego współczucia. Stanisław malował w zapale, nie zważając jakich farb używa i często mięszał tony za surowe, na które, oderwawszy je od całości, patrzeć było przykro. Ogół zaś czytelników sądził je nie w związku z tém co poprzedzało i następowało, ale odrywając je, a przeto niesprawiedliwie; raził go rys pojedyńczy, obok którego stojący drugi, kosztem tylko tego kontrastu dobitniéj mógł się dać uczuć.

Czytelnicy wszakże, znajdując po raz piérwszy w książce świat nie obcy, ale ze znanych im utworzony materyałów, sympatyzowali z pisarzem, który się ośmielił zejść z drogi ubitéj i wywlec przed sąd powszechny społeczność dotąd od niego wolną, i brojącą bezkarnie. Kobiéty obrażone, uczuły się rozdrażnionemi, to w nich obudziło ciekawość, kilka słów wznioślejszych wstrzęsło serca, odezwało się w oklaskach poczciwych dłoni, i wielu z tych co

siadali do książki obojętni, wstawali od niéj nawróceni.

Razem wzięte książka i krytyka, znowu o jeden stopień acz maluczki, podniosły człowieka, który w krótkim przeciągu czasu dał się poznać w pismach peryodycznych, poezyami, powieścią, krytyką i próbką historyczną. A że u nas niezwyczajną była ta różnostronność i obfitość, bo kto dwie ody Russa przełożył a o trzeciéj broń Boże myślał, już godził na nieśmiertelność i zajmował poczestne miejsce w literaturze, poczęto krzyczeć na pośpiech, na płodności zbytek i rozrzucanie się w różne rodzaje.

Tu krytyka pozornie miała za sobą słuszność i biła też silnie w płodność autora, któréj wedle prawideł starych *nonum praematur in annum*, pojąć nie była w stanie; a że literaci przeszłego wieku wszyscy byli próżniacy i zlepiwszy jednę w życiu książeczkę, wydychać jéj na laurach, spoczywając przez całe życie nie mogli, bo nie jeden żył samym projektem dzieła i reputacyą, którą mu ono zrobić miało—nie potrafiono więc osądzić organizacyi odrębnéj, niezwykłéj, indywidualnéj, podciągając ją pod regułę powszechną.

Wszyscy, którym ta obfitość groziła zapomnieniem i współzawodnictwem niebezpieczném, uśmiechali się ironicznie i jak piłką rzucali sobie Szarskim. Historyk odpychał go do poezyi, poeta odsyłał do badań...

Wszystko to mogłoby zachwiać człowiekiem mniéj w sobie wyrobionym jak Szarski, którego ostatnie lata ugruntowały w pewnych przekonaniach i zasadach niezachwianych. Wierzył on, że każdy wedle sił i możności pracować powinien nie mierząc się niczyją piędzią, niczyją radą nie powodując, tylko przekonaniem własném; wierzył, że uczucie piękna, które człowiek wyrobi sam w swéj duszy, a nie żadna modła cudza, za prawidło tworom jego służyć powinna; wierzył jeszcze, że kto się poświęcił pióru sumienną kształcąc się pracą o ile siły wystarczą, nie powinien się oglądać ani na krzyki otaczającéj gawiedzi, ani pochlebiać ogółowi, ani święcić prawdy dla sławy, ani się nawet o sławę ubiegać. Nie o wieńce tu idzie jak dawniéj, nie o marne oklaski, ale o wypowiedzenie tego, co Bóg posiał w duszy.

Każdy artysta, pióra, ołówka czy dźwięku, powołany jest do wylania na świat idei z któréj zarodkiem się urodził, a którą do najwyższéj potęgi rozwinąć i wykształcić jest obowiązany. Jeden malując piękno podnosi oczy ku bóstwu i ideałowi, odźwierzęcając człowieka, drugi śle mu do duszy z dźwiękiem pieśni, myśl która nicią niewidzialną z nią się łączy, trzeci odtwarzając kształty natury odkrywa w niéj typ piérwotny idei Bożéj, i idealizując człowieka, świat, wskazuje niemal jaka dusza w tém ciele żyć powinna. Nic tu nie może stawać na prze-

szkodzie objawieniu myśli wewnętrznéj, potrzeba ją z siebie wydobyć.

Na tych zasadach oparty Szarski, postanowił iść daléj; ale ileż to razy westchnął gorzko że los, co mu tyle zadań rzucił przed oczy, związał ręce jego nędzą i zawisłością od chleba kawałka—jakże zazdrościł tym co mogli nie myśleć o jutrze i dać się wznieść skrzydłom natchnienia, nie oglądając na ziemię.

Co krok to nędza zapierała mu drogę!

A! budzi ona duszę do energii i boju, wywołując z niéj siły nowe, ale ileż razy zabija!! Księgi, ludzie, wzory, towarzystwo, wszystko ubogiemu, spętanemu niedostatkiem staje się niedostępném. Książki bibliotek publicznych w istocie najczęściéj tym służą, coby je kupić sobie mogli, i tu ubogi ostatni do nich dostąpić może. Ludzie których wykształcenie i stanowisko silniéj żywém słowem działać może od księgi, dla ubogich stoją za wysoko; wzorów ani dostać, ani im widzieć niepodobna; do towarzystw trudno być przypuszczonym na stopie równości, bo tu umysł jest najostatniejszą zaletą, a ogół tak się lęka ludzi ekscentrycznych, tak im nie ufa, tak ich zimną grzecznością odpycha!!! Nikt też nie podtrzymywał Szarskiego słowem współczucia, nie popchnął go, nie dźwignął; trzeba mu było samemu z siebie dobywać siły, a jedna tylko biedna Sara sercem całém słuchała jego poezyi, które dla niéj wszystkie były arcy-

dziełami. Staś uśmiechał się na ten sąd boleśnie, nie tego mu było potrzeba!

Dzień za dniem płynęły tak w niepewności, w nędzy, pracy i miłośnych marzeniach... nareszcie odebrał Stanisław liścik od Adama Szarskiego, który mu donosił że żąda się z nim widzieć koniecznie i ma mu cóś powiedzieć od ojca. Nie trudno się było posłannictwa domyśleć, Staś jednak poszedł z odwagą w sercu. Zamieszkali już w Wilnie państwo Szarscy, zajmowali piękny dom przy Wielkiéj ulicy, a jako spokrewnieni z księciem Janem i połączeni przez niego z całą arystokracyą miejscową, żyli na najwyższéj stopie dobrego tonu, starając się okazać, że nigdy nie pojmowali życia inaczej, tylko w téj uprzywilejowanej sferze.

Pani Adamowa miała apartament osobny, on zajmował także kilka pokojów, gdzie mężkie w osobnym salonie zgromadzało się towarzystwo, dom własny księcia jegomości był niedaleko. Liberye, powozy, kucharz, apartamenta, wszystko to jak najokazalsze, a może aż do zbytku było wyprężone i pokaźne.

Musiał więc Szarski przejść przez dwoiste meldunki lokai i kamerdynerów, aż go nareszcie wpuszczono do gabinetu pana Adama. Pan Adam był do niepoznania przerobiony na wielkiego pana i człowieka miejskiego; dumy przybyło mu jeszcze.

—A! to pan!—rzekł nie wstając z fotelu i skło-

niwszy tylko głową na widok bardzo skromnie odzianego krewniaka, a nie przestając na stole wśród kupy nagromadzonych papierów szukać jakiegoś zawieruszonego listu.

— Czytaj pan ten list, dodał nareszcie dobywając szarą cwiartkę — to ręka ojca pańskiego.

Stanisław pochwycił pismo ręką drżącą i okiem przebiegł je niespokojném. Sędzia pisał w niém do kuzyna, oświadczając na początku, że braknie mu sił by do wyrodnego zwrócić się dziecka, że go zaklina aby wszelkiemi środkami zapobiegł wstydowi jaki na familią sprowadzić może ożenienie jego z żydówką, z wychrzcianką...

Zaklinał w ostatku, żeby przez wpływy swe pan Adam starał się gdzie pomieścić Stanisława — wywieść go z Wilna, lub t. p. Jeżeliby zaś to wszystko nie pomogło, stanowczo zakazywał synowi nosić nazwisko Szarskich i zapowiadał że się go wyrzecze aktem urzędowym.

W miarę jak to czytał Stanisław, słabo mu się robiło, oczy zapłoniały, serce biło, a pan Adam widząc ten upadek ducha w człowieku, którego gwałtowności się obawiał, widocznie brał górę i coraz sroższą robił minę.

— Widzisz waćpan, rzekł po chwili milczenia — do czego to może doprowadzić życie próżniacze i bez celu... do rozpusty, wstydu i hańby.

Stanisław obudził się na te słowa.

— Ojcu, zawołał, wszystko wolno — nawet niesprawiedliwości dopuścić się względem dziecka, które ją zniesie z pokorą, ale obcemu rzucić obelgę w oczy, bez żadnego prawa, nieokazawszy nigdy wprzód współczucia...

— Ja wchodzę dziś w prawa ojca — odezwał się gniewnie pan Adam, tu idzie o wspólne nam imie.

— Szanuję pana w tych prawach, póki mi radzisz; ale znasz-że położenie, którego chcesz być sędzią? możesz-że pan sumiennie powiedzieć żem próżniak i rozpustnik?

— A cóż znaczy ta przeklęta żydówka?

— Jest to nieszczęśliwa...

Pan Adam parsknął ze śmiechu.

— Co mi to waćpan prawisz!

— Znasz-że ją pan? — spytał Stanisław.

— Słyszałem dosyć.

— Posłysz-że i odemnie, przerwał młody człowiek — jeśli masz serce i zechcesz mnie z niém wysłuchać cierpliwie...

— Przyznam się panu, odparł dumnie pan Adam, że wcale nie mam ochoty głupich izraelskich romansów być konfidentem... Dość mi na tém, że się nic do rzeczy kochasz... złe słowo! że się tam bałamucisz z jakąś zamężną żydówką, że ją chrzcisz i masz się z nią żenić jak mówią, a to dla Szarskich zbyt

wielki upadek i hańba, żebyśmy znieść ją mieli z krwią zimną i założonemi rękoma.

— Któż panu powiedział, że się chcę żenić? że o tém myślę?

— Wszyscy... dosyć że mówią!

Stanisław ruszył ramionami i unosząc się, dodał:

— A wiész pan że ta żydówka, ta żydówka więcéj może warta od wszystkich waszych pań i panien salonowych i powycieńczanych na duchu i ciele szlachcianek!

— Oszalał! oszalał!— zawołał pan Adam, więc już nie ma na to innego sposobu jak środki gwałtowne, więc cię siłą ratować potrzeba! a! i to potrafimy!

— Panie, odparł Stanisław — nie chcę ci odpowiedzieć jakbym myślał i co mam na ustach... Chodzi wam o imie, nie prawdaż? Napisz ojcu mojemu, powiedz sobie, że od dziś się go sam wyrzekam i zmieniam je... a zostawcie mnie swobodnym. Chleba nie mam, ale go u was nie żebrałem i nie żebrzę, pracuję nań i pożywam w pocie czoła, zostawcież mi wolą najdroższą każdemu i bądźcie łaskawi mną się nie opiekować więcéj.

Pan Adam umilkł zdziwiony.

— Czegoż pan chcesz?— spytał nieco łagodniéj.

— Jednego tylko, żebyście o mnie zapomnieli — od dziś dnia jestem... kto pan chcesz, ale nie Szarski

już, a między mną a wami nie ma nic prócz pamięci goryczy, którąście mnie poili.

Pan Adam przywykły do zimnego obejścia codziennego w kółku w którém żył, wśród téj sceny był jak na żarzących węglach, ruszał ramionami nie wiedząc jak wybrnąć z niezwykłego i nowego całkiem dla siebie położenia.

—Zreflektuj-że się, dodał z ostygłą miną pańską, i trochę szyderstwa—co nam wyrzucasz? że ci się nie dajemy utopić, zginąć i że cię pragniemy ratować, że ci podajemy rękę w złéj toni.. Cóżeśmy ci kiedy zrobili złego?

—A cóż dobrego?—spytał Stanisław ironicznie.

—Czyżem ja winien, żeś nie przyjął mojéj ofiary? wszakże ci chciałem dopomódz?

—Tak jest, rzekł Staś—chciałeś pan dać mi jałmużnę i za nią kupić sobie człowieka, jego wolę i przyszłość!

Pan Adam ruszył ramionami.

—Panie Stanisławie, odezwał się—na Boga, trochę krwi zimnéj, obłąkałeś się życiem samotném i zdziczałeś w złém towarzystwie. Sam powiedz, co sądziłbyś o człowieku jak ty poświęcającym wszystko, imie, związki familijne, przyszłość, dla miłości jakiéjś tam żydowicy, która się do niego przyplątała? Jak chcesz, żebyśmy na to obojętném patrzali okiem?

— Dobrze więc, mówmy o tém na chłodno, odpowiedział Stanisław — ale pozwól mi pan raz jeszcze, żebym ci opowiedział jak przyszedłem do tego rozstaju, na którym dzisiaj stoję...

Pan Adam zamilkł; trochę ciekawość, trochę przewaga młodzieńczego uczucia, zawiązały mu usta i Stanisław począł opowiadanie całego życia, a że w historyi własnego żywota nikomu nie braknie wymowy, że dzieje te jeszcze dlań krwią płynęły, a Stanisław był poetą... stało się, że po godzinie opowiadania, pan Adam zepchnięty ze swego stanowiska i sposobu zapatrywania się na ten wypadek, nie mogąc zupełnie wnijść w Stanisława, pozostał na jakiémś pośredniém nieokréśloném rozdrożu, z którego nie wiedział jak się pokierować daléj.

— Kochasz ją, rzekł po namyśle — to bardzo dobrze, nie jesteś winien temu co się stało? wierzę, masz uczucie gorące i szlachetne? przyznaję — ale w tém wszystkiém jest-li jaka rękojmia dla przyszłości? co ci zapewnia, nie powiem szczęście, ale bodaj spokój i znośne życie... Miłość dziś ozłaca wszystko; ale to uczucie gaśnie, a pozłota się ściera...

— Cóż mam począć? porzucić ją? dać na łup żydom? czy nędzy i zepsuciu może? wyrzec się téj, która na mnie oparła nadzieje całe? Bij się pan w piersi i jako człowiek, powiedz mi czy to się godzi?

Pan Adam był wielce zakłopotany, rozplątywał węzeł szlafroka, rwał kůtas od czapeczki i nie wiedział co odpowiedzieć.

— Więc o jedno tylko proszę, rzekł wstając i pomyślawszy nieco nad niestałością uczuć ludzkich — o rok czasu do namysłu, nic więcéj.

— Ale ona tak bez opieki pozostać nie może.

— Czy wolisz żebyśmy ją gdzieś do klasztoru, a waćpana pod chłodniejszą strefę posłali — tu nie ma nic, tylko dwoje do wyboru, słyszysz pan, słowo honoru że się nieożenisz do roku, lub...

Stanisław pomyślał, wyciągnął rękę i rzekł cicho:

— Słowo honoru...

— A teraz, uśmiechając się zwycięzko dodał pan Adam — gdybyś chciał odemnie przyjąć lekki zasiłek...

Szarski odskoczył jak oparzony.

— Jałmużny nie biorę, nie brałem i nie wezmę nigdy — odparł dumnie — pożyczki nie rozumiem gdy oddania nie jestem pewny... Chciałeś pan słowa, masz je, reszta do mnie należy.

Pan Adam nieukontentowany ukłonił się z dala i padł w swoje krzesło, ręką uciskając rozbolałą głowę. Staś wyszedł powoli.

Sarze ze spokojem powracał, wdzięk młodości i i życie; znowu rumieniec twarz jéj opromieniał, czarne oko patrzało jakoś łagodniej... ale z powrotem do zdrowia, nie pozwalała na chwilę Szarskiemu oddalać się od siebie i zazdrośna trzymała go, nęcąc wszelkiemi sposoby. W tych długich godzinach spędzanych sam na sam we dwoje, obok siebie, z dłonią w dłoni, przy blasku wejrzenia pięknéj Izraelitki, które wlewało niepokój w duszę Stanisława, potrzeba było całéj mocy sumienia i potęgi woli, by zapomniawszy na wszystko, nie upaść. Ale każda piérwsza miłość to ma do siebie, że jéj wystarcza wejrzenie, dźwięk głosu, przytomność ukochanéj istoty, że nie pragnie więcéj, bojąc się po za granicą nowych roskoszy znaleść ich koniec i wyczerpnąć czarę do dna. Z każdą tylko godziną wzrastało przywiązanie, a dzika trochę kobiéta co je budziła, tak była niepodobną do pospolitych zimnych istot powszednich, że jéj dziwaczność nawet nowym była urokiem. W myślach jéj jak na twarzy było poetyczne piętno wschodu, a usta nie mówiły inaczéj jak śpiéwem i poezyą... cały świat oblekała tą szatą płomienistą i gorzał w jéj wyrazach, jéj ogniem objęty.

W istocie wyższą nad pospolitą Bóg ją obdarzył duszą, która, że nikt ją niekształcił, że się rozwijała sama, swobodnie, dziko, strzelisto, dziwiła

niespodzianemi barwami w jakich przedstawiała się oku. Dla niéj nic nie było pospolitém i śmiesznėm, bo w każdéj rzeczy i wypadku widziała stronę jego smutną, poetyczną, poważną i wielką, nigdy nie schodząc na ziemię, nigdy się nie dotykając kału. Potrzeba było poety, by za nią zdążył w jéj zachwytach nieustannych, w wędrówkach szalonych po świecie ducha. Sama nieznajomość jego czyniła ją zuchwałą do ostateczności; rzucała się na przedmioty uderzające z tą śmiałością młodości, która niczego zlęknąć się, nic poszanować nie umié. W uwielbieniu, we wstręcie nie znała granic i szła wprost do exaltacyi!

Ale na dnie jéj duszy brakło najpiękniejszéj perły, którą się wieńczą skronie... wiary— tlało w niéj przywiązanie patriotyczne do staréj Mojżeszowéj praojców religii, ale było raczéj poetycznym porywem, niż przekonaniem głębokiém... księgi chrześcijan, które czytała, wskazywały jéj co ustarzało w wierze przez współwyznawców jéj przechowanéj, i czuła że ślepi umyślnie na nowe światło, widzieć go nie chcieli. Ale między jedną a drugą wiarą pozostała na rozdrożu, a Bóg nie zesłał jéj tego daru, téj łaski, tego uczucia co oświeca nagle, niepojętym sposobem, a którego ani pracą, ani wolą otrzymać nie podobna.

Wiarą jéj była poezya sama... poezya we wszyst-

kich swych postaciach i wszelkiéj swéj szacie; biblijna, odwieczna, pierwotna i nowa, od Mojżesza do Hejnego! Rozumiała zarówno i czciła na jednym ołtarzu Goëthego z pieśniotwórcą Kantyku, króla psalmisty i Danta. Ostatni z całego szeregu poetów, których się uczyła, najwięcéj ją uderzył, w jego obfitéj wyobraźni tworzącéj co krok światy nowe, céś było sympatycznego dla jéj duszy, która darła się może przez poezyą tę, do pożądanych krain... wiary! Shakespeare, poeta północy, pełen najprawdziwszego uczucia ziemskiego, podnoszący nawet najnieszlachetniejszą namiętność do ideału, prozę rzeczywistości umiejący przebrać za poezyą, nie tyle na niéj robił wrażenia. W nim widziała świat ze strony jego aż nadto prawdziwéj, choć cudnie odtworzonéj... Z Dantem uciekała nad ziemię, za światy i gościła w tych kręgach tajemniczych dziwną światłością piekieł i niebios oblanych, jak w rodzinnym swym kątku.

Dnie jéj spływały na marzeniach i śpiéwach, na lekkiéj pracy, a choć usta nigdy nie zdradziły serca, jednak na czole często pochmurzoném, na często zbladłych ustach, na oczach czasem zamglonych, czytał Stanisław tęsknicę za temi nawet co jéj życie zatruli męczarnią, a których się była wyrzekła.

Lękała się prześladowania, powrótu do niewoli, a łzą cichą płakała za młodością. Codzień podno-

sząc się umysłem z martwéj sfery w jakiéj judeizm trzymał całe jéj pokolenie, co chwila odlatując od zamarłego społeczeństwa, od którego ją żywe oderwało uczucie— musiała jednak przypłacić tę zmianę losu, żalem choć niewyznanym, choć skrytym.

Żal ten tamowała tylko obawa powrotu do niewoli.

Stanisław zapominał o jutrze, w tych słodkich godzinach, które z nią pędził, często się dla nich wyrzekając snu, bo nocną pracą okupywał chwile przebyte w zachwyceniu. A jeśli siadł przy niéj do pracy, to go jéj oko odrywało, to go zmięszało jéj westchnienie, bo dłoń jéj wyciągnięta porywała go ku sobie. Czytali razem, czytali... i nie raz jak w Dancie księga upadła, bo ręce związały się uściskiem, a usta czystym ale gorącym pocałunkiem.

— Na co mi więcéj? na co inne życie? mówił Stanisław w duchu— mogęż być szczęśliwszym? mogęż na świecie znaleść co nad to niewinnie roskoszniejszego? a! byleby tylko trwało szczęście nasze!

Ale ile razy odszedł zostawując ją samą, pomimo dozoru doktora, mimo straży czuwającéj nad Sarą, mimo pozornego wyrzeczenia się jéj przez rodzinę, która zdawała się zapominać o swém dziecięciu, Stanisław drżał z obawy o nię. Często w nocy zrywał się, przebiegał ulice i przychodził podsłuchiwać pod drzwiami, czy Sara była u siebie.

Ale obawy te tak się w końcu płonnemi ukazywać zaczęły, że Szarski wygnał je z serca, wytłumaczył sobie zobojętnienie Dawida, zrzeczeniem się udziału majątku jego córki, przekonaniem niemożności odzyskania jéj.

Starał się tajemnie dowiedzieć o Białostockich i zapewniono go, że wszyscy ile ich było wyjechali z Wilna, nawet stary Abram opuścił kamienicę przy ulicy Niemieckiéj.

Sara bolała niemal na tę obojętność, więcéj bowiem spodziewała się przywiązania i prześladowania; nabrała ci ona przekonania że wszystko się skończyło, że przyszłość poczyna wschodzić jasna i nic nie rokuje burzy.

Cisza, która ich otaczała codzień o tém zdawała się bardziéj przekonywać, a świat zapomniawszy o wypadku, o którym z początku tak wiele mówiono, który tłumaczono tak dziwnie, znowu się począł z ciekawością jakąś obracać ku poecie. Szarski trochę odzyskawszy spokoju, rozpoczął nowe prace, a że umysł jego innego nie pojmował wytchnienia jak zmianę zajęcia, kilka razem tworzyło się prób różnego rodzaju. Księgarze oswojeni już teraz z jego nazwiskiem i pewniejsi odbytu, choć ściskając worek wyciągali doń rękę i po długiéj oppozycyi, znalazł się niespodziewanie przy-

jętym do grona pracowników, z prawem głosu, którego mu długo odmawiano.

Przyszłość więc zdawała się pomyślniejszą, gdy niespodziany cios, znowu w druzgi całą tę budowę obrócił.

Jednego poranka, gdy spokojny i wesół wszedł do mieszkania Sary, znalazł w niém drzwi pootwiérane, nieład straszliwy, porozrzucane suknie, rozsypane książki, ślady widoczne jakiejś sceny gwałtownéj... Sara znikła.

Z rozpaczą wpadł do doktora, który na sam widok jego twarzy przeląkł się niewymównie.

— Co ci jest? spytał — co się stało?

— Sara! Sara! Sara znikła— Sary niéma! zawołał słabym głosem.

Brant poleciał zaraz do jéj mieszkania, zwołano ludzi, rozpoczęto badanie, ale nikt od wczoraj najmniejszego w domu nie posłyszał szelestu, nikt nie wiedział o niczém, i śladu nie było, jak to porwanie dokonane zostało.

Życie i losy pisarza od tylu najrozmaitszych okoliczności ubocznych zależą, że ze stanowiska jakie zajmuje wśrzód społeczności swojéj, rzadko sprawiedliwie osądzony być może. Potrzeba krom talentu, natchnienia, poznania położenia swego i obo-

wiązków z biegu tak wielu szczęśliwych trafów, by go uznano, by wrażenie zrobiło, że rzadki kto się pochwalić może opieką losu. Niech dzieło będzie najlepsze, ale nie wyjdzie w porę, spóźni się z myślą, którą wypowiedzieć było powinno w danym czasie, a znaczenie jego stracone; niech w chwili ukazania się, jakiś wypadek oderwie od niego oczy i duszę ogółu, a wieki później czekać musi nim się nań ludzie obejrzą i wartość jego postrzegą. Piérwsze głosy krytyki, osobiste położenie pisarza, jego charakter i sposób życia, wszystko na nieszczęście jest żywiołem sądu, powodem powodzenia lub upadku. To tylko pocieszać może tych, którzy czują, że duszę swoją wleli w to, co tworzą, że na ich grobie, w jakie lat dwieście pracowity mól grzebiąc się po starych szpargałach odkryje ich pismo zapomniane, przeczyta je i powoła swych współczesnych, do nowego o niém wyroku, rozbioru i sądu. A że w lat sto lub dwieście namiętności zgasły, stronnictwa zostały zapomniane, ludzie ostygli, sąd ich najczęściéj sprawiedliwszy, chłodniejszy, odda cześć temu co czci warto, zrzuci z podstawy co niesłusznie na ołtarz wzniesioném zostało.

Ale za życia! za życia! Jak los pojedyńczego człowieka często zawisł od spotkania się na gościńcu z jakim włóczęgą, od słowa które wyrzekł z nieuważnym pośpiechem, od ciepła, pogody, chłodu

i odwrócenia głowy na prawo lub lewo, co wszystko nie jest sprawą ślepego losu, ale wedle trafnego wyrażenia słowiańskiego rzeczą *sądzoną*, a zatém sprawiedliwą— tak i los pisarza zależy od nieskończonéj liczby drobnych wpływów i zetknień. Mówiemy tu zawsze o powodzeniu dzieł człowieka za jego życia, przekonani, że sąd wieków, prędzéj, później przychodzi z nieodwołaną prawdą.

Habent sua fata libelli; jedne w porę przychodzą, drugie zawcześnie, inne zapóżno, mieliśmy tego dowody ze szkołą romantyczną u nas, którą poprzedziły lóźne wystrzały nie dosłyszane i nie postrzeżone... znalazłoby się i więcéj. Samo odosóbnienie autora i odcięcie jego od społeczności i duchownego jéj żywota, niezmiernie ważną stanowi przyczynę częstego zapoznawania pisarzy.

Człowiek zostawiony sam sobie idzie powolniéj, braknie mu pobudek zewnętrznych do myślenia, do rozwijania się; kierunek wreszcie tego rozwoju nie pewny i społeczność otaczająca popycha, podbudza, stéruje, i ulegając wpływowi człowieka sama nań przeważnie wpływa.

Sam z sobą człowiek dziczeje i chętnie zastanawia się na wyrobionėm stanowisku, z którego tylko oppozycya, walka, do nowéj pracy powołać go może, jak trawę do wzrostu zmusza kosa człowieka.

Parę lat upłynęło od czasu, gdyśmy rzucili Stanisława, i po nich wielce go zmienionym znajdujemy— los jego ten samy, ale człowiek co go znosi inny.

Ciężką boleścią opłacił on niespodziane zniknienie ukochanej Sary, która jak meteor zabłysła w jego życiu, mignęła i znikła, na zawsze pozostał mu po niéj nieuleczony smutek i niedowiarstwo w szczęście ziemskie.

W początku szukano starannie jéj śladów wszelkiemi możliwemi środkami, w Wilnie, w Kownie, po kraju, gdzie tylko przypuścić było można, że się rodzina Dawida ukrywała, ale wprędce dowiedziano się, że kupiec sprzedawszy całą nieruchomą majętność, sklepy, dom w Wilnie, znikł z kraju, i jak żydzi utrzymywali do Pruss się miał wynieść.

Co się stało z Sarą nikt nie wiedział; dawny jéj mąż, w skutek rozwodu, wedle prawa, przez samą jéj ucieczkę sprowadzonego, ożenił się raz drugi i żył obcy zupełnie rodzinie dawniéj z nim połączonéj. Nawet starego Abrama i żony jego, istot jak się zdawało gdzieindziéj jak w kraju, do którego obyczajów przywykli, żyć niemogących— nie odkryto miejsca pobytu. Porwanie Sary, utajenie jéj, tak były dopełnione zręcznie, tak ułożone zawczasu, że po nich żadnéj naprowadzającéj na poszlaki skazówki odkryć nie było podobna. Stanisław jeździł, posy-

łał, opłacał, żydzi go mamili, oszukiwali, odzierali, a ostatecznie pokazywało się zawsze, że nic nie znaleziono, że nikt nic się nie dowiedział, a raczéj że gmina Izraelska zdradzić współwyznawcy nie mogła. Doktor Brant pomagał serdecznie młodemu przyjacielowi, ale i on nie mógł nic zrobić i Szarski w końcu z rozpaczą załamawszy ręce, musiał powiedzieć w sercu swém, że stracił na wieki jedyną istotę, która go kochała. A że w życiu jednego człowieka nie ma dwóch takich gwiazd, dwóch takich słońc jasnych— patrzał na przyszłość bezsilny i zobojętniony.

Rodzice oprócz tego znaku życia, jaki mu dali przez pana Adama, nie odezwali się do niego, pisał do nich kilka razy, ale nie otrzymał odpowiedzi, bo widocznie ojciec rozgniewał się znowu i trwał już w swéj do dziecka nieposłusznego niechęci. Życie więc samotne, głuche, odosobnione, ożywiało się tylko pracą, poświęceniem jéj, kapłaństwem myśli; a zasklepienie to w sobie wywoływało coraz nowe ideje, dostarczając do coraz nowych dzieł wątku.

Z gorączką jakąś rzucał się do nich Stanisław i zabijał niemal ustawicznością wysiłków; ale wbrew jego chęci, praca nie wycieńczając, męczyła tylko chwilowo, a dodawała sił nowych. Położenie jego w towarzystwie otaczającém, oderwane, nie zależne,

pozbawione rady przyjaźnéj, najwięcéj mu zawadzało do skutecznego rozwinienia. Najdoskonaléj uorganizowany człowiek potrzebuje bodźca, rozmowy, krytyki, a wreszcie współczucia;— rzucony sam sobą, zmuszony radzić się siebie i stawać w dwóch na raz rolach obwinionego i sędziego, wprędce się wyczerpać musi. Stanisławowi często brakło książek, częściéj jeszcze ludzi— piérwsze ledwie miał zrzadka i na krótką chwilę, od Benedykta Pleśniaka, od professora Hippolita, od kogoś przyjaźnego lub chcącego się pochlubić, że cóś pożyczał poecie, ale drugich, w początkach zwłaszcza po owym wypadku, który imie jego związał z imieniem Sary, brakło mu całkowicie.

Ludzie odwracali się od niego jak od awanturnika, bali się podać mu ręki i drzwi otworzyć. Jednakże jak nic na świecie całym, (a u nas bardziéj może niż wszędzie), nie ma stałego, i ten wstręt powoli ustać musiał. Jedno pismo po drugiém rozgłaszało imie, dawało coraz różnostronniejsze próby talentu; przymioty pisarza budziły zajęcie, ciekawość, pragnienie poznania człowieka; choć to często! a! często! dwie tak odrębne istoty!

U Stanisława szczęśliwym trafem, człowiek i pisarz byli jedném, ale wieluż takich naliczym, co żyją jak piszą i piszą jak żyją? Zwróćcie oczy na kaznodziejów-pisarzy i powiedźcie jak wierzyć tym,

których pióro zaprzecza ręce, a ręka kłamstwo pióru zadaje? Oto poeta sielanek i pieśni, czuły, rozkochany, namiętny, który się ożenił z zasmoloną kucharką i wzdycha tylko nad pieczenią;— oto twórca epopei narodowéj, który nie mówi tylko po francuzku, oto moralista wychowujący dzieci w najgorszych przykładach domowych, oto filozof dający grosz na lichwę Bóg wie jak wprzódy zebrany,— jak-że tu nie odłączyć pisarza od człowieka i nie przypuszczać niemal dwóch w jednéj exystencyi.

Święty Paweł dawno powiedział że *homo duplex*, ale nigdzie ta dwoistość człowieka wyrazniéj w oczy nie skacze, jak w porównaniu dzieł z ich twórcami; rzekłbyś że pisał inny, a inny imie na tém położył.

I tak może jest w istocie, bo co pisze w człowieku, z człowieka, to nie jednostka jego, to nie on, ale duch zły lub dobry, duch ludzkości, duch wieku; autor trzyma pióro, słucha głosu i wiernie go spisuje. Cała rzecz, że jedni lepiéj, drudzy gorzéj pod dyktowaniem piszą. W życiu prywatném chyba szczególne okoliczności zmuszą pisarza wyjść z roli człowieka i przemówić językiem, który mu służy tylko do kazalnicy. Błądzi kto szuka w sławnym twórcy śladów jego utworu, jak gdyby w piórze którém pisał, chciano dostrzedz śladów poematu. Rzadki tak zjednoczony ze swą rolą i powo-

łaniem człowiek, którędyby cały żył w pismie, pisząc całe życie ustami, uczynkiem... przykładem.

Większa część najświetniejszych meteorów literatury, są po utworzeniu jak pytonissy zdjęte z trójnoga, z którego wróżyły przyszłość— osłabli, nieprzytomni, chorzy... pospolici ludzie. Co było najlepszego już się z tego naczynia wylało.

Ale i w życiu pospolitém, pisarz ma obowiązki nie skalać się będąc kapłanem, choć nie zawsze sprawia ofiarę, ręce jego i serce muszą być czyste... czekając na chwilę natchnienia. Jak dobre, szlachetne, piękne, wylać się może z duszy, która ich nie uczuła aż do poświęcenia im całego życia?

A! różnie się to przecie dzieje.

Są co piszą bez przekonania, a jednak ten ich głos nieszczéry, sprawą ducha, którego byli mimowolnem narzędziem, idzie daleko i na pewnéj społeczności klassie, usposobionéj do przyjęcia go, zbawienne wywrzéć może wrażenie. Tak i trucizna lekarstwem bywa.

Stanisław zawczasu aż do exaltacyi posunął w sobie pojęcie obowiązków pisarza-kapłana i starał się życie swe uczynić czystém i wzniosłém. Ani przykładem, ani mową nie dozwolił się posądzić o sprzeczność z tém, co w nim myślało i pisało. Ten duch, który wiódł pióro, prowadził i życie.

Patrzano więc jak na dziwaka, na człowieka, który wbrew towarzyskim prawidłom, mówił prawdę, który rzadko nie ujął się za przekonaniem swojém, choćby tém kogo miał sobie narazić, i szedł daléj drogą cierniową, bolejąc, a nie szukając wygodniejszych od niéj ścieżek.

I on, jak inni mógł znaleść w życiu cieniste drzewo spoczynku, źródełko do napoju, legowisko jakieś i kawałek dachu, okupione swobodą, zaparciem myśli swéj, i zajęciem około powszedniego chleba, coby go oderwało od zapatrywania się w myśl Bożą wyrażoną tysiącem znaków w świecie i ludziach; ale chciał być sobą i dla spoczynku nic nie myślał poświęcić. Spoczniemy w grobie na długo!

Bóg tylko wié jeden, jak mu chléb powszedni ciężko i krwawo przychodził. Nie ma towaru, coby się trudniéj od myśli sprzedawał, nié ma pracownika coby gorzéj wychodził, na dziele swéj ręki. Ci co jego robotą handlują, budują fortuny, on zawsze spragniony i głodny. Pisma Stanisława dzięki ich oryginalności, świéżości, dzięki może okolicznościom przyjaźnym i krytyce, co je prześladowała, sprzedawały się prędko i dobrze, nabywali je bibliopole dosyć ochoczo, ale z każdym rękopismem odegrywali komedye, żeby go jak najtaniéj wytargować z rąk autora. Żaden z nich nie miał

tyle sumienia, żeby otwarcie wartość istotną zapłacić; handlowali tém jak inni skórkami zajęczemi. Najrozumniejsi łapali go pochlebstwem, przyjaźnią, drobną przysługą, uśmiéchem dobrodusznym, bezwstydniejsi poprostu wypatrywali chwili dogodnéj, targowali się o każdy grosz, a zbywali w końcu bibułowym rachunkiem. Zarabiał wydawca, bogacił się sprzedający częściowo, mający pięćdziesiąt procentów ustępstwa, to jest więcéj daleko niżeli sam autor zysku, a pisarz wedle odwiecznego prawa marł z głodu pracując sił ostatkiem na drugich.

Ciężko było z tego grosza wyżyć choć jednemu człowiekowi, ale Stanisław nie potrzebował wiele, i wystarczało mu co miał. Zaraz po ucieczce Sary, unikając wspomnień, które mu nastręczało dawne jego mieszkanie na Trockiéj ulicy, wyniósł się na Zarzécze; tam wypytawszy sobie parę pokoików na piętrze, z których widok miał rozleglejszy, zamieszkał wśrzód pracowitéj ludności jednéj z najuboższych części miasta. Mało bardzo wychodził z domu, mniéj jeszcze miewał ludzi u siebie, zamknięty, dumał, pisał, lub gdy się stęsknił jak dziécko wioski, za naturą, zielenią, za powietrzem i wodą, leciał w okolice Wilna pełne uroczych widoków.

W tych przechadzkach często zabiegając daleko,

rozgrzany ruchem, puszczał wodze fantazyi i obmyślał całe ustępy, całe pieśni, które potém zamknięty na klucz w swéj izdebce, pośpiesznie rzucał na papier. W przeciągu tych lat wydał on kilka pism nowych: dramat, poezye, urywki prozy, które krytyka swoim zwyczajem przyjęła z surowością i szyderstwy. Ale przeciwko wszelkiemu jéj obrachowaniu, Stanisław zyskiwał w opinii za każdą nową książką i krytyką nową, a ucząc się od swych sędziów wad własnych, które najlepiéj nieprzyjaciele wskazać mogą, poprawiał się z nich o ile mu dozwalała natura jego i organizacya. Są jednak wady z których się poprawić niepodobna, wady organiczne; z tych i najboleśniejsza nie uleczy operacya; te rozwijają się z wiekiem jeszcze.

Na końcu roku ostatniego, już imie jego dobrze było znaném, ale najlepiéj podobno tym którzy najdaléj od Wilna mieszkali. Sąd oddalonych był niejako wyprzedzeniem wyroku opinij powszechnéj, nie wpływała nań namiętność ani uboczne okoliczności; wspominano imie Szarskiego za granicą, oceniali go obcy, odbierał dowody współczucia z zapadłych kątków kraju, a otaczający go obudzeni dopiéro tém może, z większém zajęciem poczęli spoglądać na młodego pisarza.

Była to tylko prosta, niestety! ciekawość, nie współczucie; ten chciał się pochwalić że żyje z nim poufa-

le, ów podchwycić myśl jego, inny popisać się wziąwszy go pod rękę na ulicy — ale w ciszy, w zakątku, sercem do serca przemówić, ale mu podać dłoń ciepłą — nikt nie umiał! Miłość Sary i miłość którą malował w poezyach, dramatach, w urywkach swoich Szarski, bo często wracał do tego uczucia, trochę ku niemu zwracała oczy kobiet, ale i to i to była tylko zimna ciekawość. A gdy za piérwszém widzeniem ujrzały go zimnym na oko, znękanym, pospolitym człowiekiem, z którego ich oko iskry dobyć nie mogło, mówiły: — Nudne jakieś stworzenie! i zwracały się do innych. Chciały by im od razu wyśpiewał poemat, lub padł do ich kolan po piérwszym ukłonie. Często zaproszony do czyjegoś domu, po chwilce spoczynku i rozmowy o pogodzie, spotykał nalegania aby cóś przeczytał, przetrząsano mu kieszenie, szukając w nich papierów; a Szarskiemu który popisywać się i czytać nie mógł, przykremi były te nalegania. Dla niego zbyt świętą rzeczą było wszelkie natchnienie, by się z niém przed prostą powszednią ciekawością miał popisywać na zimno; każdy swój wiersz brał do ręki z biciem serca, z płomieniem oblaną twarzą, ze świętym strachem, by nie rzucić myśli i uczucia na łup stworzeniom, co je mogli splugawić . . .

Taki człowiek nie mógł mieć powodzeń na świecie, a że jako poeta nie równy był sobie, bo po chwi-

lach dumań, porywały go nagle wesołość natchnienie, wielomówność i zapałały się w nim ognie niespodziane— sądy o nim były nieskończenie różne; jeden miał go za miłego i wesołego, drugi wyrzucał mu chłód, surowość i nieczułość.

Kółko jego znajomości coraz się powiększało, a że każdy potrzebuje ludzi, i Stanisław rad był temu, umiejąc w poczciwém sercu swojém znaleść w każdym przymiot jakiś i dobrą stronę. Raziły go może wady i płaszczyzny pospolitych ludzi, ale w kimże najpospolitszym nawet nie odbija się promyczek Boży? w kimże nie mieszka cóś szlachetnego, cóś w jakikolwiek sposób zastanawiającego? Każdy ma stronę piękną, jeśli nie zawsze to chwilami przynajmniéj, wyrazistą.

Dom państwa Ciemięgów z szeregiem ich córek już przerzedzonym, bo niektóre powychodziły były za mąż, piérwszy mu się znowu otworzył; wprawdzie sama pani nieskończenie miała za złe poecie że Pryska bohaterka jego poematu została uwiedzioną, i miała to za wielkie przewinienie z jego strony, że obraz tak niemoralny odmalował; ale poźniéj zamknąwszy na klucz w kantorku ów nieszczęsny poemat, który wszystkie jéj córki przeczytały ukradkiem, jejmość zapomniała urazy i dość grzecznie przyjmowała starego znajomego. Rzadziéj coraz spotykał się tu Szarski z Iglickim, bo ex-professor już przestał

bywać po domach, znajdując że życie po szynkowniach, w których czas trawił, daleko było swobodniejsze.

Z Bazylewiczem nie widywali się prawie, a spotkawszy mijali się jakby nie znali, zręczny ów literat szedł tymczasem daléj rozpoczętą drogą. Nieudało mu się wprawdzie ożenić z panną Emiliją Kłapciówną, która poszła raptem za jakiegoś podpółkownika od piechoty mającego mieć trzysta dusz w Orłowskiéj gubernii; ale pocieszył się łatwo spodziewając schwycić poddeptaną wdówkę, chorą niestety! zbyt często na fluxyą w twarzy, a ciągle na uczoność, i mającą tylko jedną córkę. Tymczasem spekulował na literaturze, wydawał prospekta, zbierał prenumeraty, pisał artykuły, a że krzyczał bardzo głośno i krytykował śmiało, wyrobił sobie pewne stanowisko.

Professor Hippolit, jedyny przyjaciel Stanisława, zawsze mu wierny, równie ciężko i powoli jak on szedł drogą życia. Ale mimo pozornéj wesołości, nie miał siły wytrwania Stanisława, po piérwszéj drugiéj książce, niewidząc skutku w sławie ani w groszu, założył ręce, zawinął się w szlafrok i rzekł sobie: — Albom głupi pracować dla nich, wolę cudzéj pracy używać. Żył więc sobie spokojnie, po cichu, w kącie, zawsze czytając wiele, sądząc trafnie, śmiejąc się rad z wszystkiego co mu się śmiesznem zda-

wało i zapalając do pięknego, ale zupełnie zszedłszy sam z placu boju. Piękna twarzyczka ubogiej panienki chwyciła go za serce, pokochał się, głowa mu się zawróciła, nie długo myśląc, nie patrząc końca, ożenił się. Byli szczęśliwi, ale ubóstwo jak robak wyjadało ten owoc szczęścia; przyszło dwoje dzieciątek, przyszedł z niemi niepokój o ich losy, i professor Hippolit trochę z lenistwa, pierworodnego grzechu plemion słowiańskich, trochę z rozpaczy do której się nie przyznawał, wpadł w próżniacze życie pospolitych ludzi. Dawał lekcye, gawędał godzinami, chodził, grał w karty, zjadał śniadania, perorował po kieliszku, a do pracy się nie brał z dnia na dzień ją odkładając.

Przyparty przez Szarskiego zbywał go żartami lub obietnicami — pocznę, za tydzień, jutro, gdy rozpakuję papiery i t. p. Wreście otwarciéj czasem śmiał mu się w oczy.

— Daj ty mi pokój! probowałem, na nic się nie zdało... dosyć tego... aby dzień do wieczora, aby życie do końca...

Szarski widział ile w téj pozornéj wesołości taiło się rozpaczy, bo nieraz dostrzegał jak czułe ojczysko, wziąwszy synka na kolana, łzą miał oczy zalane gdy na przyszłość jego wspomniał — ale nigdy nie wydał się z tém że wié cóś więcéj niż powinien. Poczciwa to była natura, ale nie umiała się wyła-

mać z rodowych naszych nałogów. Umiał kochać, gotów był się poświęcić cały, byle poświęcenie to nagłe, nie potrzebowało po nim wytrwania długiego, pracy, stałości! Pracować, silić się, padać i wstawać, oplwanemu i ukamienowanemu wracać do apostolstwa i głos podnosić zahuczany szyderstwem... nie był zdolny.

Bazylewicz także czekał tylko ożenienia aby swéj połowicy zdać pióro i poczęto tłumaczenie Luizijady Camoensa rozłożyć na lat dwadzieścia cztéry. Wdówka zapewniała mu byt dobry i spokój; dawne pisemka jakie takie imie, a rozgłoszona wcześnie Luizijada, także dawała prawa do wdzięczności ogółu. Mógł więc po ślubie książki porozkładać, papier porościnać, piór natemperować, tytuł wykalligrafować i siąść z założonemi rękoma... Na nieszczęście to upragnione ożenienie nie przychodziło do skutku, a nawet na chwilę zachwianém zostało. Wdowa mająca kilkakroć i jednę córkę którą ze swych własnych funduszów wyposażyć mogła jak chciała, zbyt byłá dobrą partyą mimo wiecznéj swéj fluksyi, żeby się o jéj rękę liczni nie ubiegali zalotnicy. A że chorowała prócz tego nie tylko na literatkę, ale na filozofkę i formalną *blue stocking*, a słabość jéj dobrze była znaną, wiedzieli więc pretendenci jaką furtką trafić do niéj było można.

Codzień niemal prezentowany przez kogo innego

wchodził literat jakiś z papierem w kieszeni i gotowością do wzdychania, kochania, żenienia i przepisywania!

Ale jejmość chciała mieć dobry towar za swoje pieniądze; pierwsze jéj zamążpójście, które z woli matki spełniła jako ofiarę, wcale się jéj nie powiodło, musiała się odegrywać na drugiém.

Pani Lidzka miała już z okładem lat trzydzieści kilka... wedle kalendarza kochanków nawet, czterdzieści według przyjaciółek, a cóś więcéj podobno pokazywała metryka i twarz... Nigdy nie była piękną, ale też zato nie wiele zbrzydła starzejąc. Sucha, wysoka, blada, najczęściéj trochę zapuchła, miała reputacyą czarnych oczów które w istocie zrudziały jakoś i jak niedźwiedzie wynoszone i zrobiły się piwne; nos jak wszyscy, czoło, usta, brodę nie dające się opisać, bo bez szczególnych wdzięków i szpetoty. Z biedy, na portrecie mogła uchodzić za niebardzo brzydką, a przy świecach i bez fluksyi, nie raziła niczém; zrana tylko i przed ubraniem, mówiono że nie wyglądała ładnie, ale to mogły być plotki zazdrośnéj garderobianéj. Nosiła czasem okulary niebieskie, szyld pracy dawnéj, i po nich poznawano ją na ulicy. Zresztą żółta, wychudła, z ręką dużą, z nogą potężną, wcale nie była zachwycającą; dodajmy że się ubierać nie lubiła, zapominała się okrutnie i miała pretensyą do filozofii.

Taką to istotę wybrało serce Bazylewicza od pierwszego na nią spójrzenia; rozmowa obojga wzajemnie im przypadła do smaku, bo oboje mówili więcéj niż myśleli i tumanili słuchaczy, a że Bazylewicz ofiarował się skrypta pani posyłać do Gazety, drukować, chwalić, bronić i nosić po mieście ... zawiązała się tedy miłość...

Nie łatwo z nią było do surowéj wdowy przystąpić i przez absolut dostać się do rzeczywistości, ale Bazylewicz tymczasem wzdychał jak miech kowalski, a służył jak piesek. Dwa razy na tydzień urządził literackie wieczory u pani Lidzkiéj, nieopatrzywszy się biedak że wprowadzał sobie współzawodników; wszyscy bowiem nieżonaci literaci, przychodzący na nie, poczęli chórem wzdychać do wdowy, a im który z nich miał dziurawsze łokcie tém naturalnie wzdychał silniéj i gwałtowniéj.

Jejmość rozpatrywała się powoli.

Rumakiem pani Lidzkiéj była, jakeśmy rzekli, filozofija, a najbardziéj niemiecka, i choć pani podobno nawet nie umiała języka, a nie czytywała nic nad artykuły Reviewerowskie i pochwytała tylko loźne myśli a raczéj pochewki w których myśl była i formułki, puszczała się w wykłady pantheizmu i obronę hegelianizmu zagrożonego jak mówiła przez obskurantów. Tu więc na jéj wieczorach ułożono w obronie idei, zasad, ducha, postępu i tym podobnych

wielkich słów, które jak chorągwie powiewały nad paplaniną téj czeredy... wydawać pismo zbiorowe.

Nie było wówczas nic łatwiejszego nad takie wydawanie, które mógł przedsięwziąć kto miał czém prospekt napisać i za co go wydrukować. Prospekt tylko gęsto szpikowano wyrazami: cywilizacya, idea, syntheza, analiza, duch (ducha dodawano nieżałując)... obiecywano wiele, rozdawano tymczasem bilety prenumeracyjne w imie cywilizacyi, a zresztą rachowano na pieniądze z prowincyi, na artykuły z prowincyi, na współczucie kieszeni ogółu. Jaki taki prosty dzieciak natury nie ze wszystkiém nawet od piersi jéj odłączony, przysyłał zaraz rzecz o duchu, ze stanowiska... jakiegoś tam skréśloną, inny rzecz o postępie, trzeci poezyę do Pauli, czwarty paskwil jakiś pod pozorem powieści, inny pod pozorem krytyki zemstę... i tak piérwszy zeszyt w świat puszczano z godłem *Junctis viribus.* O drugim i trzecim rzadko była mowa, a gdy zabrakło myśli, wytrwania, nauki, cierpliwości i sumienia zrzucano winę na ogół. Jest to po części historya wielu a wielu u nas pism zbiorowych; na cóś podobnego zbierało się u pani Lidzkiéj, na któréj kolanach wykołysał się prospekt, karmiony przez zapuchłą ową muzę, mlékiem filozofii.

Bazylewicz był jego ojcem, ale posłuszny inspiracyi Egeryi, poprawiał go póki chciała i jak pragnę-

ła, potém wybił w dwóch tysiącach egzemplarzy i rozpuścił po świecie.

Lecz gdy sądził że już całkiem podbił serce pani Lidzkiéj i upatrywał tylko sposobnéj chwili, by jéj paść do kolan, gorącą miłość w oświadczalnym opiewając sonecie, zaszły niespodziane okoliczności, które zachwiały jego przyszłością i przeraziły go niemało.

Naprzód licho jakieś nadało że mnóstwo osób które pobrały bilety na dzieła Jana-Piotra-Felicyana Musiny Bazylewicza (gdyż takiemi się ubrał tytułami), poczęły nieprzyzwoicie skwierczeć, skarżąc się że nie wychodziły; narzekania te w dość przykry sposób sformułowywane doszły do uszu wdowy; powtóre zjawił się niespodzianie niebezpieczny współzawodnik.

Był to niejaki Baron Hollar, niby niemiec, niby krajowiec, niby poeta, niby człowiek salonowy, a że politura nigdy u kobiet nie szkodzi, łańcużki złote na kamizelce i pierścionki dosyć są pożądane, czarna zaś czupryna i zgrabny wąsik dobremi bywają agentami matrymonijalnemi; baron wraz po wnijściu, uzyskał pierwsze stanowisko przy wdowie. Goły był jak święty turecki, lepiéj mówiąc jak literat, Bóg go wié co umiał, ale że jeszcze śmieléj od Bazylewicza prawił, kłamał i przechwalał się... poczęli zaraz z przerażonym Bazylewiczem zjadać się

na surowo od pierwszego wieczora i baron niedał się połknąć.

Miał on mnóstwo wyższości nad współzawodnikiem; naprzód jaką taką ogładę, której brakło Bazylewiczowi sztukującemu się niesmaczną rubasznością, powtóre talenta, bo grał, śpiewał i malował, a przynajmniéj uchodził za dystyngwowanego znawcę i dilletanta w tych przedmiotach. Wdowa była także namiętną artystką, bo grała jednę sonatę Fielda, wyuczoną jeszcze za błogich czasów jego sławy i zmalowała z pomocą potulnego metra ogromny łeb jakiegoś Tarquiniusza, wylizany i wysmarowany, który wisiał w salonie, a zwykła była powtarzać że człowiek bez usposobienia artystycznego zawsze się jéj zdawał niekompletnym. Baron był przytém co się zowie pięknym mężczyzną i przyjmowano go wszędzie... to jéj pochlebiało... W oczach więc zdetronizowanego Bazylewicza romans się począł i na seryo, bo trzeciego dnia dla swéj bogini baron przyniósł canzonettę, któréj poezyi i muzyki był twórcą, a w dodatku jeszcze sam ją, oświadczając się w ten sposób, wyśpiewał przy fortepianie.

Arcy-dzieło to, tajemniczego pochodzenia jak sam autor, zaczynało się od wyrazów:

Gdy głos twój słyszę, gdy mowę twą chwytam...

Śpiew pozyskał oklaski, a co gorzej takie wejrze-

nie jakiego Bazylewicz nigdy nie otrzymał jeszcze, nawet za napisanie prospektu—biedny kochanek umierał ze strachu, trzeba się było ratować, poszedł po rozum do głowy. Nie on wprowadził do domu pani Lidzkiéj, tego nieszczęsnego barona, i nic też o nim niewiedział, dopiéro, gdy mu tak groźnie stanął na drodze, zaczął się o niego rozpytywać po mieście.

Pochodzenie było zagadkowe, różnie różni mówili, wywodząc go z Inflant, z Kurlandyi, z Pruss, z Hollandyi; ale między głosami temi znalazł się jeden który mu po cichu pochodzenie izraelskie zarzucał. Za tą nitką poszedł Bazylewicz i dopadłszy wątku, zasadził się na swoją ofiarę. Jednego wieczora gdy sam na sam z P. Lidzką rozmawiali o owém piśmie zbiorowém które wydawać zamierzali, a nikt im planów wspaniałych nie przerywał, Bazylewicz umyślnie zwrócił mowę na barona.

— Nigdybym nie sądził, rzekł zimno, żeby w człowieku tak dalece wychowanie mogło zatrzeć ślady pochodzenia wszelkie, aż do typu fiziognomii. Ktoby to poznał w nim żyda!

Wdowa poruszyła się żywo na kanapie, drgnęła, zaczerwieniła się i rzuciła badawczém okiem na literata, który dodał chłodno.

— Jednak że żyd, wié o tém całe miasto!

— Prócz mnie, bom dotąd ani słyszała o tém, ani

się domyślała tego — odparła wdowa zagryzając usta — sądzę że to potwarz być musi...

— Mogłaby to być potwarz, przerwał Podolak ale uważała pani, że w wymawianiu taki chlipnie czasami... To mówiąc rozśmiał się szydersko.— W mieście zowią go Baronem Judele.

P. Lidzka zbladła, pokraśniała, zadumała się, ale już nic nie odpowiedziała.

— Zdradza go także zdatność do muzyki, dodał nielitościwy oprawca, wszyscy żydzi są bardzo muzykalni, to fakt...

Wdowa ruszyła ramionami, a w tém właśnie wszedł poszustnie baron z kieszeniami pełnemi nót, wierszy i nowostek;— piérwsze przywitanie z panią domu przekonało go że już mu się ktoś przysłużyć musiał. Z ukosa spójrzał na Bazylewicza, ale cały wieczor zszedł kwaśno.

Wdowa, jakkolwiek powierzchowność Barona dość jéj do smaku przypadła, cofnęła się zaraz od niego, począwszy wypytywać niespokojnie i dowiedziawszy że była tam jakaś wątpliwość względem genealogii.

Naówczas Bazylewicz korzystając z zawahania się wdowy, nagle jednego wieczora, upadł jéj do nóg z oświadczeniem wiekuistéj miłości. Że jéj wierzyć mogła, to rzecz dziwna ale prawdopodobna, zimno jednak przyjęła gorące zeznanie i kazawszy powstać kochankowi, posadziła go naprzeciw siebie, a popra-

wując chusteczkę obwijającą wiekuistą fluksyę, tak się do niego odezwała:

—Pan jesteś młodszy odemnie.

—Dusze nie mają lat, rzekł śmiało Bazylewicz—bo duch młodym jest zawsze.

—Śmianoby się ze mnie gdybym za mąż poszła nie wydawszy wprzód córki, któraby stosowniejszą była dla pana partyą nademnie.

—Pani! pani zabijasz mnie temi zimnemi rozważnemi przewidzeniami... Ja się tylko jednego domagam słowa, kochasz mnie czy nie? oto pytanie żywotne.

Wdówka się uśmiechnęła i wyciągnęła ku niemu, suchą swą atramentem poplamioną rękę.

—Cierpliwości, rzekła, cierpliwości! nic nie przyrzekam, ale pan nie rozpaczaj—o czas proszę, poznajmy się lepiéj wzajemnie.

Bazylewicz wziąwszy to za przyrzeczenie, upadł jéj do nóg znowu i tak się ta scena skończyła.

Dla Stanisława świat marzeń był właściwie polem żywota, bo w nim więcéj mieszkał niż na ziemi; wszakże przyjaciele ściągali go gwałtem w kółko swoje, między ludzi. Tęskny gościł w nim przybyszem nie znajdując nigdzie tych wrażeń, tego zapału, szczérości, jaka cechowała młode towarzystwo współ-

uczniów jego na ławach akademii. Ani tego wylania się mimowolnego, ani tego zapomnienia na siebie, ani téj otwartości nie było wśród nowych przyjaciół, grających jakąś rolę, zajętych więcéj pokazaniem się, niż przepełnionych potrzebą wylania się z tém co ciężyło ich sercu.

Dnie upływały bardzo jednostajnie i po większéj części w zupełnéj niewiadomości tego co się działo w mieście, bo maleńkie wypadki codziennego życia, innych nadzwyczaj zajmujące, jego nie obchodziły wcale. Jednego wieczora zwlókł się do niego professor Hippolit, który rzadko bywał na Zarzeczu, bo na doróżki tracić nie chciał, a piechoto zbyt było chodzić daleko. Na twarzy jego nieco zmęczonéj, w oczach ciągle łzawych, walczył smutek duszy z wesołością temperamentu. Na ten raz był widocznie po dobrym obiedzie—oczy mu pałały, śmiał się ochoczo, i na wstępie zaraz rzuciwszy się na kanapkę przy oknie, z którego był piękny widok na miasto i rzekę, zawołał:

—No, dziku mój, już cię dzisiaj od roboty i z chaty twojéj wyciągnąć muszę.

—Mnie?—zapytał Stanisław.

—Ciebie, ciebie, mój poeto, mamy w mieście naszym osobliwość, trzeba żebyś ją zobaczył, wszak dobrze rozumiesz po niemiecku?

Na Boga! tłómaczyłem przecie Goëthego.

—Nie racya! są co tłómaczą nie umiejąc ni słowa języka z którego robią przekłady; ale lubisz Schillera?

—Zkądżeś tak dziś pełen téj niemczyzny?

—Zkąd? w mieście całém, wszyscy dziś tylko po niemiecku szwargoczą.

—Co się im stało?

—Mamy teatr niemiecki!

—Zkąd?

—Nie wiész? trupa jadąca wprost z Berlina, zamówiona do Petersburga; po drodze dają u nas kilka reprezentacyj... Mają kilku przewybornych aktorów, sławnego Karola Moor, tak przezwanego od głównéj swéj roli, i niemniéj sławną *Smaragdinę* (jest to jéj *nom de guerre*, Bóg wié jak się w istocie nazywa), ale aktorka doskonała. Muszę cię z sobą poprowadzić na teatr.

Stanisław ruszył obojętnie ramionami.

—A co grają?—spytał.

—Coś tam Schillera, nie wiém na pewno, ale cokolwiek dadzą, ciekawym wrażenia jakie na tobie uczyni poezya niemiecka, czysto niemiecka, w żywą dramatyczną obleczona szatę. *Smaragdina* wielką jest niezaprzeczenie artystką!

—Pójdziemy więc zobaczyć twoją Smaragdinę i porównać ją z naszą panną Izabellą.

—Byłem wczoraj, kończył professor, będę dziś i

jutro i póki grać będą, bo przyznam ci się, że mnie ten nowy teatr mocno zajmuje, unosi, egzaltuje... Wystaw sobie Schillera! kochanego młodości naszéj Schillera, granego *con amore*, z tradycyą teatru może przez autora natchnioną, pojętego całą duszą... to cóś warto!

— Warto, rzekł Staś — bym ostatniego lub przedostatniego rubla na to poświęcił! idę z tobą! Przecież i do nas nie zawsze tylko akrobaci jeżdżą, kuglarze, hece i małpy!

— Nie pożałujesz, ręczę, zawołał professor — a że tu w waszéj syberyi na Zarzeczu dorożek nie widać, a ja od ożenienia utywszy nieznacznie chodzić nie mogę, zrób mi tę łaskę i wyjdźmy zawczasu, żeby się i nie śpieszyć i piérwszych scen nie stracić.

Stanisław posłuchał professora, i pustki jeszcze były w teatrze, gdy pod jego skromny portyk podeszli, dopiéro w kwadrans zaczęły się zaludniać loże, fotele, a powozy grzmieć na bruku. Staś i Hippolit szczęśliwie trafiwszy zajęli miejsca w piérwszym rzędzie zaraz za Każyńskim i orkiestrą, która przez grzeczność dla niemców, poczęła uwerturę z Oberona... Był to zapewne pomysł Każyńskiego, który uczuł, że Schiller z Weberem mają jakieś powinowactwo, są typami jednéj rodziny, więcéj, rodzonemi braćmi. Dla Goëthego wybrałby był może Meyerbeera.

W lożach cały już piękny świat błyszczał, i blada Adela w gronostajach nigdy ją nieopuszczających, wraz z księciem Janem i matką, zasiadła wprost nad głową Szarskiego, któremu na widok tego skieletu dawnéj miłości serce już nawet nie uderzyło — westchnął tylko jak nad starym grobem porosłym trawą i mchami. Ścisk w teatrze był ogromny, gdyż nigdy u nas krajowi artyści nie zrobią trzeciéj części tego, co lada sztukmejster zagraniczny, a każdy domorosły aktor powinien się modlić do Boga nie tyle o talent, ile o nazwisko włoskie, francuzkie lub niemieckie.

Stanisław miał czas obejrzeć teatr, loże pełne kobiét, parter pełen elegantów, paradys przepełniony Żydami, gdy nareszcie Oberona ostatnia nóta przedźwięczała, kurtyna się podniosła, dramat rozpoczął. Rzeczywiście, trupa złożona była z wybornych aktorów, którzy w swych rolach występowali bez téj przesady i nadętości, bez fałszywego patetyzmu, który tak niemiłe czyni wrażenie, zwłaszcza w piérwszych scenach przedstawień teatralnych. Mniéj też było w ich sposobie odtwarzania poety, konwencyonalnych a nienaturalnych ruchów, mimiki wyuczonéj, postawy przejętéj nie uczutéj, i Stanisław uczuł się porwany podwójnym wdziękiem poezyi wielkiego mistrza i przedstawienia podnoszącego jéj wyraz potęgą żywego słowa.

W trzeciéj czy czwartéj scenie grzmot oklasków zwiastował wystąpienie Smaragdiny... rola jéj była skromnéj a poetycznéj dziewicy... W dali wysunęła się jak cień biały, zbliżyła, i gdy światło padło na twarz jéj cudnéj piękności i wdzięku idealnego, Stanisław, który z innemi machinalnie podniósł był ręce by jéj przyklasnąć, odrętwiał, osłupiał..

Poznał w niéj — Sarę!

Pochwycił za rękę professora, który ruchu tego wytłómaczyć sobie nie umiejąc, przypisał go uniesieniu — potém chciał się rzucić ku scenie. Szczęściem jakiémś opamiętał się w porę, nim na siebie wszystkie zwrócił oczy, i padł na swoje miejsce...

Oczy pięknéj Izraelitki przebiegły teatr, wiedzione przeczuciem czy tęsknotą, padły na Stanisława i z ust jéj nagle krzyk podziwienia dał się słyszeć... ale to trwało tylko chwilę przelotną, aktorka była wnet panią siebie i pochwyciła swą rolę z potęgą zapomnienia o sobie, z zaparciem niepojętém.

Oczyma spragnionemi wiódł za nią Stanisław przejęty, wzruszony, wpół żywy, poznając i poznać jéj nie mogąc. Nowa jakaś metamorfoza przekształciła ją zupełnie, na ideał różny od tego, który dwakroć przedstawił się w życiu Szarskiego; nie była to już ani owa dzieweczka nieśmiała, któréj wejrzenie tylko mówiło o duszy, ani rozmarzona dziewica, co

ukochała Danta i żyła w poezyi; była to istota nowa, może od obu tamtych piękniejsza, ale do żadnéj z nich niepodobna.

Twarz nawet przy tych samych rysach inny miała charakter, spoważniała, podniosła się, znać było, że duch tam panował nad sobą i władał samoistnie... oczy czarne rzucały jeszcze ogniem, ale mierzyły błyski swe i wstrzymać je lub powiększyć mogły; usta śmiały się jeszcze ale na rozkaz tylko; rysy oblał spokój jakiś nadający im linie regularniejsze, czoło podniosło się, kibić zaokrągliła, a ruch uszlachetniał. Taż sama to była Sara, ale w nowéj życia epoce, na wyższym stopniu rozkwitu. Nic nie straciła z wdzięku dziewictwa i młodości, a zyskała na powadze i majestacie. Rola jéj była smutna, łzawa, patetyczna, grała ją mistrzowsko, zwłaszcza w tych ustępach w których Schiller tak umie rzucać się na świat i przeciwko światu, z ironią zbolałéj duszy—gdy przemówiła Sara dzwięcznym językiem poety, Stanisław uczuł takie serca bicie, jakiego nie doznał nigdy jeszcze. A! poezya—poezya w ustach ukochanéj kobiéty, pojęta jéj sercem, uczuta głęboko, wyrażona dzwięcznym głosem drgającym prawdą, to potęga siły niezmiernéj!

Professor Hippolit patrzał na Szarskiego prawie nie wychodząc ze zdumienia, bo nie pojmował co zimnego i obojętnego człowieka tak nagle wprowadzić

mogło w ten stan gorączkowy i rozdrażnienie do szaleństwa prawie posunięte.

Gdy Sara znikła, a kurtyna zapadła, obrócił się do niego z zapytaniem.

—Co ci jest?

—Co mi jest!—zawołał Szarski. To Sara!

—Jak to? gdzie?

—Smaragdina! lecę, idę... muszę ją widzieć.

—Czekaj, wstrzymał go Hippolit, zamięszałbyś reprezentacyą, niech się skończy sztuka... ochłoń sam wprzódy, możesz zrobić głupstwo, jesteś jak opętany! Ale któżby się był spodziewał, że ci takiego niepokoju napędzę... Ktoby się był domyślił!

W ciągu następnych aktów, Smaragdina występowała ciągle, gdyż rola jéj była jedną z najgłówniejszych w sztuce. Stanisław pożerał ją oczyma, drżał, dostawał dreszczu, unosił się, płakał... A ona, ona, przelotnie razy parę spójrzała ku niemu i jakby zajęta cała rolą swoją, zdawała się całkiem wcielona w istotę którą przedstawiała, nie zmięszana żadném osobistém wrażeniem. Tylko coraz goręcéj, coraz ogniściéj w rozwoju dramatu i sytuacyi występowała w swéj poetycznéj roli, któréj w końcu wielka boleść nadaje charakter dziki i srogi.

Zkąd w téj duszy znaleźć się mogły i zabrzmieć nowe struny, na których tak mistrzowsko grała? Zkąd taka znajomość natury ludzkiéj, jéj uczuć i od-

cieni, to wcielenie się i zjednoczenie z utworem poety? Stanisław nie pojmował. Sparty na dłoni patrzał i zazdrościł sercem wszystkiemu temu co ją przez te dwa lata rozwijało, kształciło i wzniosło, myślał wzdychając, że znowu nie tę spotka Sarę, jaka mu porwaną została.

Nie śpieszył już nawet za kulisy, gdy na ostatni akt i krzyk śmiertelnéj rozpaczy, zapadła zasłona wśród szalonych oklasków, tak się obawiał znaleźć w niéj to co spotkał w Adeli. Zmienność, dziwaczność, smutne prawo natury ludzkiéj przychodziło mu na pamięć.

W tém uczuł się za suknią pociągniętym z orkiestry i nieznajoma figurka, widocznie pochodzenia niemieckiego, wyfryzowane, uśmiechnięte stworzenie, poprosiło go skinieniem za kulisy.

Stanisław porzuciwszy Hippolita, pośpieszył z bijącém sercem za przewodnikiem swoim, przez drzwiczki skryte, przejścia ciemne, wschodki i teatralne rusztowania przeciskając się w głąb' świątnicy niedostępnéj dla profanów. W jednéj z tych budek, które po naszych teatrach klecą w śród kulisowych labiryntów dla odetchnienia głównym aktorom, zbudowanéj ze cztérech olbrzymich parawanów, otwarły się drzwiczki płótnem malowaném obciągnięte i poeta stanął przed siedzącą w krześle Sarą.

W białéj sukni swojéj roli, w ubiorze heroiny Schil-

lera, ze spuszczonemi na kolana rękoma, z głową zwieszoną na piersi, czekała na niego zadumana, sama jedna.

Piérwsze spójrzenie którém się spotkali było tak wymówne i potężne, że Stanisławowi łzy potoczyły się z oczów, rzucił się, ukląkł przed nią.

— A! to nareszcie ty jesteś! — zawołał.

— To ja — *son io* — odpowiedziała wstając z ruchem królowéj i podając mu rękę artystka, z uśmiechem w którym więcéj było litości, wspomnienia, rozczulenia przeszłością, niż ognia i namiętności. — To ja! to *tylko* ja!

Stanisław patrzał, klęczał i milczał, słów nie mógł znaleźć na pytanie, tak pytać się lękał.

— To ona! — powtórzył cicho nie puszczając jéj ręki.

Sara schyliła się powoli, westchnęła z cicha i lekki, zimny pocałunek złożyła na jego czole, jakby dotykały umarłego, tak bojaźliwie, przelotnie usta jéj spoczęły na bladéj skroni poety.

— To ja! biedny mój poeto — dodała językiem trochę złamanym niemczyzną, z uśmiechem litości pełnym — a! niespodziewałam się znaleźć cię tu jeszcze.

— Ani ja ciebie zobaczyć!

— O losy, dziwne losy ludzkie, już po niemiecku dodała królowa — chodź! chodź! jedźmy do mnie... przypomnieć przynajmniéj dawne czasy... lepsze czasy!

Stanisław wstał, ale rozbudzony i przybity, po tych kilku słowach, po przyjęciu; widząc że ten skarb, który dotąd chował w duszy, trzeba było na gorszą, smutniejszą rzeczywistość zamienić — w duszy gorzko mu się zrobiło.

— Saro, rzekł — dość mi było ciebie zobaczyć, widzieć żeś swobodną, poklasnąć ci królowéj... nic nie chcę więcéj, ani słowa, ani tłómaczenia, ani litości... wolę pozostać z tém w sercu, co w niém dotąd żyło.

— Zawsze ten sam! zawsze poeta! — rzekła cicho chwytając go za rękę — tyś się nic nieodmienił, a ja! a ja!!

— Nie mów, na Boga, nic mi nie mów Saro! bo nic wiedzieć nie chcę...

— Nawet spowiedzi duszy, która twoją była?

— Była! ty mówisz, była! — łamiąc ręce zawołał Stanisław.

— I nie będzie już niczyją! — odpowiedziała aktorka, bo nic jéj już rozbudzić nie potrafi! Ale i twoją nie będzie, bo tego nie warta... pozostanie smutną kapłanką sztuki i poezyi... Chodź! — rzekła rozkazująco, ja cię nie puszczę, tylem ci winna!

— Nie odbieraj-że mi złudzeń ostatka! miéj litość! — modląc się zawołał Stanisław.

— Złudzeń! ty się jeszcze łudzisz biedny! — westchnęła Sara — a! rzućmy po drodze te dziecinne zabawki, w życiu nic po nich poeto; zamiast nich, łań-

cuch i kulę galernika wziąć potrzeba i wlec za sobą! Chodź, chodź ze mną!

To mówiąc i bojąc się by jéj nie uszedł, rękę jego ścisnęła w zimnéj swéj malutkiéj dłoni, narzuciła na siebie płaszcz, zdjęła z głowy zasłonę i przemieniwszy się w istotę piękną jeszcze, ale codzienną, wyszła z nim razem z teatru. Mnóstwo jeszcze amatorów ciekawych, czekali na ukazanie się pięknéj Smaragdiny, która ledwie rzuciwszy okiem na ten tłum wielbicieli, siadła do powozu wcześnie najętego i wieść się kazała z Szarskim, do zajezdnego domu na oddalonéj ulicy. W drodze milczeli oboje—Sara wzdychała czasem, Stanisław słabł ze wzruszenia, chłód jéj dobijał go do reszty.

Powóz zatrzymał się i Sara wprowadziła go do izdebki małéj, w któréj znużona na sofę upadła. Chwilę tak oczy zamknąwszy leżała nieruchoma jakby myśli zbierając; wstała nareszcie poważna, zimniejsza, śmielsza i usiadłszy naprzeciw dawnego kochanka, zaczęła mówić głosem, w którém przebijały się dźwięki lat ubiegłych.

—Słuchaj... ty nic zapewne nie wiesz dotąd; jak mnie z Wilna pochwycono, jak uwiezioną zostałam. Moja i twoja familia podały sobie ręce do tego, obawiano się żebyś się ze mną nie ożenił, żebym chrześcijańskiéj nie przyjęła wiary. Rodzice moi wynieśli się wcześnie za granicę, unikając odpowiedzial-

ności, ale wciąż niewidzialni czuwali nademną. Środki obmyślane były wcześnie, doktor jakiś dostarczył im usypiającego napoju, w wigilią wieczora w którym się to spełnić miało. Pomimo władzy napoju, za piérwszém dotknięciem, obudziłam się z krzykiem i poczęłam bronić ludziom, którzy unieść mnie usiłowali. Ale mi zawiązano usta, skrępowano ręce słabe, i nim szamocząc się potrafiłam zerwać więzy, rzucono mnie do zamkniętego powozu, czekającego o kilka kroków. Zemdlała wkrótce nie wiém co się daléj działo ze mną, czułam tylko długo szybki ruch powozu... kilka dni lecieli tak ze mną bez spoczynku, bez wytchnienia prawie, póki nareszcie nie ujrzałam ojca i matki. Byłam już w innym kraju, pod ich władzą. Złamana nieszczęściem mojém, chciałam zrazu głodną umorzyć się śmiercią, ale człowiek! biedny człowiek! tak żyć pragnie! łzy matki tak są silne!! przyrzekli mi wolność zupełną, w zamian za zaręczenie, że wiary nie odmienię. Rodzice i ja z niemi, mieszkaliśmy w Królewcu; tu oddałam się znów cała nauce, poezyi i myślałam tylko jakby się jeszcze do ciebie zbliżyć, połączyć z tobą! Serce moje rwało się do Wilna, do naszéj ulicy Niemieckiéj, do twego poddasza akademickiego; ale powoli, przyszła i myśl, żeś ty zapomnieć musiał o mnie... Gwałtowniéj jeszcze rzuciłam się szukając w książkach pociechy... Schiller przypadał do zra-

nionej duszy, rozkochałam się w nim namiętnie... Dawano Rozbojników jego w Królewcu... poszliśmy na teatr... Ten wieczór stanowił o mojém powołaniu... powiedziałam sobie— będę artystką!

—I jesteś nią! zawołał Stanisław z zapałem.

—Tak! spuszczając oczy odpowiedziała Sara— tylko artystką! Ale w tej pogoni za sztuką... wszystko... wszystko pogubiłam po drodze!! Umiem malować uczucie, ale czuć nie umiém jak dawniéj... piérwsze moje wystąpienie w Berlinie, na które zezwolili rodzice licznemi przykładami zniewoleni, zwróciło oczy wszystkich... byłam młoda, smutna, rozkochana, a rozpacz lała się z ust moich potokiem, bo była w sercu, bo dobywała się z niego!! Tęskniłam za tobą! Koło pisarzy, poetów, czcicieli, obstąpiło nową królowę!

Ciebie nie było!.. czekałam, czekałam, wyglądałam łamiąc ręce i rozpacz i jakaś dzika chęć zemsty mnie porwała. Piérwszy uśmiech wymierzony ku mnie przyjęłam uśmiechem i oszalałam szukając coby mi zastąpiło wrażenie nie wynagrodzone piérwszéj młodości, piérwszego ruchu życia.

O! była to droga męczarni, na któréj rozbijałam się o głazy, gorzéj! o mary mojéj wyobraźni. Zamiast ludzi, których widziałam zdaleka, stawały przedemną jakieś postacie chłodne, szyderskie... bez serca... Płakałam, ale cóż łzy pomogą! Skalałam

się dobrowolnie, by szczęścia zapomnieć; nie potrafiłam stracić pamięci i pozostałam po tej próbie zimną, szyderską, zastygłą na wieki, jak mnie widzisz, kapłanką sztuki!.. wierną martwemu wspomnieniu, które króluje snom moim i łzóm niewidzialnym.

Nie szukaj dziś we mnie Sary, która cię kochała... kwiat ten przekwitł już na zawsze, suchy liść chwieje się na łodydze, co go niegdyś wydała... Nic w sercu! nic! cisza! pustka .. dzbanek tam tylko stoi rozbity, zbłocony i próżny!

Mówiąc to, Izraelitka nie miała łzy w oku, tylko twarz jéj płonęła, to bladła, mieniła się jak w uścisku ciężkiéj boleści, oddechu jéj zabrakło, padła zakrywając oczy.

Stanisław siedział nieruchomy i martwy jak przed umarłą, patrzał na nią suchém okiem boleści większéj nad łzy.

— I tyś nieszczęśliwa, rzekł po długiéj chwili milczenia— i jam nieszczęśliwy! Ale Saro! Saro! dodał powoli, tyś winna! brakło ci wiary, jam wierny wspomnieniu twemu pozostał. Bez nadziei święciłem pamiątkę i nie skruszyłem mojego bóstwa domowego do dziś dnia... twoje ręce je rozbiły...

Zwiesił głowę i gorzko zapłakał.

Izraelitka powstała, spójrzała nań długo, litościwie, boleśnie, a wejrzenie to zdawało się mówić:

—Wierz! wierz kłamstwu mojemu! i niech cię fałsz ten ocali!!

Potém dodała:

—Nie mówmy o mnie, mów ty mi o sobie!

—O sobie! uśmiéchnął się Stanisław... dla mnie, we mnie, ze mną nic się nie zmieniło do dziś dnia, do téj aż godziny...

Bądź zdrowa! bądź zdrowa! szepnął cicho, chwiejącym się krokiem wyszedł i nie oglądając się na nią zniknął.

Nie słyszał jak straszny krzyk boleści rozległ się po smutnéj izdebce, jak okropna śmiertelna po nim nastąpiła cisza!

Nazajutrz, niespodzianie poprzylepiane na afiszach ogłoszenia oznajmiły publiczności wileńskiej, że trupa niemiecka pod dyrekcyą pana Gipfel, dla nadzwyczajnych przyczyn więcéj nie mogąc dać przedstawień w Wilnie, odjeżdża w dalszą do stolicy drogę.

Professor Hippolit, który pośpieszył na Zarzecze jakimś instynktem przyjaźni, znalazł Szarskiego od wczorajszéj nocy siedzącego na sofie z okiem wlepioném w ścianę i zupełnie prawie nieprzytomnego. Dostał był biédny jakiegoś rodzaju odrętwiałości, z któréj go aż środkami lekarskiemi bu-

dzić było potrzeba, a choroba, która się zaraz z tego wywiązała, nie łatwo staraniem ojcowskiém doktora Brant mogła być pokonaną.

—To szczęście, mówił doktor zażywając tabakę, że w nim tylko dotąd dusza swywoli i dokazuje, a ciało mocne i nie zużyte, inaczéj jakby się wzięli we dwoje do jegomości, nie dalekoby zajechał... nie miałby siły przenieść połowy tego, co przebolał. Ale młodość poszanowana, lat dwadzieścia kilka, to podobno najskuteczniejsze lekarstwo... będzie zdrów.

Jakoż wyzdrowiał wreszcie Szarski, ale ta ostatnia próba go dobiła, wstawszy z łóżka, podniósł się z niego starcem— na pościeli zostawując ostatnie tchnienie młodości. Swiat wydawał mu się już inaczéj, horyzont chmurny, nigdzie przyszłości podpory, nigdzie na jutro poręki. Potrzeba było żyć, bo życie jest obowiązkiem, ale jak ciężką ofiarę przyjął je uzdrowiony; nie było w niém ponęt dla niego, nic, coby jak wprzódy rozjaśniać mogło przyszłość, żadnych zwodniczych ideałów, szara, mglista, błotna droga codzienna, któréj krańce ginęły na ciemnych jakichś wyżynach. Nade drogą ciężary do dźwigania, kamienie do spoczynku, kości wędrowców bielejące bez pogrzebu i mogiły ludzi, mogiły nadziei, mogiły złudzeń, mogiły wiar i marzeń, grobowiska bez końca. Takiém wydało mu się życie, i długo przekonać się nie mógł, by zno-

wu wziąć się do pracy. Miał-że swe żale i odczarowanie wyśpiewać? dzielić się ogarniającym go chłodem? czy grać komedyą wesołości i jak błazen na zakaz śmiészyć ludzi, za grosz jałmużny? Wszystko co go otaczało, świat ze swemi drobnostkowemi wielkościami, które pożérają uchodzące godziny, ludzie ze swemi kłopotami dniowemi i dziecinną rozpaczą, dzieje ze swym jednostajnym rozwojem jednéj idei znikomości— wydały mu się tak licho, tak poziomo i maluczko obok boleści którą przebył, że ledwie chciał na nie rzucić okiem. Własne i cudze utwory tak znalazł blademi, słowo ludzkie tak czczém, sławę tak dziecinną igraszką, myśl tak niepewnym wyrazem prawdy, poezyą tak słabém echem uczucia— iż wszystko odtrącał od siebie.

Założył ręce i rzekł w duchu:

—Żyjmy by patrzéć i dożyć do końca!

Ale stan ten początkowy nie trwał długo, jedyny przyjaciel professor Hippolit, który siebie wprawdzie z odczarowania wykurować nie mógł, ale doskonałym był gdy o leczenie drugich chodziło, świadek wszystkiego, powiernik Stanisława, postanowił go dźwignąć z upadku, dobrze stan jego pojmując.

Dawszy więc zasklepić się ranom rozpaczy, począł budzić Stanisława z odrętwienia, całą siłą swéj

przyjaźni; wierzył czy nie w słowa swoje, ale je miał na podorędziu.

—Słuchaj, rzekł— dosyć już tego, czas wstać, plunąć i pomyśléć, że życia jedna jakaś tam miłostka pożerać nie powinna. Cóżeś ty myślał? albo ci nie powtarzano od dziecka co to *foemina?* Przecież wiedzieć musiałeś, że na tym fundamencie nic się nie buduje, chyba szałas dla rozrywki, ale nie dom i świątynia. Wstydź się żeby życie struć sobie jedną boleścią, i jaką? po stracie kobiety!

—Mój drogi, odparł Szarski, mów co chcesz, będziesz miał sto razy słusznosć przed rozumem moim, ale sprobuj przekonać serce!

—Serce czas przekona, a tymczasem woli potrzeba do dzieła przyłożyć... Choroba twoja pociągnęła mnie na wydatki, ja mam żonę i dzieci, tyś goły, siadaj i pracuj, żebyś mi się wypłacił, bo długo ci czekać nie mogę... a jak ty mi tak z założonemi rękoma siedzieć będziesz...

Stanisław poznał się na sztuce, uśmiéchnął i ruszył ramionami.

—Sprobuję, rzekł, choć doprawdy, nie wiém na coby się to zdać mogło... resztę mojego życia ciężką podobno będzie pańszczyzną.

—Zachciałeś! Wszak w Boga-Rodzicy, Adam Bożym kmieciem nazwany, wszyscyśmy Boży kmiecie,

pańszczyznę robim Bogu... dalej tedy, bo na tobie zalega!

Stanisław wpół sam przez się, nawpół nakłoniony słowy przyjaciela, usiadł do pracy, ale ostatnię kartę, na której zastanowiło się pióro w dniu poprzedzającym chorobę, od piérwszéj którą teraz poczynał— oddzielał cały świat. Inny to był człowiek kończący z uśmiechem podziwu i nieufności, to co rozpoczął z młodzieńczą otuchą! Rzekłbyś, że kilkanaście lat pożarła tu choroba...

Brant i Hippolit, zachęcając i zmuszając prawie do pracy, postanowili go też w świat wprowadzić koniecznie i póty około niego chodzili, dopóki nareszcie nie wyciągnęli go z jamy. Stanisław był dość pożądanym wszędzie, zapomniano dawnych wstrętów, sława młodą jego skroń opromieniała, otwarły się przed nim drzwi wszystkie.

A im z smutniejszém czołem wchodził gość, tém pożądańszy był może... smutek który się nie uskarża, nie żali, nie płacze, pociąga ku sobie.

Zdziwił się Stanisław znajdując tyle wdzięku w prozie życia, tyle niespodzianych stron dobrych w ludziach najniepozorniejszych...

Męszanina ta złego i dobrego, z której się świat składa, jemu co był przywykł ludzi wyobrażać sobie poetycznie z jednéj bryły— piérwiastki dziwne z jakich się składa rzeczywisty człowiek, czyniące

zeń jedno z najniepojętszych stworzeń— zdumiały go, ale nieco pogodziły z braćmi. Znikł dla niego ideał jakiego szukał na ziemi, pełny, czysty, wielki, ów dyament bez skazy— ale teraz okruchy jego poczynał widzieć wszędzie, i na każdéj skroni, na każdej piersi błyskała mu jakaś gwiazdka maluczka. Zesmutniał dlań świat młodości, ale tu i ówdzie uśmiechała się z niego jeszcze to myśl, to uczucie młodzieńcze, i trzeba się było z usty co je wypowiadały na chwilę pogodzić.

Dojrzewał w ten sposób Stanisław mimowolnie, a praca poczęła się dlań stawać znowu potrzebą i warunkiem żywota; przypominał sobie słowa Goethego, który na zapytanie jakiegoś podróżnego, co znaczy w jego domu kollekcya minerałów, odpowiedział z uśmiechem:— To jest balast mego życia!

I każdy z nas ładuje swój statek opróżniony jakimś balastem tego rodzaju— jakąś pracą, zajęciem, rozrywką, boby pozbawiony nadziei, którą do brzegu przewoziła młodość, zatonął w powrócie.

Jednym z domów do których najczęściéj przychodził Stanisław, był szlachecki ów skromny dom państwa Ciemięgów, gdzie przynajmniéj nie okarmiano go literaturą. Jest może wielu poetów, literatów, uczonych, którzy lubią mówić o swoim przedmiocie, ale ci co go szanują, ze wstrętem słuchają zapytań, rozpraw, badań, wyraźnie na ich

intencyą pokładanych na stół, jak dla innych gości podają się ulubione im piérogi z serem lub naleśniki. Tu bez naciągania mówiono o czém Bóg dał, nie męczono examinami, nie wyciągano na zdania, by je potém powtarzać, nie dopominano się tytułów prac nowych, ani czytania próbek. Sama pani ucięła czasem ogromnego bąka, wszyscy się pośmieli serdecznie i znowu wracano do niewinnych plotek. A wdzięczne panienki, wesołe, szczebiotliwe, łagodne, poczciwy gospodarz zawsze wesół i poważna matka rodziny, stanowili wraz z zięciami świéżo przybyłemi do tego grona, obrazek familijny wcale miły i pełen kolorytu wiejskiego.

Chociaż mieszkali w mieście od lat kilku, czuć było w ich domu, przyjęcie, obejście, coś sielskiego, jakąś otwartość, gościnność, szczérotę, przywiezioną z pod Oszmiany czy Lidy, któréj nie rozszafowali jeszcze w mieście.

Zdziwił się bardzo wieczora jednego Szarski, zastawszy w zwykle dość pustym saloniku państwa Ciemięgów liczne zgromadzenie, mnóstwo kobiét i mężczyzn, z zakroju, mowy, ubioru widocznie świéżo ze wsi przybyłych. Tego najazdu powodem były imieniny saméj pani, na które bliżéj zamieszkała familia i znajomi, zmówiwszy się, zbiegli do Wilna, chcąc tydzień karnawału wesoło przepędzić. Gosposia, gospodarz sam postawiony między drzwia-

mi, a rodzajem bufetu, panny postrojone, wszystko to krzątało się śmiejąc, podskakując, chichocząc, ściskając dawne znajomości, a kółko to całe przedstawiało tak wesołe i związane gronko, że Stanisławowi aż się serce rozradowało na ten widok. Mężczyzni już wedle zwyczaju naszych czasów, po większéj części siedzieli z herbatą i fajkami w średnim pokoju nad preferansem; kobiety zamężne na kanapie, panny kręciły się około fortepianu i herbaty, a kawalerowie których było niewielu, około panien. Poznałeś łatwo po szczérych głośnych śmiechach i ruchu żwawym, że to nie miejskie towarzystwo... coraz to wybuchały słowa, wykrzyki, żarty... aż miło słuchać ich było.

Stanisław postrzegł się w progu, że przyszedł nie w porę i wpadnie między obcych, chciał się więc cofnąć zaraz ode drzwi, ale pan Ciemięga, który go bardzo lubił, schwycił za połę i nie puścił.— Cha! cha! cha! cha! cha! cha! począł krzyczéć... Jejmość! Emilko! Julciu! Karolko! ratujcie, w pomoc! w sukurs! cha! cha! proszę o sukurs!

—Ale ja tu państwu będę zawadą— tak się wesoło bawicie!

—Cha! cha! co za zawada! nie puszczę! I wciąż wołał do swoich:— Kto w Boga wierzy na pomoc. Aż dwie panny nadbiegły.

—O! o! to! to! to! weźcie no tego panicza, za-

wołał gospodarz, pod konwojem dostawcie go do salonu... dezertera! Cha! cha! chciał uciekać zobaczywszy że nas tu tak sporo!

—Co to pan myślał, zaczęła Emilka figlarnie— że nam już do herbaty filiżanek nie stanie? a! to ślicznie!

—Ale państwo macie gości, familiją!

—I właśniebyśmy radzi żebyś pan naszych poczciwych poznał sąsiadów.

—Mamo! zawołała starsza wchodząc ze Stanisławem do salonu, oskarżam formalnie pana Szarskiego... zobaczywszy że nas tu dużo, chciał uciekać.

—O to pięknie! odparła Jejmość grożąc— i poeta i tchórz...

—Widzi pan jak mama pana połajała, otóż masz za swoje, teraz siadaj i graj sobie po cichu w cenzurowanego, bo pewnie tu z nas wzorków nałapiesz, dodała Emilka.

—Pani, przerwał Staś, czy to się tak mówić godzi.

—Godzi się, kochany panie, wy pisarze tacy jesteście, że mimowoli karmicie się ciągle tém co was otacza. Ja to pojmuję jakoś i nie mam wam za złe, ale że nie jeden gniewać się może, choćby nie cały znajdując się w książce... ten za swój nos, ów za ucho, ten za przysłowie, ów za charakter, inny za ruch... to także prawda...

Stanisław podniósł oczy ku gospodyni i po drodze spotkał dwie twarze zwrócone ku sobie... jakoś mu dziwnie, jakby ze snu znajome. Nie mógł w początku przypomnieć sobie gdzie je widział, ale oczy ich wlepione weń były z widoczném zajęciem... Bliżéj niego siedziała staruszka miłych rysów, pogodnego czoła, a przy niéj panienka, blondynka, niebieskooka, łagodnéj i ślicznéj twarzyczki. Nie była to idealna piękność, ale cóś anielsko słodkiego, pociągającego, miluchnego, uśmiéchało się smutnawo w jéj krągluchnéj, lekko zarumienionej twarzyczce. Zdawała się dobrocią samą i przypuścić było trudno, żeby się zagniewać, żeby się zniecierpliwić nawet mogła.

Stanisław dumał i nie mógł sobie przypomnieć gdzie je widział, a był pewien, że spotkał gdzieś w życiu to wejrzenie i te usta... nareszcie po długiéj walce ze wspomnieniami przyszła mu na myśl podróż do Krasnobrodu ostatnia i spotkanie w drodze na noclegu; i wiérsz który dziéwcze czytało, i z matką po nim rozmowa. Błogo mu się zrobiło, że jeszcze raz w życiu spotkał to zjawisko, tę nieznaną istotę, która się za szczérość jego nieznając go, ujęła.

Może właśnie słowa poety, którego wiersze z upodobaniem czytało dziéwcze, oczy jéj niebieskie na niego skierowały, może i matka przypomniała so-

bie tę z córką rozmowę i obie z ciekawością bojaźliwą wpatrywały się w smętne czoło młodego człowieka.

Emilija zaprezentowała go siedzącéj obok matce pani Brzezniakowéj, krewnéj Ciemięgów, a ta, wedle oklepanéj formułki, którą osłodziła uśmiechem poczciwym i szczérym, odezwała się do Stanisława.

— Znamy pana dawno z pism jego... ale ja mam i do bliższéj znajomości prawo, bom w młodości dobrze znała matkę jego, z którą żyłyśmy w przyjaźni.

Stanisław, na wspomnienie Krasnobrodu, matki, któréj tak dawno nie widział, bojąc się zapytań przykrych, zmięszany, skłonił się w milczeniu; towarzystwo szczęściem zmięszało się, połączyło, podzieliło na gronka i ożywiając powoli, pochłonęło przybysza, który prędko stał się niezawadnym, i raz przepłynąwszy stromy brzeg literackiego do rozmowy wstępu, wcielił się w pospolitą gawędkę wesołą i orzeźwiającą.

Los kilka razy zbliżał go i oddalał od pięknéj dziéweczki, aż nareszcie przy herbacie usiedli przy sobie. Marylka, (to było imie blondynki), cała zarumieniona, nic nie mówiła do sąsiada, sąsiad też nie poczynał rozmowy, aż na to milczenie złowrogie, nadbiegła Emilka.

— Widzę, rzekła zwieszając się nad ich krzesłami, że państwo gracie w milczka oboje... Możeście jeszcze nie prezentowani sobie? a właśnie najśliczniej jesteście dobrani, i poetycznej Marylce co tak lubi książki, co tak pożera poetów, dostało się miejsce przy panu Szarskim... I milczy teraz stchórzywszy jak widzę! A fe! poznajcież się państwo z sobą, a ręczę że będziecie kontenci! Marylko budzę cię... w żółtych okładkach... cha! cha! poczęła się śmiać pusta dziewczyna.

Marylka czerwieniła się, śmiała, ale łokciem biedna trącała Emilkę, żeby jéj nie kompromitowała, szepcząc ciągle.

— Zlituj się! cichoż! proszę cię...

Staś odezwał się wreszcie.

— Pani mnie nie widziałaś w życiu — rzekł łagodnie — ale ja znam panią, i jedną z chwil najmilszych, jedno z wrażeń najsłodszych jakie doznałem, winienem pani...

Emilka w ręce klasnęła, a Marylka pobladła ze strachu.

— A! zawołała, cóż to jest? co to być może!..

— Muszę się wytłumaczyć skończył Stanisław... Trochę to już dawno temu, jechałaś pani z matką, niewiém dokąd, gdzieś ku Lidzie, nocowałyście panie w karczemce, i na noclegu... przyszła pani chętka — za którą — o! jak jéj wdzięczen jestem! przeczy-

tać jakąś biedną poezyą... Potém rozmawiałyście panie o niéj z matką, a pani broniłaś poety... a poeta... niegodny! podsłuchał i upił się rozmową!

Marylka o mało nie upuściła z rąk filiżanki, tak się przelękła, tak pokraśniała, słysząc to z ust Stanisława. Emilka śmiała się do rozpuku i podskakiwała z radości, a matka postrzegłszy córkę w kłopocie, przybiegła do niéj z troskliwém zapytaniem, co się stało?

Wytłumaczono jéj to w kilku słowach.

— Byłbym nie podsłuchiwał, gdybym mógł niesłyszeć rzekł zarumieniony Stanisław — ale tak mi było słuchać miło!

— Jednakże to nie dobrze! nie dobrze, żeś nas pan tak szpiegował, uśmiechając się dodała matka.

— Czuję tę winę, odpowiedział poeta, ale któż na mojém miejscu byłby miał odwagę odwrócić się od słowa pociechy!

Marylka jeszcze do siebie przyjść nie mogła, tak ją to wszystko mięszało... wszyscy w salonie rozpowiadając ten wypadek na nią i na Stanisława oczy mieli zwrócone.

Nareszcie odzyskała trochę śmiałości podniosła oczy i odezwała się po cichu.

— A! cóżem ja tam mówiła? przypominam i przypomnieć nie mogę — ale przynajmniéj nic złego?

— Za tych słów kilka całém życiem wdzięczen będę pani, rzekł Szarski kładnąc rękę na sercu— są to może w życiu mojém jedyne dane mi słowa pociechy... Za co tylko mógłbym mieć trochę pretensyi do pani, to że nazajutrz gdyście panie opuszczały karczemkę, nie raczyłaś spójrzeć nawet na pieszego podróżnego, stojącego nad drogą i żegnającego łzą wdzięczności!

Marylka próżno już sobie to spotkanie usiłowała przypomnieć... nie mogła. Poczęli rozmowę z sobą, ale ta się nie wiodła, Staś odszedł nie weselszy od państwa Ciemięgów, ale nieco spokojniejszy.

Po drodze myślał trochę o pięknéj Marylce, ale wspomniawszy na życie swoje, na doznane w niém zawody, na zmienność serca i zmienność człowieka, westchnął tylko i rozwiał mary westchnieniem. Za lat kilka... kilkanaście co się z nią stanie? spytał w duchu; ten ładny różowy aniołeczek, tak dziś świeży sercem i duchem, w co się zmieni i obróci? W kobiétę zalotną czy żonę gderliwą, w skwaśniałą starą pannę, czy w skłopotaną matkę, biegającą za trzodką swych dziatek. Umysł, serce, wszystko ulegnie temu prawu organizacyi, téj nieubłaganéj konieczności zestarzenia się, które na nas wszystkich cięży. Niewiele wyjątków dochowuje świeżość lica i serca do śmierci... ogół więdnieje rychło i przytula się do ziemi. I to zjawisko mego życia które już raz

drugi przesuwa mi się przed oczyma, Bóg jeden wié jaki los czeka! To bojaźliwe dziewcze które drży, płonie, mięsza się i milknie, jaki ma zaród w duszy, jaką przyszłość przed sobą... Kto zgadnie? Może nie jednego kochało już i przekochało, opłakało i zwróciło się ku innemu, a jutro nastąpi trzeci... a po jutrze czwarty, a dalej człowieka zastąpią inni kochankowie, aż do psów i kanarków, bo nic nie uchowa się w sercu długo! Tak uczucia wyrzucają na brzeg rozbite szczątki łodzi którą niosły... przed burzą.

I zachmurzywszy się znowu myślami temi, Szarski powrócił do domu, a piękna Marylka jak cień przesunęła się przed nim i znikła... Nie wzbudziła w jego sercu uczucia, któreby była dawniej wywołała może; przyszła za późno! westchnął, ulitował się, podumał i oderwał od tego świeżosci pełnego zjawiska...

Życie autorskie szło dalej koleją, jaką je charakter pisarza i pierwsze jego kroki powiodły; było ono mięszaniną drobnych pociech, a utrapień wielkich, bo świat mniéj ma czasu na współczucie, a gorąco się zaprząta swym gniewem i niechęcią. Stanisław jako pisarz obrazów z życia towarzyskiego branych, jako przedstawujący nieustannie typy otaczającéj go społeczności, wystawiony był na najdzi-

wniejsze napaści podejrzenia i przyczepki. Nie umiano sobie przedstawić pisarza któryby nie korzystał z typów spotykanych po świecie, nie chciano wierzyć w jego obojętność lub sumienie, szukano w nich koniecznie odtworzenia osobistości znanych, wzorów żywych, to zemsty to niechęci, to zazdrości, to jakiegoś podłego uczucia. Podejrzenia te rodziły sceny najosobliwsze.

Dopominano się u niego o wszystkie wady jakie wytykał ludziom, każda z nich miała adwokata; każdy stan odzywał się za sobą. Ci niepozwalali wspominać nawet duchowieństwa, inni zastawiali się za szlachtę, drudzy gniewali się za panów, innym jeszcze zdawało się że za mało okazywał sympatyi dla klass upośledzonych od losu. W ostatku każdy charakter i typ, nawet powierzchowny opis osób, wywoływał krzyki:— To ja! to mój sąsiad! a to ten! a to drugi!

Trafiało się często że te ubolewania bywały wypadkiem usprawiedliwiane, że naprzykład wystawiony był jakiś jegomość mający na nosie brodawkę, żeniący się z jejmością która kulała na prawą nogę i słowo w słowo znalazł się o sto mil jegomość pewien z brodawką mający żonę kulawą... wnet tedy dopominano się, reklamowano, wołano, hałasowano na autora... Było dosyć takich wypadków.

Postacie obrazów, powieści, musiały mieć nazwi-

ska, nowy kłopot z niemi! niepodobna wszystkich bohatérów po staremu mianować Staruszkiewiczami, Załocińskiemi, Fircykiewiczami i t. p. trzeba żeby i nazwisko nosiło cechę prawdy miejscowéj, a nuż się trafi w herbarzu Niesieckiego drugie takie, cała rodzina w krzyk, lament, lecą listy po listach, anonymi ślą mu groźby, zjawiają się postacie rozpłomienione gniewem... niewiedzieć co począć z niemi. Bij się w piersi, i przepraszaj.

Jeden z takich wypadków, niezmiernie był przykry Szarskiemu. W ostatniém z pism swoich odmalował on dom, który niewiem komu podejrzliwemu podobało się uznać odbiciem familii Ciemięgów. Że Szarski nie myślał o tém to pewna, ale dość rzucić na wiatr tego rodzaju podejrzenie, żeby obudzić posądzenia i gniewy. Szepnął usłużny przyjaciel jakiś saméj pani o tém, posłano żywo po książkę, poczęto ją czytać... sam pan protestował, Emilija serdecznie się śmiała, ale mama wzięła to do serca, druga siostra uwierzyła także i jak zaczęli każde słowo roztłumaczać, przekonali się, iż w istocie zostali *ad vivum* odmalowani. Nie było najmniejszego podobieństwa między rodziną w obrazie, a rodziną zacną choć śmieszną państwa Ciemięgów, ale ilość córek była równa, a na nieszczęście znalazły się w opisie i na stoliku filiżanki niebieskie... więcéj nie było potrzeba! Matka zaklęła się że za piérw-

szą bytnością Szarskiego srodze mu da uczuć swą krzywdę.

Nic o tem niewiedziała niewinna ofiara, i po kilku tygodniach wedle zwyczaju wszedł Stanisław do domu państwa Ciemięgów z czystém i spokojném sumieniem; zdziwił się postrzegając po twarzach czerwonych, po minie gospodarza, po zafrasowaniu Emilii, że trafił jakoś nie pod humor. Matka żywo nadeszła, a że się z niczém taić nie umiała, od razu nań wpadła.

— Już niewiém, zawołała prosto z mosta — jakiém pan czołem tu przychodzisz. — Tak! tak! strój pan minę świętoszka! ślicznie to w uczciwy dom wszedłszy, będąc przyjmowanym od serca, uczynić go pośmiewiskiem!! I masz pan czoło jeszcze potém do nas przychodzić!

Szarski zerwał się jak oparzony.

— Cóżem ja winien! na Boga! co to jest! ja nic nierozumiem...

— A tak! udaje że nic nie wie, a w *Ciapugrochu* (był to nieszczęsny tytuł ostatniej książczyny) to nie my figurujemy? nie my? A! córki? a niebieskie filiżanki? a okrągły stolik? Wszyscy poznali! nie myśl pan żeby nas oszukać można!... Kwita z przyjaźni!

Szarski niechciał i nie mógł się tłumaczyć, wyszedł ruszając ramionami, oburzony i smutny.

W ulicy spotkał go professor Hippolit i przywitał bardzo zimno.

— A! jak się masz obrazotwórco? rzekł jakoś szydersko.

— Zkąd idziesz?

— Tak ... bez celu ... Ale powiedz no mi, dodał obracając się nagle, kogo to chciałeś wystawić w tym literacie, który tak jest, jak ludzie mówią do mnie podobny, wiesz w *Arwedzie*?

— A! *Et tu Brute!* odskakując i załamując ręce zawołał Szarski ... i ty! i ty Hippolicie!

Professor zmięszał się trochę

— A! to mnie boli, okrutnie boli, z wyrazem głębokiego żalu i wymówki rzekł poeta, jak to? ty, ty dałbyś sobie wmówić przez głupców, że ja com ci tyle winien, co cię tak szczerze szacuję i kocham, byłbym w stanie brać cię za jakiś prototyp i wzór do postaci w powieści? Jest to cóś jakby anatomista krajał dla studiów trupa najlepszego przyjaciela! powiedz mi czy sądzisz że jabym to był w stanie uczynić?

— Ja tego nie mówię, tłumacząc się rzekł Hippolit zmięszany... ale prawdziwie... ludzie... moja żona... wszyscy...

Szarski ruszył ramionami z pogardą.

— Śmiej-że się z ludzi i z tych co ci to wmawiają, a którzyby mnie dla swojéj pociechy z całym

światem chcieli poróżnić. Sam weź, czytaj, sądź, jestli co jednakiego w tych dwóch, imaginacyjnéj i twojéj poczciwéj a świętéj dla mnie postaci. Wiesz żeś mi zadał cios śmiertelny...

Hippolit chwycił odchodzącego za rękę.

— Ha! posłuchaj, nie gniewaj-że się cóżem winien, żem ci to szczerze wyspowiadał?

— Tylko co i za Ciemięgów spotkała mnie scena podobna, dodał Szarski, równie śmieszna, ale ich głupstwem prędzéj dająca się usprawiedliwić.

I począł mu opisywać swoje u nich przyjęcie.

— Daléj, rzekł, nigdzie już niepodobna mi będzie pójść krokiem... wszystko zatruje to nieszczęsne powołanie. Niechże obcy — niechże tłum, ale ty! ty na którego liczyłem jak na wybranego, i ty uległeś słabości widzenia siebie wszędzie, Hippolicie!

Jakkolwiek gorąco tłumaczył się professor, znać było że na dnie jego serca, osiadła już niechęć którą zarówno posądzenie jak ostatnie Szarskiego wyrazy wzbudziły — rozstali się na pozór przyjaźnie, ale chłodno już i na wieki rozbratani może!

Stanisław cały się odtąd zamknął w sobie, wyrzekając ludzi i dozwolił posądzać się, łajać, mówić co się komu podobało, nie probując nawet bronić.

Im bardziéj biedna jego sława rozszerzała się po światku, tém oczy wszystkich skwapliwiéj zwracały się na niego, a niemogąc przebić ścian wśród któ-

rych się zamykał... poczęto domyślać się i zgadywać na jego rachunek co się komu podobało. Nie kosztowały tu najdziksze przypuszczenia. Jedni mówili że się napijał, inni że wiódł życie zamknięte aby pokryć jego szkarady, przypisywano mu najosobliwsze romanse, najdziwniejsze gusta i charakter całkiem ekscentryczny; komponowano anegdoty z niczego, bawiono się kosztem nieszczęśliwego z obojętnością z jaką dzieci złapawszy czasem chrząszcza, na szpilce go obracają dla rozrywki. Liczba znaczna pism które wydawał, dozwalała jednym przypuszczać że kogoś okradał, drugim że czasami trzy na raz rzeczy dyktował, lub niepoprawny i ledwie na papier rzucony rękopism, bez zastanowienia do druku posyłał. Niewiedziano ile ta pozorna łatwość kosztowała pracy, namysłów, ile nocy bezsennych, ile wycieńczenia i potu... ile życia święciło się na martwy ów papier, do zimnych ludzi mający mówić o życiu; niewiedziano że każda z tych książek zabierała z myślą część duszy, część siły, część istoty saméj człowieka nieodzyskaną nigdy, że pisarz krajał się po kawałku karmiąc sobą...

Jeden Bóg, mógł stwarzając światy tchnąć w nie ducha i z niczego wywołać je do bytu; to co się zowie tworzeniem w człowieku jest oddaniem najlepszéj jego części, jest wylewaniem się na zewnątrz, jest uszczerbkiem i ofiarą nieopłaconą. Płyną myśli,

uczucia, obrazy, całe światki drobne, ale wypróżnia się dusza, ale w niéj potém pustki i ściernie. Nieraz tak u końca zawodu, z człowieka pozostanie próżny dzban tylko wysączony do kropelki.

I czémże ten pisarz co z siebie, spokoju i życia robi ofiarę, w społeczeństwie naszém? stanowisko jego dwuznaczne, podrzędne, podejrzane, fałszywe, zawsze i wszędzie idą przed nim wszyscy, nawet zagraniczne histriony, lada rzępiciel co sztuczki pokazuje na strunie, lada virtuoz z obfitą grzywą i zarozumiałością. W oczach jednych jest także jakimś sztuczko-twórcą, wynalazcą zabawek, ciekawostką, wreszcie na ostatnim szczeblu wszelkiéj hierarchii ilotą, około którego ze strachem rozstępują się tłumy aby go niedotknąć, aby się oń nie otrzeć i spotkaniem nie pokalać!

Wszystko to tak było, jest i będzie, bo nie może być inaczéj, a tymczasem wytrwali posłannicy pójdą swą drogą na pogardę, na porównanie z sztukmistrzami i akrobatami, bo ich żaden interes świata, żadna inna nie może konieczność odstręczyć od musu ich powołania, bo ten los jest potrzebą ich ducha. Zapoznani ugną głowę, oplwani i ukamienowani upadną, niezrozumiani zamilkną, a gdy z tego społeczeństwa co się tak z niemi obeszło, nie pozostanie jeden żywy, gdy wszystko dzisiejsze się zapomni i zatrze, w ich pracy żyć będzie wiek, oni zostaną

jego przedstawicielami, w nich przetrwa myśl epoki i lepsza część lat w których przyszli by o nich dali świadectwo.

Szarski był właśnie jednym z tych ludzi z żelazną wolą i niezrażonym umysłem, co mogąc lepszy los kupić spoczynkiem gnuśnym, krzątają się około dzieła za które ich tylko policzkują.

Jeden po drugim odstępowali go przyjaciele, znajomi, znowu zamykały mu się domy, podejrzliwie spoglądano nań gdy wchodził, mówiono przy nim ostróżnie, słowem obchodzono się z nim jak ze szpiegiem. . .

Nawet poczciwy doktor Brant wkrótce ostygł dla niego widocznie, znajdując także, że jakiś tam doktor odwzorowany gdzieś przez niego, był mu podobny zażywaniem tabaki. Oburzał się na to jako na niewdzięczność— Stanisław już się i gniewać nie mógł, wszystko to zbyt było poziome i głupie żeby go miało obchodzić, ruszał ramionami i milczał.

Jednego dnia, zapukano gwałtownie do drzwi jego pokoiku i gdy je otworzył, ujrzał niespodzianie twarz Księcia Jana, który stał w progu z miną surową, w towarzystwie drugiego jakiegoś jegomości.

— Mościpanie, rzekł wchodząc, wiesz zapewne co nas tu sprowadza, mamy z sobą rachunek do załatwienia.

— Raczysz mi W. Ks. Mość wytłumaczyć jaki,

bo się go nie domyślam, zdaje mi się żeśmy nigdy żadnego z sobą ani stosunku ani rachunku nie mieli.

— A ten Książe w ostatniéj pańskiéj powieści, ożeniony z szlachcianką dla pieniędzy?

— To co? zapytał Stanisław.

— To ja! zawołał Książe trzęsąc się z gniewu, który tamowało tylko przywyknienie do trzymania się na wodzy.

— Albożeś W. Ks. Mość nie ożenił się z przywiązania?

— Ale wszyscy palcem mnie wytykają mówiąc że to ja.

— Mogę W. Ks. Mości dać słowo honoru uczciwego człowieka żem wcale o nim nie myślał... Cóżem winien, że ludzie szukają wszędzie znajomych sobie twarzy?

— Ale to nie dość takiego tłumaczenia, odparł Książe ja tego tak przepuścić nie mogę.

— Wskaż-że mi W. Ks. Mość czego po mnie żądasz?

— Chcę odwołania, chcę oczyszczenia— chcę...

— Chyba mi W. Ks. Mość sam to odwołanie podyktujesz, bo ono mu podobno gorzéj usłuży niż głupie domysły próżniaków...

Książe Jan zastanowił się chwilę.

— Pomimo to sto razy odwołać jestem gotów, rzekł Stanisław.

— To nie dosyć, rzekł Książe.

— Czegoż W. Ks. Mość żądać możesz więcéj? co do mnie ofiaruję czego zapragniesz, nie odmawiam niczego.

— Ja chcę zniszczyć tę książkę.

— To nie jest w mojéj mocy, gdybym chciał ją wykupić, nie byłbym w stanie...

— A więc odwołać!

— Odwołamy!

— Potrzebowałbym satysfakcyi, dorzucił Książe dumnie— gdybyśmy byli sobie równi, ale bić się z lada gryzmołą.

— M. Książe, jesteśmy u mnie... na obelgi, jakkolwiek tylko szlachcic jestem i prosty pisarek odpowiadać nie umiem w moim domu... gdzieindziéjbym potrafił. Zrobię tylko uwagę że u nas dawniéj wedle tradycyi księztwo i szlachectwo stały na jednéj linii... moglibyśmy więc.... Książe ruszył ramionami.

— Dość mi odwołania, zawołał, a nie to kije dać każę!!

— Mości Książe, krzyknął Szarski wskazując drzwi, nie odwołam nic, i proszę się wynosić, dopóki mi zostaje trochę cierpliwości. Kije są dla wszystkich a ten najprędzéj się na nie narazi, kto niemi szafuje. Oto właśnie stoi w kącie trzcina, nie życzę czekać aż ją wezmę do ręki.

To mówiąc zrobił krok śmiały, a J. Ks. Mość wołając do towarzysza za próg uskoczył. Na tém skończyła się ta przykra scena, ale nazajutrz przyjechał pan Adam Szarski, z narzekaniami, wymówkami, naleganiem, przeproszeniem, wymagając koniecznie jakiegoś odwołania. Szarski napisał je z uśmiechem i posłał.

Niestety! jakkolwiek było nie wyraźne, padł pod niém Książe Jan zabity śmiesznością, tak że trzeciego dnia po ukazaniu się jego w Gazecie, musiał wyjechać za granicę, aby to sobie pod niebytność jego zastygło.

W drzwiczki tego domku na Zarzeczu, pukały tak często duma obrażona, świerzbiące nałogi, rozraniona miłość własna i gniew bezsilny, a z niémi razem nie jedna myśl zemsty, nie jedna ręka która pisarza użyć chciała za zbira. Listy bezimienne pełne obelg lub dziwnych jakichś objawień, które niby za materyał do obrazów a raczéj paskwilów służyć miały, płynęły co poczta; a z niemi razem nadchodziły rozprawy i wiersze, urywki któremi kazano się opiekować w imie dobra pospolitego, choć w nich nie było ani kropli sensu, ani za grosz talentu...

Tém jednak życiem żyć było potrzeba, a w kole znajomości dalekich zawiązanych listami, z temi których Stanisław zaszczycał się nareszcie kolleżeństwem; — w ludziach już sławnych i imie mających

w literaturze—ileż co krok spotykał próżności, dumy, drażliwości, ile ran ropiejących pod szatami ze złotogłowu i wieńcami laurowemi!

Ciężkie to były do rozwiązania zagadki! Trudne do pojęcia indywidualności, z jednéj strony jasne i wspaniałe, z drugiéj czarne i brudne!! Jeden chwalił bo chciał być chwalonym koniecznie, na myśl przywodząc stare *asinus asinum fricat*, dosyć ostrą niby pisząc prawdę zawijał ją w smaczne papierki, iżby przybrawszy pozor bezstronnego sędziego, większą sobie zjednał wiarę... Ten chciał artykułu, ów rozbioru, a nie jeden rozdania biletów lub rozsadzenia egzemplarzy. Każdy niemal z tych ludzi w stosunkach powszednich niższym był od tego, jakim się okazywał w życiu pisarskiém... Wszędzie widać było starego Adama święcącego gołemi bokami ułomności ludzkiéj.

Jeżeli powołany do sądzenia Stanisław powiedział co myślał, bo nie mógł inaczéj, albo zamilkł tylko nie chcąc się narazić... już był pewien gniewu i zemsty. Nie trafiło mu się spotkać ani jednego sumiennego człowieka, któryby prywatę oddzielił od sprawy powszechnéj i urażony, mimo urazy oddał sprawiedliwość pisarzowi... mając ząb do człowieka. Prawda wypowiedziana najłagodniéj, robiła zawsze ten skutek co w Gil-Blasie zdanie o kazaniach ks. arcy-biskupa... Naprożno obok niéj stały pochwa-

ły, uznanie zasługi, ocenienie talentu.. nie darowano jéj nigdy...

I tu więc człowiek co się szanował nie mógł mieć przyjaciół, nie mógł pozyskać nikogo, bo nie chciał należeć do żadnego stronnictwa, nie wpisał się w żaden cech, któregoby błędy i omyłki solidarnie przyjmując na barki swoje, obowiązywał się ich bronić. Ten i ów występował przeciwko niemu, wiedząc, że nie ma ktoby go bronił, a że Stanisław rozmaitością pracy wadził wielu, wielu też w różny sposób odzywali się przeciwko niemu. Nawet tam gdzie krok piérwszy postawił, gdzie był na czele i otworzył wrota usiłowaniom naśladowców, starano się o nim zapomnieć, wiedząc że się o swe prawa dopominać nie będzie.

Strona materyalna tego życia złożonego z drobniutkich a ciągłych męczarni i nieustającéj pracy — nie była także godną zazdrości; stykało się ono nieraz z nędzą i w izdebce pracownika czasem brakło grosza na chleb powszedni. Ale on znosił to lekko i z uśmiechem, oddając z dwojga sukni mniéj potrzebną z rezygnacyą Dyogenesa odrzucającego czarkę w przekonaniu, że dłoń ją zastąpi. Księgarze robili powoli grosz spekulując na pismach jego, ale gdy mu się zdarzyło, wyższéj nieco zażądać ceny, którąby gdzieindziéj mało co przeszła zapłatę kopiisty, oburzali się, krzyczeli, wołali na chciwość!

— Jak można wymagać za to pieniędzy! — odzywali się z zapałem... takich ogromnych pieniędzy! po kilkaset złotych, po tysiącu za tom, naprzykład! To okropne! to zgroza! to zdzierstwo!

I zaczynali dowodzić, że tracą, że ogromnie tracą, że się poświęcają, a tracąc tak powoli robili fortunki, składali pieniądze w bankach, gdy ci którym szczodrze płacili to bibułą, to ich własnemi dziełami, wystawionemi w rachunkach po księgarskiéj cenie, często byli bez bótów jeśli bót z zapracowanego grosza kupić było trzeba.

Jednemu tylko Bazylewiczowi szło dobrze, bo człowiek też ten stworzony był nie na posłannika myśli, ale na handlarza. Ciągle wydawał cóś z pomocą prenumeraty, rozdawał bilety, podejmował się druków pism cudzych i nareszcie począł bez żartu o założeniu handlu przemyślać, gdy mu wdówka i jéj posag uśmiechnęły się w samą porę. A że jego spekulacye trąciły sklepem i żydkiem, porzucił je dla umizgów. Baron Hollar został wreszcie odprawiony chłodem, a Bazylewicz formalnie przyjęty; naznaczono nawet dzień ślubowin.

W wigilią dopiéro dnia tego uroczystego, uszczęśliwiony literat, przypomniał sobie dawnego kolegę Szarskiego, i postanowił prosić go na drużbę. Zapomniane zostały wszystkie dawne urazy i Bazylewicz byłby go na wielkie nalegania ciekawéj wdo-

wy wprowadził wcześniéj do jéj domu, gdyby się był w nim nieobawiał współzawodnika. Pani Lidzka ciągle tego się natarczywie dopraszała, ale Bazylewicz wymawiał się to niebytnością, to dziwactwem i dzikością poety.

Wieczorem w przeddzień ślubu, wszedł na Zarzecze do cichego domku Stanisława z tą swoją zwykłą miną szumną i wprost wyciągnął rękę do Szarskiego.

—No, rzekł, dawny kolego—czas się nam znowu zbliżyć do siebie, ja się jutro żenię, chcę byś był mojego szczęścia świadkiem.

—Ja?

—Tak, proszę cię za drużbę, tego mi odmówić nie możesz.

Stanisław zmieszał się trochę.

—A!—rzekł naiwnie—wszak tu będzie potrzeba fraka... a ja...

—Jak to? ty fraka nie masz?

—Frak pojechał do żyda... reszta ubrania ledwie bardzo powszednia.

—O! ci księgarze!—deklamując zakrzyknął Bazylewicz—jak to być może żebyś ty był w takiéj potrzebie! oni cię oszukiwać muszą, lub tracisz jakimś potajemnym sposobem.

—Ani jedno, ani drugie—odparł Szarski spokojnie—płacą mi jakkolwiek, ale czémże jest żmudnie

zapracowane parę tysięcy, trzy tysiące złotych... ledwie na życie wystarczy! a książki, a dzienniki, a potrzeby ducha konieczniejsze stokroć od potrzeb ciała!

— A! ty widzę masz passyą książek, to rujnuje! Ale poczekaj-no, niech się ja ożenię, z kapitałem mojéj żony rozpocznę handel księgarski, i nie pozwolę żebyś co gdzieindziéj jak u mnie wydawał. Zysk pójdzie po połowie na nas obu.. No, ale tymczasem co zrobisz z frakiem?

— Dostanę go gdzieś na świecie, rzekł Stanisław— żydzi są tak usłużni! Ale ba! wszak to i kapelusza będzie trzeba?

— A! a! i białych rękawiczek.

— I płaszcza!

Szarski zwiesił głowę.

— Pożyczyłbym ci chętnie, ale mnie to wesele tak wyssało.

— Dziękuję ci, znajdę ja sobie co potrzeba.

Bazylewicz, jakby nigdy nie rozstali się z żalem do siebie, naprawiwszy o swéj miłości, szczęściu, o geniuszu téj kobiety, o jéj kapitałach w końcu, wyszedł trzaskając drzwiami. Szarski mu wszystko darował za ten dowod pamięci i przyjaźni i zajął się wyekwipowaniem. Nazajutrz frak i co potrzebném było do fraka, znalazło się z pomocą żyda, który pozostałe egzemplarze jakiegoś dziełka pobrał z u-

stępstwem ośmdziesięciu procentów, dając dwadzieścia za sto kulfonami i wytartą monetą.

Wieczorem Stanisław jechał za parą młodą, nie poznawszy jeszcze narzeczonéj, na Antokol, bo ślub odbyć się miał u Ś. Piotra. Dopiéro przy wysiadaniu spójrzał na wyświéżoną wdowę, która w białéj sukni jeszcze się żółciejszą i czarniejszą wydawała, niż w codziennym czarnym szlafroczku.

— A! żebyś ty znał jéj duszę! — szepnął mu pan młody, widząc po twarzy poety zdumionéj, jakie wrażenie na nim robiła jego ukochana.

Po ślubie, razem z nową parą zajechali do oświeconego domu, w którym zebrała się cała literatura, obchodząc gody tak dla niéj płodnemi być obiecujące. Pani Bazylewiczowa spójrzała ciekawie na Szarskiego i oględnąwszy go bacznie, westchnęła jakoś dziwnie, znać inaczéj go jéj opisywano. Reszta gości z podziwieniem jakiémś i wstrętem oglądała tego intrusa, którego zawsze miała za dziwadło, a znalazła bardzo pospolitym człowiekiem nie objawiającym żadnéj pretensyi, nie nadstawiającym się żadném dziwactwem i przybraną ekscentrycznością.

Bazylewicz uszczęśliwiony udawał tak rozkochanego, że patrząc na komedyą odegrywaną przez niego, bo szczérości tych uczuć niepodobna było dać wiary, widze nie mogli się wstrzymać od pokątnych śmiechów. Wdowa wybornie także udawała niewi-

niątko zapłonione, choć córka jéj słuszna już panna, była najlepszym dowodem jak dawno z roli téj wyjść była powinna.

Nie obeszło się bez epitalamu, a Iglicki choć drwił po kątach z nowożeńców pary, przeczytał im swojéj fabryki odę pełną wesołości, dowcipu, ucinków, w któréj ustępach wolniejszych wdowa kaszlać i chustką się aż zasłaniać musiała.

— Czemużeś pan dotąd nie był łaskaw nigdy mnie odwiedzić? — odezwała się wśród wieczora do Stanisława — pan wié jak ja lubię literaturę, mój mąż tyle razy o to go prosił!

— Aleśmy my się z nim od lat kilku nie widzieli! — pośpiesznie i nieuważnie rzekł Szarski.

Jejmość spójrzała mu w oczy i zamilkła. Kto wié, czy za to kłamstwo przyszły małżonek nie dostał piérwszéj złéj noty; bo pani w dość kwaśnym humorze, była przez resztę wieczora, składając go na ból głowy.

Szarski, w kilka dni potém otwierając oczy po śnie poobiednim, który go był zmorzył w krześle nad robotą, po nocy strawionéj bezsennie, ujrzał przed sobą już niemal zapomnianą postać Falszewicza, czerwonego, pijanego i z otwartemi usty zwieszonego nad nim, targającego za rękaw z pośpiechem, aby co prędzéj sen przerwać.

— A! to pan? zkądże się tu wziąłeś? co tu robisz?

— Cóż? a cóż ma być (głos przerywała czkawka ustawiczna) umyślnie... boki obiłem tłukąc się pocztą po pana...

— Po mnie?

— A jużciż, kiedy pan sędzia... umarł!

Stanisław z krzykiem zerwał się z miejsca.

— Co ty mówisz! to być nie może! mój ojciec!

— Ale ba! z pogrzebem czekają... przysłała mnie pani sędzina, czuj duch, żebyś pan zaraz przyjeżdżał.. Sędzia się jakoś bardzo pogniewał na Mateusza furmana, do piersi mu to poszło, położył się z gorączką i tyle my go widzieli; w nocy skończył.

— Daj mi klęknąć! pomodlić się! popłakać! — zawołał Szarski rzucając się na kolana i zasłaniając sobie oczy.

Falszewicz upadł na sofę.

— No! no! mruknął — ktoby pomyślał, że się kochali jak para gołębi... aż płacze!

Po chwili pedagog zaczął się przechadzać, szukając jadła i napoju w izdebce, ale tu śladu ich nie było...

— Osobliwszy człowiek! — mówił w duchu — co tu książek i szpargałów, ażeby się kto chciał posilić... ani kropelki... ani pruszyny...

Nie rychło oprzytomniawszy jakoś, wstał Stanisław i chwili nie tracąc, jął się przygotowań do wyjazdu... z tysiącem walcząc trudności i zawad. Tyle

miał długów, tylu wierzycieli, których jakkolwiek zaspokoić było potrzeba... że ostatni rękopism poszedł za lichy grosz do księgarza. Księgarz nie miał pieniędzy, dał weksel, a drugi go wypłacając, jeszcze sobie sowite potrącił procenta.

Nad wieczor następującego dnia, już byli oba na pocztowéj bryczynce i lecieli ku Krasnobrodowi, gdzie Stanisława czekała żałoba, łzy matki, rodzina nowa, którą Bóg pod jego słabą oddawał opiekę.

Z daleka, z daleka zaświecił im wśród nocy czarny dwór Krasnobrodzki, ale nie jasnością wesela... blaskiem świéc pogrzebowych tlejących w salce na dole, do koła trumny nieboszczyka.

Dźwięk pocztowego dzwonka rozległ się na pustym dziedzińcu mieszając z pieśnią żałoby; wybiegły siostry, matka i bracia i uścisnęli się wszyscy w płaczu i milczeniu.

Stanisław poszedł do zimnych nóg starca, poklęknąć i uścisnąć je raz ostatni prosząc o przebaczenie.

Na katafalku jeszcze twarz sędziego wydała mu się jak była za życia... surową i nieubłaganą; ręka śmierci nie zdjęła z niéj tego wyrazu niezłomnéj woli, z którym przeszedł życie całe. Leżał nic niezmieniony, martwy, podobien do siebie, jak gdyby miał wstać jeszcze z rozkazem i groźbą na ustach.

Dziwny był widok tego domu, któremu potężnéj zabrakło głowy, w którym nikt nie wiedział jak sobie dać rady, co począć, bo ten jeden co wszystkiemi kierował zamilkł na wieki. Matka płakała łamiąc ręce, chodzili słudzy samopas, i pogrzebem nawet nikt zarządzić nie umiał. Stanisław przybył w samą chwilę exportacyi i złamany drogą, poszedł za trumną ojcowską do miasteczka, zostawując matkę na opiece sąsiadek. On... wszystkie dzieci szli za karawanem ojca

Nazajutrz, gdy w pustym dworze zebrali się znowu ściśniętem gronem, przytuleni do siebie, uczuli jak im brakło tego, który nieraz za życia ciężkich chwil dla nich był sprawcą. Czuć było jeszcze wszędzie jego rękę zastygłą i kierunek pod który poddał rodzinę swoją. Nikt ruszyć się nie śmiał, nikt nic pomyśleć sam przez się, a gdy ostatnią zmarłego dyspozycyą przeczytano, którą Stanisława od spadku usuwał, polecając mu wszakże młodszych braci, siostry i matkę, i wkładając nań jako expiacyę błędu, obowiązek czuwania nad niemi—nikt woli téj ani się myślał sprzeciwić.

Stanisław przyjął ją, jako karę zasłużoną, do któréj był przygotowany zawczasu. Majętność sędziego okazała się znacznie większą niż sądzono, a choć wieś tylko była jedna, kapitały za to pewne i znaczne bardzo, dwa razy jéj wartość przechodziły.

Opiekunem wyznaczony był także pan Adam Szarski, i to go do rodziny zbliżyło na chwilę. Odmówić nie mógł pośmiertnéj prośbie, zjechał więc na rodzaj rady familijnéj, choć wiedział, że na niej nie miłego sobie zastanie Stanisława, którego z powodu dawnych zajść znieść już nie mógł. Przyjął go też twarzą posępną i surową, a wiedząc już o rozporządzeniu nieboszczyka, unikał widocznie wszelkiego wcielania go w interesa familii, umyślnie oddzielając, nie zwracając się do niego w niczém, jak gdyby go tam nie było. Postrzegł to i uczuł Stanisław, ale ścierpiał w milczeniu; nareszcie gdy wszystko ułożono, rzekł powoli i łagodnie:

— Pomoc moją, opiekę i pracę, wedle woli ojca przynoszę rodzeństwu i matce, nie mając najmniejszéj pretensyi do udziału w majątku... Ojciec powierzył mi zarząd czynny i tém zajmę się najgorliwiéj...

— Zdaje mi się, nie patrząc na niego, rzekł pan Adam... iż wolą ś. p. sędziego było zupełne wyłączenie najstarszego z synów.

— A! na rany Chrystusowe! — przerwała matka, za cóż pamięć tego nieszczęśliwego nieporozumienia ma aż za grób sięgać! Sama wola nieboszczyka zdaje się wzywać Stanisława do połączenia z rodziną, któżby go mógł i chciał wyłączać?

— Ja tego nie mówię, poprawił się kuzynek, ale co do majątku.

— Co się tycze majątku, do tego wszelkich się już praw zrzekłem, dorzucił Stanisław — chodzi mi o to, żeby nikt nie uprzedził mnie w pomocy matce i rodzeństwu, i tę pomoc jakkolwiek mało znaczącą im ofiaruję.

Pan Adam odwrócił się jakby nie słyszał, a że kapitały niektóre pozostawały do rozporządzenia, wziąwszy na stronę panię sędzinę, zaproponował umieszczenie ich u księcia Jana lub u siebie. — Byłaby to może zrobiła matka przywykła do ulegania, ale się pomiarkowała, że musi zasięgnąć rady syna, i wręcz odpowiedziała w ten sposób panu Adamowi.

— Bez Stanisława rady, ja tego nie zrobię.

— A! jeśli tak! to dziękuję! nie chcę! myślałem uczynić dla niéj tę dogodność... ale jak skoro tu rady i namysłu potrzeba, nie mam ochoty zależeć od dobrego lub złego usposobienia pana Stanisława.

Sędzina poprawując to, co sobie wyrzucała jak niezgrabstwo, zaraz zwróciła się z głośnem pytaniem do syna, a ten równie głośno jéj odpowiedział.

— Co się tycze umieszczenia kapitałów, te naprzód u żadnego z opiekunów jako opiekuna lokowane być nie mogą... prawo nawet wzbrania tego... powtóre, książe Jan jeśli zechce je mieć, stosowną, czystą i prawną okaże ewikcyę, a naówczas najchętniej mu je powierzym.

Pan Adam nadąsał się, odwrócił i zmilczał. No-

wy to był powód do nieukontentowania; jakoż wyjechawszy z Krasnobrodu, nazajutrz kuzynek przed sądem zrzekł się wszelkiéj opieki.

Stanisław sam z matką pozostał na czele interessów i gospodarstwa, biorąc się do nich czynnie, z serca, gorąco. Ale mógłże im podołać nie zwykły do życia praktycznego, obcy wszelkim przebiegłościom,, brzydząc się kłamstwem i podstępem, na którym często, niestety, najuczciwszy interess stać musi. Idąc drogą prawą, niechcąc zrozumieć zepsucia ludzkiego, nie umiejąc przypuścić, żeby kto z niego chciał skorzystać, nieustannie rozbijał się o trudności, o niechęci, o chciwość.

W gospodarstwie całkiem niewprawny i obcy rzemiosłu, za nadto był filantropem i zbyt poetycznie pojmował wieśniaka, by z jego potu i pracy umiał korzyść wyciągnąć, a co chwila korzystano z jego naiwności oszukując go najpocieszniéj.

To wszystko razem mimo poświęcenia najzupełniej zego i ochoty z jaką się ofiarował Stanisław—owocu przynieść nie mogło, a straszliwą było dla niego męczarnią.

Ocieranie o obcy sobie żywioł prawniczo-administracyjny, było dlań tak przykre, tak utrudzające... ci ludzie tak jego zrozumieć nie mogli, on ich tak sobie wytłumaczyć nie umiał, że do rozpaczy przyprowadzał go każdy interes. Wyrywały mu

się nie raz wyrazy uczciwości, szlachetności, sumienia, litości, a uważał po uśmiechach, po minach, że tu one jakoś inne miały całkiem znaczenie. Tak naprzykład uczciwym był kto za pieniądze robił, ale dawszy słowo nie zawiódł go i od drugiéj strony już nie brał; szlachetnym kto wziął co mu dano, litościwym kto od ubogiego małym datkiem się kontentował, sumiennym kto nie zdradzał. Świata tego zaprawdę trudno! o! trudno! zrozumieć było poecie! Zapóźno więc postrzegłszy się że tu sam nie podoła interesom, musiał wziąć prawnika, któremu cały ten wydział powierzył, ze zdumieniem patrząc, że znane zasady moralne i chrześcijańskie, na których świat i społeczność stoją, w sferze interesów materyalnych żywego zastosowania dotąd jeszcze nie mają.

Gospodarstwo szło także na jakichś zardzewiałych tradycyach, z których wyjść w niedostatku pośredników, coby inne zasady zrozumiéć i praktykować mogli, było prawie niepodobna. Stosunek dziedzica do włościan był taki, że i oni oszukiwali dwór i dwór nieustannie do środków surowych względem nich uciekać się musiał. Stanisław i tego zrozumieć nie mógł, widział w człowieku człowieka równego sobie, uboższego tylko na pewnych warunkach zadzierżawiającego ziemię, któremu czuł się obowiązanym dać opiekę i wszyst-

ko co człowiek winien bliźniemu. Śmiano się więc z jego abstrakcyjnego gospodarstwa, nie opartego na znajomości okoliczności miejscowych, charakteru ludzi i dziejów odwiecznych, z których wyrodziła się teraźniejszość.

Rodzina Szarskich, oprócz matki staruszki nieustannie opłakującéj męża i nie mieszającéj się do niczego, krom tego co jéj za życia sędziego wydzieloném było, składała się z dwóch braci i trzech siostr. Bracia byli w szkołach, a jeden z nich miał wkrótce skończyć nauki; siostry dorastały, najstarsza już była panienką, i téj dusza najlepiéj umiała odgadnąć brata, bo los uczynił ich do siebie podobnemi twarzą, temperamentem, duszą i sercami. Falszewicz nie potrzebny już w Krasnobrodzie wisiał tylko przy Szarskich, bo nie mógł sobie gdzieindziéj znaleść miejsca, a że wódka była teraz w dyspozycyi Stanisława, służył mu wiernie i gorliwie. Zajęciem jego było polowanie, przed którém miał prawo do wielkiego kieliszka, i po którém znowu pokrzepić się musiał; czasami też wyręczał w gospodarstwie po swojemu, nie ruszając się bez bizuna w ręku.

Krasnobród jakeśmy powiedzieli nie miał prawie stosunków sąsiedzkich i dnie tu płynęły wśród jednostajnego życia pracy powszedniéj; wszakże w porównaniu do osamotnienia otoczonego gwarem, ja-

kie Stanisław znosił w mieście, nowy tryb tutejszy znajdował pełnym wrażeń nowych i prawie rozkosznym. Połączenie z rodziną, jéj przywiązanie, miejsce w którém przebywał, sama wsi cisza i widok natury, zbliżenie do ludu, z którego ust lały się podaniowe pieśni i baje, radowały jak nie zasłużone, jak przerażające jakieś arkadyjskie szczęście. Od dawna wygnany do miasta, znajdował tu nowém wszystko, cieszył się każdą rzeczą, i w tysiącu rysach które chwytał, czuł osnowę nowych pieśni.

Zdawało mu się, że myśl jakoś szerzéj, swobodniéj bujała tu po niwach i lasach niż wśród miejskich murów ściśnięta... czuł się poetą, bo wszystko mówiło do niego i rozumiał prawie jak w bajce mowę ptaków, szmer boru i mruczenie wody. Ale każdy z tych głosów jedną mu szeptał odwieczną, prastarą, nie prześpiéwaną piosenkę znikomości i smutku. Fenomen serca ludzkiego coraz zmieniającego barwy i starzejącego co chwila, powtarzał się na źdźble trawy, na kwiecie, w całém stworzeniu.

Nic nie trwało, prócz tego co nie miało życia.

W miarę jak na coraz doskonalsze zwracał oko istoty, żywot ich widział uległym szybszemu wykształceniu i prędszéj śmierci. Głazy leżały wieki na swych zastygłych łożyskach, a ludzie marli po-

koleniami, nim jeden kamień mchem porosnął. Wszystko więc powtarzało mu, że świat jest drożyną przejścia, nie miejscem pobytu dla nas, gospodą do któréj ścian, do któréj mieszkańców, przywiązywać się nie można...

Smutek powlekał czoło poety, ale była w nim roskosz jakaś, jakieś bezpieczeństwo... poza nim już nic niespodzianego spotkać nie mógł, czuł się u granicy zawodów, zbrojny przeciwko wszystkiemu co go w życiu czekało. Na ukochaną nawet spoglądając siostrę, pod wpływem wrażeń zmienności ludzkiéj, przewidywał zawczasu, że i ten węzeł miłości braterskiéj rozerwać się może i musi, a nowe przywiązanie, które lada chwila w sercu się jéj obudzi, pochłonie związek rodzinny. Pójdzie na matkę nowéj familii, przylgnie do niéj sercem, i powoli łączące ją z bratem, matką, siostrami wspomnienia, ustąpić muszą uczuciom świéższym i silniejszym. W każdéj z rzeczy ludzkich, w każdém z uczuć, widział on tego robaka znikomości i śmierci, który owoc rumiany jeszcze, toczy i wewnątrz wypsuwa. Trudno więc było o uśmiéch tym ustom, na których *memento mori*, jako ostatnie słowo ziemi, wzlatywało, powtarzając się bez końca.

Dzień Stanisława dzielił się na części poświęcone pracy rolniczéj, jednéj z najżmudniejszych choć na pozór próżniaczéj, a tak zawodnéj! i na chwile

oderwane od niéj, odkradzione na dumanie i pracę myśli. Ale często przy najlepszéj chęci zajęcia się powszedniemi sprawami, kapryśna poezya chwytała go oburącz, gdy się jéj poddać nie mógł; a znużonemu późniéj, kiedy przywoływał natchnienia, posłusznćm być nie chciało. Poznał wkrótce że dla poety, żywot ten, choć go sławił Kochanowski, w piérwszych tylko warunkach dostatku i swobody, mógł być stosownym; ale w potrzebie ciężkiéj i mozolnéj pracy, roztarganemu na poły, nie wyżyć poetą, gdy co chwila obowiązki, strapienia i nędze żywota ściągają na ziemię.

Czasem chwilę jechał przepędzić w blizkich Jasińcach u Płachy, z którym razem gawędzili o poezyi ludu, posiedzieli zadumani i nie wiele zużywszy słów, podawali sobie dłonie do jutra...

Nikt zresztą nie zażądał go w sąsiedztwie, nikt ręki mu nie podał, a przybycie znanego już trochę po świecie pisarza, nie obudziwszy nawet ciekawości, napędziło tylko strachu. Każdemu się zdawało że ten jastrząb porwie go i przybije do jakiejś karty jak do pręgierza, uciekano od niego w kościele, spoglądając czy nie goni, w miejscach publicznych, w miasteczku, widział chodzące za sobą oczy, ale w nich strach tylko i wstręt łatwo było odgadnąć.

Zresztą stare pojęcia o literatach, literaturze i życiu poetów, odstręczały także od człowieka, któ-

ry wśród żywéj i czynnéj społeczności wydawał się czémś wyjątkowém i ledwie nie pół-szaleńcem.

Tak minęły kilka miesięcy, a Stanisław nie zapragnął powrócić do miasta i gdyby nawet chęć się tu w nim obudziła, nie mógłby jéj zadość uczynić, bo cały los rodziny trzymał w rękach. Matka, choć się jéj w każdéj czynności opowiadał, przywykła do uległości, słuchała go zasięgającego rady, ale mu nigdy słowa nie rzekła na to co robił, ani od niego śmiała czegokolwiek zażądać— bracia i siostry uważali go za głowę domu, a wielka odpowiedzialność jaką wziął na swe barki, przerażając go, podbudzała do coraz nowych wysiłków. Nie szło mu tak jakby pragnął, a co gorzéj, głosy które słyszał w koło siebie, całe zawsze nieszczęście przypisywały zajęciu które już był porzucił.

—Co pan chcesz? hreczka posiana po literacku! żyto wschodzi po łacinie, gnój w poetycznym rozrzucony nieładzie...

Zadawano mu i roztargnienie, którego nie miał i zaprzątnienie ideałami, które z całych sił odpędzał i brak poświęcenia, którém nigdy nie zgrzeszył.

—A cóż proszę pani ma być dobrego, mówił ekonom do sędzinéj, kiedy panicz jeździ z książką na pole, a do chłopa nigdy nie powie— *chamie*, jak się należy, tylko *mój kochany*, a wdaje się z nim w perehowory, jakby to on co rozumiał, gdzie po pro-

stu bizuny dać trzeba. Już to proszę pani języ-kiem bizuna nie zastąpić.

Sąsiedzi kiwali głowami na wszystko, czy dobrze szło czy źle, widząc we wszystkiém tę nieszczęsną poezyą.

— Książki pisze, to dość powiedziéć, mruczeli ru-szając ramionami.

A gdy który objawił ochotę zaproszenia go do domu.

— Dajże pokój, odzywał się drugi. A co my z nim robić będziemy.? o czém gadać? w karty nie gra, nie pije... nie pobaraszkuje... pociechy z niego nie będzie, bo smutny jak grabarz, a jeszcze nas gotów opisać.

Wszędzie tam grzech piérworodny jego powoła-nia stawał mu na zawadzie, dość było żeby jeden wskazał go jako literata, aby się w koło rozstę-powali ludzie jak od zapowietrzonego. Inni przez jakiś niby szacunek dla nauki, udawali że poważali go wielce, mówili mu wielkiemi słowy o jego po-święceniu, o pracy, o dziełach, ale z największą se-ryą odegrawszy tę komedyjkę, uciekali żeby drwić za drzwiami ze słów własnych. W napuszonych zresztą ich pochwałach, nieszczerość ich znać było.

Zarówno więc wśród społeczności miejskiéj i wiej-skiéj, odosobniony był i wyłączony, zmuszonym się

czując żyć sercem, myślą własną i pożerać sam siebie.

Kiedy mu zabrakło towarzysza, zwracał się do siostry co go odgadnąć umiała, szedł do matki słuchającéj go cierpliwie i czule, jechał do uboższego sąsiada, który mu śpiewał piosnkę jaką ludową i powracał do swojéj izdebki spoczywać, marzyć, a czasem cóś rzucić na papier. Ten rodzaj życia dla ludzi nieprzywykłych wystarczać sobie i pracować nieustannie, zdałby się może nieznośnym swą samotnością i oderwaniem od świata, ale był właśnie stosownym dla poety, i jedną w nim klęską była kuchnia życia, owe sprawy materyalne, ów stosunek z interesów wynikający do ludzi inszéj sfery, zatruwający wszystko, bo zmuszający, albo się do nich zniżać, lub wystawić na pośmiewisko.

Niespodziana gwiazdka na chwilę rozjaśniła ciasny i chmurny horyzont Krasnobrodu. W Jasińcach dowiedział się Szarski, że matka Marylki pani Brzeźniakowa, z Lidzkiego przeniosła się do Borów, wsi od Krasnobrodu o milę tylko odległéj, którą wzięła dzierżawą, od swych krewnych. Wspomnienie poetycznéj owéj dziéweczki, miłém było dla niego, ale ku niéj nie pośpieszył przecie. Kochać i nie mógł i nie chciał, tak był wystygł po dwóch piéwszych życia próbach; nie wierzył w przyszłość, widział jak mu z jego kalectwem źle na

świecie; mógłże pomyśléć, by wspólniczką takiego żywota utrapień, uczynić biédną, niewinną kobiétę??
To też dowiedziawszy się o przyjeździe pani Brzeźniakowéj do Borów, ani rzekł słowa przed matką że ją znał, ani wspomniał że mu o tém mówiono. Jakoś z rozmowy cudzéj dowiedziała się sędzina o przybyciu sąsiadki, i zakrzyknęła przypominając sobie w niéj dawną, bardzo już dawną znajomość.

— Brzeźniakowa! to ani chybi wdowa po Antonim! urodzonym z Darewiczownéj, któréj matka była Wiszowata... ale tak! Antoniowa; z tych stron Izabella Małężanka... Izabelka! śliczna to była panna... jedną tylko słyszę ma córkę... Znam, znam!..
Jedną rzeczą o któréj długo zwykła rozprawiać sędzina, były genealogije, a w nich, w istocie, choć żyła bez stosunków, wśród głuchéj ciszy— była niewyczerpaną, reprezentując owe czasy przedherbarzowe, kiedy w pamięci matek rodziny, przechowywały się tradycye o związkach familijnych.

Uspokoiwszy się obrachowaniem do trzeciego pokolenia procedencyi Brzeźniaków, sędzina nie śmiała już pomyśléć pojechać do staréj znajoméj, bo z domu rzadko się bardzo ruszała; nie zażądała jéj widzieć u siebie, bo gość zmieszałby tryb jéj życia.

Dopiéro w jakąś tam uroczystość kościelną, pojechawszy starą bryczyną do parafii, pani sędzina

przy wyjściu z nabożeństwa spotkała się ze starą swoją znajomą.

Po latach trzydziestu! ani się już poznały biedaczki. Gdzież to ta Karolka różowa, biała, cieniuchna, polotna, uśmiechniona, w téj ciężkiéj, żółtéj, smutnéj i przygarbionéj niewieście? gdzie Julka czarnooka i śmiała w téj kaszlącéj staruszce? w głosie, w poruszeniu tylko, w niedogryzionych przez lata rysach niektórych, pozostały wspomnienia przeszłości... spójrzały na siebie, słysząc swe nazwiska, uśmiéchnęły i rozpłakały obie.

—Julka!— Karolka!

—A! moja mościa dobrodziejko! ile to lat...

—Prawda, wszak to...

—Nie liczmy lepiéj.

—Lepiéj nie rachować... Bóg, zabierając młodość i siły, dał się nam nowemi cieszyć w dzieciach naszych.

Sędzina, jakkolwiek niezmiernie rada staréj znajoméj, nie byłaby ją może śmiała poprosić do Krasnobrodu, gdyby Mania w moment poznawszy się z Marylką i rada rówieśnicy, nie zaczęła piérwsza o to nalegać. Przyszedł i Stanisław z uśmiéchem wesołym ale chłodnym witając także starą w Marylce znajomość i przypominając się matce.

—A! to syn twój moja droga! ozwała się postrzegając pani Brzeźniakowa.

— Czyżeś go gdzie widziała?

— W Wilnie! moje serce! w Wilnie... choć z początku niedowierzałam, żebyś tak słusznego syna mieć mogła.

Wszyscy razem i Marylka, która przy powitaniu oblała się cała rumieńcem, a drżéć poczęła jak listek— ruszyli do Krasnobrodu... Na pół drogi zaszła kwestya, czy do Borów, czy do sędzinéj jechać mieli, ale Mania pociągnęła do siebie; a pani Szarska i rada temu była, bo przypomniała sobie, że klucze od lochu miała w kieszeni, od śpiżarni za pasem, a czeladzi nie wydała tylko obiad.

Można sobie wystawić, ile to jest do mówienia po przeżytych latach trzydziestu przez wszystkie koleje od dziewictwa do starości, lub wrót które do niéj prowadzą. Każda z nich miała co opłakiwać, każdéj zostawała odrobinka nadziei uronionych, szczęścia niedojrzałego... i jeszcze trochę słoneczka w przyszłości. I jak poczęły się sobie zwierzać stare przyjaciółki, tak noc nadeszła nim się opamiętały, jedna, że wracać należało do domu, druga, że klucz od lochu miała jeszcze w kieszeni, a od śpiżarni za pasem. Sędzina więc pobiegła co tchu do gospodarstwa, a pani Brzeźniakowa byłaby w ciemną noc pojechała do Borów, gdyby nie prośby Mani, która poprzyjaźniwszy się już z Marylką tyle i tyle miała z nią do mówienia!

Z wieczora księżyc nie świecił, deszcz pruszył, grobelki były kamieniste, furman dostawał kurzéj ślepoty o mroku— sąsiadka rada nie rada pozostać musiała.

Stanisław mało się pokazywał w pokoju i spójrzawszy na Marylkę, do któréj słów kilka przemówił ledwie, otrzymawszy zamiast odpowiedzi rumieniec i pół uśmiechu, poszedł do swojéj izdebki. Wieczorem zeszli się wszyscy, ośmieleni nieco, Mania i Marylka rozweselone, staruszki rozpłakane przeszłością, a kontente z siebie niewymównie, Stanisław jak zawsze milczący i zadumany.

Zdaleka spoglądał on na te śliczne dziewcze, które już trzeci raz w życiu przesuwało mu się przed oczyma, ale wspomnienie przeszłości oblewało go chłodem Myśl wszystkich zmian, którym jéj serce, dusza, umysł, młodość uledz miały, znowu się groźbą w nim ozwała. Nieraz wychodził z pokoju wśród śmiechów dwójga dziewcząt, których nieopatrzne wesele przykre na nim robiło wrażenie, tak już zestarzał, przekwitł, ostygnął!

Naturalnie w rozmowie dwóch przyjaciółek i poznanie ze Stanisławem i owa karczemna przygoda znalazły miejsce, a Marylka zwierzając się tego wszystkiego Mani, tak się rumieniła, tak mięszała, że kto inny nie ona, dostrzegłby był już w niéj

zarodu jakiegoś uczucia, które samém współczuciem nazwać się nie mogło.

Oczy jéj często zwracały się na Stanisława, ale tak bojaźliwie, tak ukradkowo, jakby pragnąc lękały się go zarazem zobaczyć.

Nazajutrz rano Szarski, był w polu gdy pani Brzeźniakowa odjeżdżała i nie pożegnał nawet wczorajszych swych gości.

W zupełnéj niewiadomości co się działo na literackim świecie i obojętności na to co tam przez ten czas zajść mogło, żył Stanisław rok cały, nie zapragnąwszy nawet wieści, przykuty do pługa swego, ciągnąc go z zaparciem zupełném. Nie rychło poczta list mu przyniosła, na którego kopercie poznał rękę Bazylewicza.

Charakterystyczne te pismo następującéj było treści:

—„Szanowny towarzyszu broni! Nie wiém co ci się stało żeś tak nagle zupełnie zagrzebawszy się na wsi, dla jéj wirgilijuszowskich słodyczy zabył swych druhów i współbiesiadników. A godzi się to? Czy to dowód obojętności czy cierpień i zaprzątnień, zawsze równo dla nich boleśném, tém boleśniejszém, że wierzaj mi, choć zdala, miłować cię umiemy. Widzę z żalem żeś zszedł z pola literatury po-

trzebującéj pracowników i czuję się w obowiązku powołać cię znowu do dzieła. Wstań ospały i na pole! do winnicy! Donoszę ci, poczynając od domowych spraw moich, żem nad wyraz szczęśliwy z koteczką moją i życzę naprzód żebyś się ożenił; powtóre oznajmuję, że zamyślam wydawać wybór pism współczesnych naszych pisarzy, a ciebie jako jednego z nich do zajęcia miejsca należnego zapraszam. Odmówić byłoby to stać się winnym obojętności na sprawę publiczną. Zresztą stanąć obok A. B. C. D. piérwszych gwiazd naszego olympu, nie powstydasz się. Piérwszy tom już się drukuje, prenumerata idzie czynnie, na którą posyłam ci pięćdziesiąt biletów do rozdania *sub poena infamiae*. Rękopism jednego z dzieł twoich, które uznasz za najlepsze (wolałbym cóś niewydanego) nadsyłaj mi proszę a żywo, bym się zaraz mógł wziąć do wydania. Honorarya odbierzesz po rozprzedaży, ale nie księgarskie, sumiennie połowę czystego zysku; rozumie się że i połowę kosztów nakładu ponieść powinieneś, na co proszę cię przysłać rachując na arkusz po... Bardzo mnie zobowiążesz, a razem spełnisz świętą powinność przykładając się do téj ważnéj dla ogółu publikacyi... Chciej także w tym przedmiocie, ukazując niezmierną korzyść i znaczenie mojego przedsięwzięcia, napisać kilka artykułów do gazet, któreby z niém oswoiły zawczasu

czytelników. Pióro moje zbyt jest nacechowane oryginalnością i łatwo się poznać daje; pisać mi nie wypada o sobie, boby je poznano. U nas gotowi by to wziąć za złe.

A teraz trochę nowin literackich..."

W téj części listu, któréj już nie wypisujemy, Bazylewicz zebrał wszystkie plotki i komerażе krążące po Wilnie, zakulisową historyą biédnéj literatury i nadzieje jéj przyszłości. Dodawał, że powszechnie dająca się czuć potrzeba pisma zbiorowego, zmusza go stanąć nareszcie na czele dawno przez żonę jego zamierzonego *Polyhistora* (taki był tytuł nowéj publikacyi), do którego wzywał również Stanisława.

Choć list ten, w którym więcéj troskliwości o interes własny niż o literaturę się przebijało, nie przypadł do serca Szarskiemu, czującemu pod wielkiemi słowy, maleńkie czynności sprężyny— przypomnienie wszakże rzuconego zawodu, wzbudziło w nim chętkę jakąś zwrotu do dawnych zajęć. Stały się już one potrzebą i nałogiem, tęsknił za słodkiém jarzmem, które mu kark namulało. Ukradkiem, nocą, zrywał się do książek, do papiérów, do rozpoczętych robót, o których myślał nawet wśród pól i najcięższéj gospodarskiéj pracy. Czuł on, że na téj tylko drodze, przydać się na cóś mo-

że i zostawić po sobie jeśli nie geniuszu to usiłowań pamiątkę.

Wspomnieliśmy geniusz, słówko o nim jeszcze, choć nie w miejscu. Pojęcie geniuszu rozbiło się o jego definicye nic nie nauczające, ogół fałszywie po większéj części szuka i upatruje tego daru Bożego— geniuszem dla tłumu bywa najczęściéj ekscentryczność i przesada. Ale też to co w piérwszéj chwili okrzykują geniuszem, zwykle nie uzyskuje aprobaty tytułu od potomności, częściéj przyszłość mianuje na tę godność, co się współczesnym śmiesznem, dzikiém lub prostotą swoją poziomém wydaje. Cechą geniuszu jest odgadnienie kierunku przyszłości, a że społeczność najczęściéj mimowoli i przeciwko sobie ku niéj idzie, to co jéj najprzeciwniejszém, najniepojętszém się zdaje, może być i bywa piętnem prawie zawsze zapoznanego geniuszu.

W wiekach też przejścia, jak nasz, gdy wszystko leży na pojęciach nie na uczuciu, z fałszywych definicyi, rodzą się kłamliwe wyobrażenia i ich zastosowania; lada przesadzony, sztucznie wydęty talencik obwołują geniuszem, gdy to co proste, naturalne, nie wyrobione na efekt, spada na najniższe stopnie. Tymczasem jedną z cech nieśmiertelnych geniuszu jest prostota,— prostota przy wielkości pomysłu, prostota pozorna w wykonaniu, pro-

stota idei i formy, przy prawdzie i wdzięku obójga. Zrazu wygląda to często na cóś bardzo pospolitego, zwyczajnego; dopiéro gdy się ludzie rozpatrzą i sprobują, że téj prostocie sprostać drugim nie podobna, że wymałpować jéj nie można, powoli domyślać się zaczynają, że geniusz tylko mógł ją stworzyć.

I to jest fałszem w pojęciu geniuszu, że mu każą być wyłącznie samą siłą, samą potęgą, samą wielkością w znaczeniu najpospolitszym tych wyrazów; geniusz może się objawić zarówno, wdziękiem, urokiem, uśmiéchem, tęsknicą, bo nie ma koniecznéj formy, w którąby się wlać był obowiązany. Geniuszem jest zarówno nieśmiertelny Molière, Shakespeare, Cervantes i Dante. Na stworzenie Mizantropa i wielu charakterów-typów komedyi Moliera, tyle trzeba było geniuszu, co na odśpiéwanie epopei.

Jak większa część ludzi udarowanych jasnowidzeniem od Boga, Stanisław nie tylko nie miał się za geniusz, ale w nim zwątpienie brało ciągle górę nad wiarą w siebie. Mierząc się z współzawodnikami, znajdował się zawsze niższym od drugich i o piérwszą nie myślał ubiegać, a nie dopominając się stanowiska, nie mógł go posiąść, bo u współczesnych ten zyskuje najwięcéj, kto najwięcéj się upomina.

Pisał, bo to było potrzebą jego duszy, bo to było żywotem jego, bo się stało naturą, w przekonaniu, że nigdy poczciwa myśl wybijająca się na świat z duszy, bezużyteczną być nie może... ale o losie pism swoich nie myślał. Czém że jest wcześnie sława w kręgu mniéj więcéj szerokim, trwająca przez czas jakiś ograniczony, w obec świata i wieków? Wartoż się o nią kosztem jakiejkolwiek ofiary dobijać? Interes ogółu i potrzeba duszy, wszędzie prześcigają starannie o pozyskanie tego cacka, które się sławą nazywa.

Ukradkiem, wytrwać nie mogąc, pisał Szarski, drukował nawet, ale przekonany, że winien był ofiarę życia i godzin swoich matce i rodzeństwu, każdą chwilę odebraną im, odkradzioną, opłacał zgryzotami sumienia.

Tymczasem na wsi mimo najzupełniejszego poświęcenia coraz mu szło gorzéj, a los który czasem największym głupcom sprzyja, śmiejąc się z sądów, które wywołują jego sprawki, wcale mu nie dopisywał.

Gospodarstwo szło opieszaléj niż za ojca jego, interesa co chwila się łamały; nieustanne zawody, przeciwności jakieś, trudności spadały mu gradem na głowę. Cierpiał i znosił w milczeniu te dziwne urągowisko, do którego był przywykł; praca najsumienniejsza, wyraźnie w korzyść iść nie chciała.

Wszyscy też powoli się na tém poznawać zaczynali, i po cichu zwracali ż uwagami ku wdowie.

— WPani dobrodziejka, mówił któś z krewnych sędzinéj, przyjechawszy z tą radą umyślnie o mil dziesięć— WPani dobrodziejka gubisz się używając syna do tego, widocznie to nie jego rzecz; jemu nad książką ślęczéć nie gospodarować.

Wdowa zbywała to milczeniem nic nie odpowiadając, żal jéj się było rozstać z synem, lub nawet chwilową zrobić mu przykrość, i choć także w duchu przypisywała Stanisławowi niepowodzenia we wszystkiém, wolała straty niż boleść dziecięcia, a nie widziała sposobu odrzucenia poczciwéj jego ofiary.

Szczęściem, nastręczył się jéj wyborny powód do uwolnienia Stanisława.

Jeden z tych wielkich panów literatów-diletantów, których mieliśmy zawsze dostatkiem, a dziś więcéj niż kiedy, odwiedził jakoś pana Adama Szarskiego. Należał on do liczby tych co zfrancuzieli zupełnie, czytali jednak i pisali po polsku; syn magnata bawił się sobie piórem, jak drudzy końmi i psiarnią. Dowcipu mu nie brakło, bo na tym w sferze jego nie zbywa nigdy, czytał wiele, zwłaszcza w językach obcych, a że los dał mu dosyć świata widzieć i nasłuchać się nie mało, a chwytać miał zdolność szczególną, uzbierał sobie ze źródeł róż-

nych, z rozmów, z książek, wcale nie szpetny ładunek idei nie swoich wprawdzie, ale zręcznie poprzerabianych do wzrostu i powiązanych z sobą umiejętnie.

Umysł to był szczególnego kroju, pojęcie bystre, pamięć nadzwyczajna, giętkość niesłychana, bierność suchéj gąbki nasycającéj się wszystkiém co ją dotknie, ale wewnątrz nic swojego. Nie wyrobił w sobie jednéj myśli, nie urodził jednéj formy, ale jako eklektyk nadzwyczaj zręczny, wzorem być mógł w swoim rodzaju. Nikt się nadeń zręczniéj nie zapożyczał, nikt nie przyswajał i nie kradł tajemniéj, a w dodatku tak to wszystko po swojemu zamalowywał, iż ubóstwa jego nie łatwo się było domacać. W jego skarbonce znalazłeś i dowcip Francuzów i humor anglika, i trochę uczoności niemieckiéj, obłamki zdań, anegdot, facecyi, sądów wszelkiéj fabryki, imion i dat tłumy... słowém, materyałów mnóstwo z talentem ustawionych i stanowiących jakąś oryginalną całość. A że miał przytém wiele taktu i znajomości świata, wybór tego wszystkiego był niezmiernie zręczny, użycie trafne, tak, że cytaty nawet, wydawały się czémś oryginalném, a spojenia ich często stanowiły niespodzianém zetknięciem istotę wcale nową. Diletant nasz miał w dodatku obejście się wielkiego pana, grzeczność starych magnatów, a czasami w ruchu je-

go, cóś swojskiego, domowego przez pokłady francuszczyzny się przebiło, gdy się z tém popisać znalazła potrzeba. Poszukiwano go wszędzie, a że tytuł i położenie towarzyskie przy rzemiośle literackiém czyniły go rodzajem fenomenu, jak tylko wziął pióro do ręki, okrzyknięto go geniuszem.

Gdy więc napisał dwa czy trzy artykuły gazeciarskie i wydał broszurkę, stanął od razu na pół drogi do nieśmiertelności. W towarzystwie słuchano go jak wyroczni, kobiéty unosiły się nad każdém jego słowem, które gdy było potrzeba tłumaczył im po francuzku, lub dawał od razu we fraczku; stawiano go na świeczniku jako przykład dla drugich. Nie brał wszakże literatury tak na seryo, żeby ją miał czynić aż celem życia całego i wyłączném zaprzątnieniem; wiedział bowiem, że nie ma w salonie stworzenia przykrzejszego nad literata, a literatura, gdy się stanie namiętnością, powołaniem, celem, zmusza zapomnieć o paznogciach, fryzurze, ubraniu i konwenansach, i odcina od świata, w którym żyć musiał Z innych więc względów był to człowiek salonu, wykształcony, miły, pełen talencików przyjemnych, zawsze gotów w dobrém towarzystwie poświęcić ile chciano godzin na nice i zabawki.

Literaturę nosił jak tabakierkę w kieszeni; kto tabakę zażywał, tego nią częstował. Na palcach

nie miał plam od atramentu, na nosie nie dźwigał okularów, czasem nawet taił się trochę z tém, że czytać lubił; ale w towarzystwie stosowném nikt go nie przegadał, i gdy się dorwał kazalnicy, nie było sposobu wtrącić słowa, cóż dopiéro stanąć w oppozycyi!! Któżby mu sprostał gdy sypnął słowy, nazwiskami, ironiją, dowcipem i garścią autoritetów?

Zresztą, *pro et contra* brał sam na siebie i w przeciągu pół godziny, utrzymywał czasami, że białe było białém, czarném, a mogłoby nawet być czerwoném.

Bóg wié jaki wypadek zapędził tego Muz i Apollina kochanka do państwa Szarskich, zdaje się że jadąc z jednéj stolicy do drugiéj, spodziéwał się tu znaleźć księcia Jana, z którym był dawno w przyjaźni, a że pana Adama znał dobrze i cenił... kuchnię jego, postanowił zatrzymać się i spocząć w Mruczyńcach.

Jakoś tam przypadła mowa o literaturze.

—Szarski, rzekł diletant... Szarski! ale jeden Szarski jest wielce obiecującym pisarzem... poetą... pracuje ogromnie... to imie mi znane. Czy to krewny, czy imiennik państwa?

—Tak... imiennik, wykrztusił zafrasowany pan Adam, bojąc się bardzo przyznawać do blizkiego

pokrewieństwa, bo nie wiedział z jakiéj to strony uważaném być może.

—Czytałem kilka jego rzeczy, mówił daléj diletant popijając poobiednią kawę, jest w nich wiele talentu, wiele dowcipu, jakiś tok poetyczny, dusza, życie... śmiałość... Państwo nie wiedzą co to za jeden i gdzie się obraca?

—Owszem, odezwał się pan Adam widząc że pochwały sypały się obficie... on tu od niejakiego czasu mieszka w sąsiedztwie... i to nawet... zdaje mi się... jakiś nasz daleki krewny...

—A! to go państwo znać musicie, jakżebym ja był ciekawy go poznać? Ale to mojém zdaniem (ulubiona to była wstawka diletanta, który nic nie mając swego, popisywał się ciągle ze zdaniem wyłącznie własném)—mojém zdaniem, jeden z pisarzy naszych co ma najwięcéj przyszłości... (tłumacząc się z francuzkiego dodał diletant)— młody? stary?

—Bardzo jeszcze młody, odpowiedział pan Adam, teraz osiadł na wsi przy matce, któréj gospodaruje i podobno da literaturze za wygranę.

—Co za szkoda! ale gdzież to, daleko? nie możnaby go poznać?

—Trochę dziki, odludek, dziwak nawet.

—A! to tém ciekawszy... ale daleko to? spytał nastając diletant.

Pan Adam tak dla tytułu i wziętości w świecie

szanował swojego gościa, że postanowił uczcić go jedną z najwięcéj kosztujących mu ofiar i zaproponował przejażdżkę do Krasnobrodu, a widząc że gość przyjął to z wielką radością (nudził się trochę w Mruczyńcach, a powóz mu poprawiano)— kazał wnet konie zaprzęgać.

Diletant ubrał się we frak, wedle systemu swego chcąc być jak najgrzeczniejszym, choć mu pan Adam odradzał tę ceremonialność, ubrał w całą uczoność swoją i siadłszy do karykla, ruszył z gospodarzem do Krasnobrodu.

Były to jedne z najniespodziewańszych odwiedzin i przestraszyły bardzo poczciwą sędzinę nie wiedzącą jak przyjmować gościa z tytułem, a usiłującą wszelką zamożność domową wyprowadzić do piérwszego pokoju, dla uczczenia tak dostojnego pana. Gniewała się nawet trochę na pana Adama, że jéj nie uprzedził, aby się przygotować nieco mogła. A że pan nosił imie bardzo znane i niegdyś Senatorskie, dowiedziawszy się że przyjechał umyślnie poznać Stasia, zdumiała się, rozczuliła, i sankcya ta w oczach jéj własne dziecko podniosła.

Diletant był swobodny, miły, grzeczny jak wszyscy ludzie dobrze wychowani, u których gdyby wnętrze odpowiadało powierzchowności, z nikimby na świecie lżéj i swobodniéj nie było jak z niemi. Obok niego pan Adam ze swém napięciem

arystokratyczném, dumą i słodziuchną grzecznością wymuszoną, która więcéj odstręczała niż pociągała, wydawał się gburowaty i nieokrzesany.

Posłano zaraz po Stanisława na poletek, a diletant chcąc się przypodobać, jak niegdyś pan Adam w Krasnobrodzie, począł wychwalać wszystko co się tylko trafiło. Miejsce było prześliczne, drzewa przepyszne, cóś wiejskiego... między otłuczonemi filiżankami na serwantce, znalazły się nawet stare Sasy i Sewry nieporównane! Gdyby był mógł, byłby chwalił trzewiki domowéj roboty pani sędzinéj i czérwone rączki gospodarnych sędzianek... w takiém był usposobieniu do admiracyi. Znalazł, że Mania przypominała dziwnie księżnę jakąś hiszpańską, którą widział w Paryżu, a najmłódsza hrabiankę N. N... Co chwila nowe podziwy! To rycina na ścianie, to cóś na półce... to sielskie zacisze, to życie na łonie natury, to staroszlachecka fizyognomija dworku, zachwycały go.

Gdy cały zarumieniony pośpiechem z jakim nadbiegł, Stanisław w swéj prostéj odzieży codziennéj, próg przestąpił, diletant rzucił się ku niemu z tak przesadną grzecznością i komplementami, że pan Adam mimo poszanowania dla niego aż się zżymnął, a matka na dobrerozpłakała.

— Jakżem szczęśliwy, zawołał, że poznaję jedną ze świetnych gwiazd naszéj plejady literackiéj; tyle

cenię pisma pańskie, że będąc w tych stronach przypadkiem, gorąco pragnąłem poznać ich autora. Kuzyn pański zaświadczy jaką mi radość sprawiła sama nadzieja uściśnienia dłoni naszego ukochanego poety.

Nie można było na te śliczne oklepanki odpowiedzieć inaczéj jak wdzięcznością, zresztą Staś tak mało doznał w życiu zachęty i współczucia, że najmniejszą ofiarę tego rodzaju przyjmował za dar nieoceniony; uderzyło mu serce, ciepło rozlało się po jego duszy!

Poczęła się rozmowa o literaturze, a diletant tyle w niéj okazał dowcipu, tylą pożyczanemi błysnął postrzeżeniami, tyle zrobił uwag głębokich, które kupił gotowe w żółtych okładkach jakiejś Revue, że Stanisław cały nim przejęty, uznał go za geniusz, a biorąc na seryo zapał jego dla literatury, rozczulił się myśląc jaki w nim skarb i podporę zyskała.

Literat zniżył się niemal do kolleżeństwa z Szarskim, opowiedział mu wszystkie pism swoich plany, wyspowiadał się z idei, dążności, z formy, przy każdym rozdziale rozprawy wysypał wszelką swą cudzoziemską erudycyą, zręcznie zastosowaną do miejsca i czasu, słowem zrobił się w oczach wieśniaka olbrzymem. Ale też podniosła się przez to wartość uścisku jego dłoni, i współczucie okazane

dla Stanisława nowej nabrało ceny. Wszyscy w domu zachwyceni byli tym panem tak miłym, popularnym, tak serdecznym, a tak potężnie uczonym i dowcipnym. Pan Adam tylko obcy literaturze, nie smakował w tém wcale, a że zmuszony był milczeć, chodził kwaśny po kątach i przez grzeczność sprzeciwiać się nie chcąc, ramionami tylko ruszał.

Na odjezdném, po staroświecku całując rękę staruszki, rzekł pan te pamiętne do niéj słowa.

— Dziękuję pani za roskoszną chwilę, którą spędziłem w jéj domu i winszuję sobie żem poznał tak znakomitego jak syn jéj człowieka; ale razem pozwól mi pani w imieniu wszystkich prosić, byś go w domu i przy téj wiejskiéj pracy nie utrzymywała. Znajdzie się stu co go w tém wyręczyć potrafią, a nikt nie zastąpi w literaturze naszéj, któréj jest nadzieją i ozdobą.

Sędzina już raz trzeci czy czwarty dygając nieżmiernie nisko, chustką tylko odpowiedziała diletantowi, tak była rozczulona; lecz to co jéj powiedział zachowała dobrze w pamięci.

Czcza to była grzeczność tylko, gdyż Stanisław w czasie całych tych odwiedzin, nie mógł się wcale dać poznać i ocenić, gość, bowiem sam mówił tylko; a gdyby Szarski i mógł był tam co swego wcisnąć, tak był nieśmiały, tak go przybijał ten dowcip i nauka rozwieszona wspaniale i okryta świecącemi blasz-

kami, że ust nie umiał otworzyć. Pan mówił sam tylko, a słuchacza chwalił, za to chyba że uśmiechem i skinieniami głowy mu odpowiadał, nieśmiejąc przerywać.

Wyjechawszy za wrota, diletant rzekł do pana Adama.

— Cóż to za prawdziwie staroszlachecki dworek! Jak to się tam mogło urodzić? wychować? Człek widać zadomowiony, nieotarty, nieśmiały... Miałem go za genijusz, jednak dziś mi się zdaje że genijusz byłby żywszy, ekscentryczniejszy, silniejszy... ale zawsze, zawsze talent wielki.

Taki był wyrok znawcy, z którego o uszy pana Adama obiły się głównie wyrazy przeczenia, a w głowie jego pozostało wrażenie pocieszające, że Stanisław, dzięki Bogu, nie obiecywał nic genijalnego.

Lękał się zrazu téj wyższości, ale go to uspokoiło.

Odwiedziny te pamiętne w historyi Krasnobrodu, byłyby dlań epoką niczém się nie wiążącą z żywemi jego dziejami, i miłém wspomnieniem tylko; gdyby ostatnie słowa gościa wyrzeczone przy pożegnaniu, nie utkwiły głęboko w sercu i głowie pani sędzinéj, i nie posłużyły jéj wkrótce za narzędzie do uprojektowanego rozłączenia ze Stanisławem.

Młodszy brat jego, Jędruś, właśnie był skończył szkoły, a że do uniwersytetu żadnéj nie miał ochoty,

bo konie i strzelbę nadewszystko lubił, a nauki łykał jak gorzkie pigułki, które wyżyć było potrzeba, żeby się od choroby uwolnić— zaraz po powrócie wziął się do gospodarstwa pomagając bratu. Sędzina kobiéta praktyczna dostrzegła że Jędruś daleko lepiéj potrafi zastąpić ojca niż Stanisław. Ale jak tu było jemu powiedzieć, że go już niepotrzebują, że zawadą być może!

Tymczasem klęski szły po klęskach, a kobiécina się gryzła, z podszeptów ludzi wszystko przypisując starszemu synowi. Szczęściem, w porę jakoś przyszły jéj na myśl słowa owéj wyroczni, owego diletanta i począwszy je mocno rozbierać, wpadła na trop, jak postąpić było potrzeba.

Wkrótce nastręczyła się okoliczność przemówienia. Było to jakoś w porze sianokosu, a że często przechodziły deszcze, ciężko było pozbierać go w stogi, kłopotano się tém nieżmiernie. Stanisław jeździł, chodził, stał doglądając pilnie pracy robotnika. Na pokosach, w wałach, kopicach wielkich i małych, przeschłego siana było już na kilka stogów i na połowę odryny, a dzień nareszcie zaświtał śliczny, gdy całą siłą wioski wzięto się do składania. Do godziny trzeciéj po południu zawieźli odrynę, i już stogi tylko stawić mieli, gdy chłopi którzy czasu dotąd nie schwycili do zebrania swojego sianka, a na niém

cała przyszłość ich chudoby leżała—przybiegli gromadą od wozów, do Stanisława.

—Ej, paneczku, kochanie, spuść nas dzisia, tylko, słonko zachodzi na pogodę, wy siano swoje zrobicie jeszcze, dészczyska się już wylały, a nasze kopice kisną od dwóch tygodni, a na nich cała zima nasza. Pozajutro niedziela, zlituj się, uwolń—pan Bóg ci to nagrodzi!

— Ale stogi? rzekł zakłopotany gospodarz.

— Złożym je jutro sami, zobaczycie! mało co pozostało, u nas kłapcia pod dachem niéma jeszcze! ej! zrób to dla gromady!

I jak zaczęli czapkować a prosić, a za kolana ściskać, a po rękach całować, Staś który dla ludzi miękkie miał serce, zezwolił na wszystko czego chcieli i wziąwszy konia poczwałował ku dworowi. Ta jego powolność dla ludzi dopełniła miarki, gumienny oczom swoim niewierzył, ekonom leciał do dworu ramionami ruszając, wszyscy szeptali rozpowiadając sobie o tém osobliwszém pobłażaniu, dziwili się, mruczeli, naradzali, a Jędruś dowiedziawszy się aż poszedł sam do matki.

—Ja Stasia pewnie kocham, rzekł do Sędzinéj, i jak ojca, i jak brata, ale jak on tu nam dłużéj pogospodaruje, to my bez chleba będziemy, rok mokry, cała nadzieja na sprzedaży siana, a ten nas gubi, ot co wyrabiając z chłopami.

Matka milczała, ale usta zagryzła. Na nieszczęście nazajutrz pomimo że słońce zdawało się pogodnie zachodzić za lasy, lunął deszcz na siano i tak je trzydniówka zgnoiła, że stogi owe przepadły, ledwie się mogąc zdać na podściół. Stasiowi w umyśle rodziny zadało to cios ostateczny i matka zebrała się do niego przemówić stanowczo, ale niechcąc go martwić, postanowiła nieboga ozłocić mu pigułkę.

Wieczorem więc w niedzielę, kiedy jeszcze to siano mokło w kopicach, które deszcz już aż w ziemię powbijał, zawołała Stasia do swojego pokoju zawalonego motkami, przędzą, sztukami płótna i gospodarskiemi przyborami.

Niełatwo przyszło jéj z serca zrzucić ten ciężar, ale sądziła że los rodziny całej zależy od jéj postanowienia, i zebrała się na odwagę.

— Serce moje, rzekła do syna siadając przy nim, i biorąc go za zękę, umiemy wszyscy ci być wdzięczni, za to co dla nas czynisz poświęcając nam swój czas tak drogi; ale dobrze to było, pókiśmy się bez tego obejść nie mogli, czas żebyś i ty o sobie pomyślał. Słyszałeś co mówił nam ten gość, który się przecie na tém zna, że ciebie do tego używać się nie godzi, bo twój czas i praca więcéj są warte niż to mizerne gospodarstwo, trzeba żebyś nareście powrócił do dawnego trybu życia.

Staś spójrzał na matkę która się zarumieniła czu-

jąc nieboraczka że trochę kłamała przez miłość macierzyńską i zmięszała się.

— Mateczko kochana, rzekł—jam już przywykł do wsi, a niewiele na co przydam się gdzieindziéj.

— No! no! no! odpowiedziała Sędzina porządkując kłębki żeby skryć twarz, tak jéj ciężko było nie wypowiedzieć całéj swéj myśli— darmo nie bałamuć, a posłuchaj no mnie. Już to tam ojciec miał za urazę do ciebie, to nie nasza rzecz sądzić, tyś posłuszne dziecko wyrzekł się ojcowizny, niech to tak będzie, ależ i mojego tu cóś jest, a my z rodzeństwem z posagu mego część ci moją równiuteńko wydzielim, żeby taki najgorzéj, to rocznie będziesz miał około czterech tysięcy dochodu.

— Ale któż tu gospodarzyć wam będzie?

— A Jędruś! co ty myślisz? Jędruś żwawy chłopak i okrutną ma ochotę do gospodarstwa, a tobie to taki, gadaj sobie co chcesz, cięży trochę— to darmo! co prawda, to prawda!

— Kochana mateczko!

— Cicho no już cicho! to darmo! to nie twoja rzecz, — chodzić koło gnoju i roli, kiedyś piórko wziął w rękę, jedź kochanie do Wilna i kończ co począłeś... a odwiedzaj nas często... my tu z Jędrusiem damy sobie rady. To wykapany nieboszczyk, on potrafi Krasnobród utrzymać.

Stanisław choć już był przywykł do wioski, choć

go nic nie ciągnęło do miasta, na myśl trochy swobody i uwolnienia od ciężkiéj pracy, która na jego ramionach wisiała, uśmiechnął się, ucałował rękę staruszki i podziękował jéj z serca.

— A co się tycze wydziału, rzekł cicho, zróbcie jak chciał ojciec, niech ja nic nie mam od was, niech nic, lepszym nie odbieram dzieciom; ja niewiele potrzebuję, a na tę trochę zapracować potrafię.

— No, no, daj no pokój, przerwała Sędzina, a to nam zostaw proszę; a jak ci się zechce zdawszy gospodarstwo Jędrusiowi pojechać do Wilna, masz sobie cztéry konie, Mateusza i zieloną bryczkę, a i jaki tysiąc złotych w pończoszce u mnie się znajdzie. (Sędzina chowała zawsze pieniądze w stare pończochy, mając to tradycyonalnie że w ten sposób dłużéj się i lepiéj konserwują).

Jakkolwiek na pozór ostygał Szarski dla literatury i wrósł do wiejskiego życia, serce mu zabiło do swobody, do cichego kąta w którymby nic nie przerywało mu pracy, do miasta które się stało dla niego drugim domem rodzinnym. Może rzucone tam wspomnienia siłą swą ciągnęły go także ku sobie, bo najsmutniejsze nawet mają tę władzę, że wiążą nas na wieki ze cmentarzami przeszłości.

Wszystkie dawne plany, myśli osnowy pracy, po-

częły roić mu się znowu, a po wypoczynku z nową siłą dobywały się z niego; zdało mu się że nie rzucając pióra wyleje z siebie wszystko co dotąd wstrzymywał i wyrabiał tylko w głębi duszy.

Ale nierychło pomimo pośpiechu potrafił wyruszyć z Krasnobrodu, i nazajutrz po owéj rozmowie bez żadnego podejrzenia zdawszy wszystko Jędrzejowi, sam począł nieco oddychać, nasycając się dopiéro wsią, któréj zarządu ciężar spadł z bark jego.

W czasie ostatnich miesięcy pobytu w Krasnobrodzie, widywał on niemal co tygodnia panią Brzeźniakową i Marylkę; z nią i z Manią odbywali długie przechadzki, a bojaźliwe zrazu dziewcze tak się było powoli oswoiło z poetą na którego widok drżało wprzódy, że mu się uśmiechało, że do niego mówiło swobodnie, że wreście z pod powłoki nieśmiałości osłaniającéj ją dotąd, objawiło mu się w całéj krasie swego umysłu i serca. Stanisław zachwycony był poetycznością téj istoty, która pół życia, całą sztukę, całą tajemnicę piękna i filozofiją młodości odgadła sercem; która sądziła trafniéj uczuciem niż krytycy z powołania swemi niechybnemi receptami. A kiedy poczęła mówić ożywiona silniejszą potrzebą wynurzenia się, odzywała się jak natchniona i nieziemska istota.

Ale obok uwielbienia, zajęcia, zachwytu dla dzieweczki, która olbrzymiała w chwilach zapału i wyż-

sza była od wszystkiego co ją otaczało, pomimo jéj piękności, dobroci i aureoli jaka jej skroń opasywała, nie zrodziło się już żadne inne czulsze, namiętne uczucie dla niéj, któreby niepohamowaną swą siłą chwyciło i uniosło młodzieńca. Patrzał, słuchał, dziwił się, rozczulał, ale pokochać nie mógł. Serce jego było martwe, straciło w dwóch piérwszych wysiłkach wszelką władzę miłości, zużyło tę siłę młodości, w gwałtowném cierpieniu. Patrzał już jak obcy na świat do którego żywota nie czuł się powołanym; jak schorzały na biesiadę, do któréj niéma smaku i ochoty, dziwiąc się niemal tym co spożywać ją mogą.

A ten może smutek, chłód, odczarowanie które wiały ze słów jego i wybijały z wejrzenia, pociągały bardziéj jeszcze biedną Marylkę ku tęsknemu poecie.— Ona tak pragnęła zbliżyć się ku niemu, tak chciała zajrzeć w głąb jego duszy.

Napróżno! najgorętsze słowa spadały nań jak ciepłe krople deszczu na kamień, który po nich bardziéj się jeszcze sliskim i twardszym wydawał. Marylka nieraz wróciwszy z Krasnobrodu płakiwała po nocach rozmyślając o Stanisławie, i nie pojmowała młodości w któréj sercu mogły już mieszkać takie szrony i siwizna.

Nikt się może nie domyślał jeszcze tych uczuć Marylki oprócz jednéj matki, niespokojnie poglądają-

céj na ich postępy, a nie śmiejącéj jeszcze ust otworzyć, gdy miłość z razu będąca przeczuciem jakiemś swéj doli, porywem nieokréślonym, niepokojem wewnętrznym, stała się wreście gwałtowném, niepohamowaném przywiązaniem. Marylka odgadła ukochanego intuicyą jakąś—czuła jego boleści, tłumaczyła sobie oziębłość i biegła być siostrą miłosierdzia dla tego Łazarza, uśmiechem pokrywającego swe rany.

Pani Brzezniakowa z bałwochwalczém przywiązaniem dla jedynéj córki, poglądała na to bojaźliwie, nieśmiejąc przemówić, ale coraz o przyszłość spokojniejsza, bo była pewna że Staś pokochać musi jéj anioła, a dzięki Bogu nic szczęściu ich w takim razie nie stanęłoby na zawadzie. Była spokojna o zezwolenie matki, sama drżała z radości na myśl pobłogosławienia téj pary, którą widziała od losu sobie przeznaczoną, i kołysząc się temi nadziejami, dopomagała nawet nieco do rozwinienia się przywiązania swéj córki, częstym pobytem w Krasnobrodzie. Pobyt ten ubarwiała przyjaźń dwóch matek, przywiązanie Mani i Marylki, ale niestety! widywanie się Stasia z piękną sąsiadką, nic prócz czułéj, serdecznéj nie zawiązało przyjaźni.

Trochę to niecierpliwiło panię Brzeźniakowę, która rada była przyśpieszyć koniec dla swego uspokojenia, nie wątpiąc, że byleby Marylka chciała i umiała, Stanisław zarazby jéj padł do nóg.

Po dwutygodniowéj jakoś niebytności w Krasnobrodzie, z przestrachem dowiedziała się historyi siana zmokłego, odprawienia Stanisława, (tak to ludzie nazywali) zdania gospodarstwa Jędrusiowi i projektowanego wyjazdu poety do Wilna. Strach ją ogarnął większy jeszcze, gdy postrzegła bledniejącą Marylkę i śpiesznie dla pokrycia wrażenia wymykającą się z pokoju. Nie czekając niedzieli, pojechały do Krasnobrodu, a tu gdy się dwie staruszki sam na sam zamknęły, Sędzina zaraz potwierdziła przyjaciółce co jéj wprzód sąsiedzi donieśli.

— Jakto? i ty go tak puszczasz do Wilna? spytała Brzeźniakowa.

— A niech jedzie, odparła Sędzina, on się tu nudzi, potrzebuje tych swoich książek, miasta, towarzystwa mądrego, cóż on tu z nami skorzysta?

Brzeźniakowa głową tylko pokiwała.

— A nie lepiéj żeby było, odezwała się, ożenić go gdzie z jaką poczciwą dziewczyną i dać mu gosposię i gospodarstwo?

— Zmiłuj się serce, przerwała Sędzina, taki on gospodarz jak ja mniszka — ot to — kulą w płot; toż on mi tu chłopów na dziadowskie bicze porozpuszczał.

Brzeźniakowa zamilkła znowu, westchnąwszy głęboko.

— On sobie jutro już jedzie, dodała matka — a aż z oczów mu patrzy, że dusza się do miasta raduje.

— Jutro jedzie! zakrzyknęła sąsiadka przestraszona! jutro!

— Już mu Jędruś i bryczkę kazał wyrządzić.

Tak było w istocie, a Marylka uwiadomiona także o tém od Mani, pobladła straszliwie, i choć kryjąc swe wzruszenie uśmiechała się, łatwo było dostrzedz, jak ją ta wiadomość przeraziła.

Stanisław nadszedł za niemi do ogrodu, prawie wesół i podał ochoczo rękę dziewczęciu.

— A co panno Maryo! rzekł, wié pani że poczciwy Jędruś zdjął mi garb z pleców i dał abszyt.

— A! wiém i pan uciekasz!

— Jadę od jednéj pracy do drugiéj!

— Tak, nawet bez żalu po wsi, po matce, po siostrach.

— Jakto? bez żalu? a któż to pani powiedział?

— Wszak to widać po panu!

— Bo najczęściéj żal tam jest właśnie, gdzie go nie widać, nie wierz pani nigdy temu, który się z nim bardzo pokazuje i przechwala.

— Tak, odparła Marylka, ale i najprawdziwszy żal, kiedy jest, a głęboki, a wielki, to go pierś nie strzyma, słychać go w głosie, widać w wejrzeniu, spętany wybucha jakimś jękiem mimowolnym... zdaje się żebym go po ruchu nawet poznała... o! pan *nas* nie żałujesz!

— I owszem pani!

— A jedziesz...

— Bo mi wmówiono, że tu nie miejsce dla mnie, że kto raz wziął ślub z piórem i pokropiony został atramentem, już z niego nie zmyć tego nieszczęsnego kapłaństwa.

— Albo to na wsi pisać nie można? spytała żywo Marylka, policz pan tych co w miastach i na wsi pisali, a przekonasz się że żadne wielkie dzieło natchnienia nie urodziło się w tych murach... Każdy poeta szukał natury i ciszy, by wykołysać myśl swoją. Rousseau, Cervantes, Kochanowski, o! i nie wiém kto jeszcze... pisali na wsi.

— A Goethe?

— Co pan mi zawsze tym tajnym radzcą dokuczasz, to był genijusz który światu milczeć i przeistaczać się kazał jak chciał, i stawała się wieś do koła gdzie przed chwilą był gród i z gwaru robiła się cisza dla niego. Zresztą ja się dziwię Goethemu, ale go nie kocham, to aktor co doskonale udaje poetę, jak równie dobrze odegrywa rolę konsylijarza, szambelana dworu i...

— Autor Fausta! autor Goetza! autor Wertera!

— Wertera pisał gdy jeszcze nie zasklepił się w Wejmarze...

— Nie wiém, ale to pewna kochana panno Maryo, żeśmy daleko odskoczyli od zadania rozmowy; wróćmy z Wejmaru do Krasnobrodu.

—Przepraszam, ja znów pojadę do Niemiec; a ukochany pański Richter, wszak nie w stolicy, nie w mieście, ale gdzieś pod starą strzechą domku nizkiego pisał Titana; a Schiller?

—Ostróżnie pani, ostróżnie, już się splątasz!

—No, to wolę porzucić to dowodzenie, ale wezmę się do niego z innéj strony. Pisarz naszego kraju, który cały był wielką wsią tylko, nie może się usposobić w mieście, ani natchnąć brudnym brukiem.

—Toś pani dobrze wymyśliła, odparł Stanisław—ale doprawdy, cóż to panię tak obchodzi, co się ze mną biednym stanie?

—Chodzi mi, wszakże nie o pana, ale o literaturę!—zawołała cicho Marylka, ale w téj chwili zabrakło jéj głosu, spuściła główkę, umilkła.

Poszli po ogrodzie i przechadzali się w milczeniu, powoli zmieniwszy rozmowę, a w ciągu téj długiéj i smutnéj przechadzki, oczy ich ani razu się nie spotkały. Marya spuszczała je ku ziemi, Stanisław błądził niemi po świecie, nie widząc co się działo do koła. Było cóś dziwnie zasmucającego w widoku tych dwóch istot, jednéj drżącéj z bolu i rozczulenia, drugiéj przebolałéj, ostygłéj, chłodnéj, nieumiejącéj dójrzeć nawet serca, które biło tak blisko. Mania pochwycona wiejącym od nich smutkiem, posępniała biédna i szła za niemi milcząca.

—Ja nie wiem, dodała Marylka po długim prze-

stanku — jak to panu nie żal wioski? jak pan nie czujesz jéj wdzięku?...

— Ja nie czuję jéj wdzięku? cóż znowu! któż i to pani powiedział?

— A jedziesz zakopać się w mieście?

— Jadę — ale któż to wie? może tylko na chwilę.

Marylka główką potrzęsła

— Już to źle, kiedy miasto pana ciągnie.

— Ognisko życia, którego ja jestem nędzną iskierką, dziwnoż, że lecę w nie mimowoli.

— By w niém pożartym zagasnąć!

— Jak wszędzie, westchnął Stanisław — życie tu, tam — nie jednoż to życie? Co znaczy miejsce dla tego, który cały swój żywot ma w duszy? Komuś innemu świat jeszcze cóś dać lub odebrać może, ale mnie? — nic.

— Wiele pan masz lat? sześćdziesiąt czy siedmdziesiąt pięć? — zapytało dziewcze z odwagą, która jéj przybywała co chwila.

— Nie liczę, ale i o ośmdziesiątbym się nie sprzeczał...

— Biedny staruszek! — rozśmiała się Mania, gładząc go pod brodę.

— Ale pan wpadasz w Byronowskich bohaterów, z których się masz zwyczaj tak srodze naśmiewać... to przesada! Możnaż tak prędko wyżyć cały zapas Boży? zmarnować te skarby młodości?

— Wiele może cierpienie, wiele mogą ludzie — począł Stanisław — nie mogę się przed panią spowiadać, bo bym jeszcze bardziéj w jéj oczach wyglądał na Byronowskiego bohatera; ale, wierz mi pani — tyle tylko mam siły, ile jéj trzeba do pracy — do życia już jéj nie stało!

I zamilkli znowu; Marylka ruszyła ramionami.

— Doprawdy — szepnęła po chwilce, gdybym była podejrzliwszą niż jestem, gotowabym pana jak Mania posądzić o jakąś miłostkę w Wilnie.

Stanisław rozśmiał się serdecznie.

— Panno Maryo! — zawołał wesoło — nie zgadłaś niestety!... Nie będę się zapierał że kochałem, ale to temu tak dawno, tak dawno, że to dla mnie przedpotopowe dzieje...

— Jak to! chyba w szkołach? choć ze strachem i bladością, ale udając obojętność poczęła Marya.

— Nie pani, trochę poźniéj, a zawsze zawcześnie!

— I — ?

— I kochanie moje pogrzebałem na zawsze.

— No! mów-że pan wyraźniéj?

— Pogrzebłem je tam gdzie się urodziło, w sercu mojém; winienem, że i z téj mogiły już nowéj miłości kwiatek wyrosnąć nie może.

— O! to pan ją kochasz jeszcze — żywo z gniewem prawie odpowiedziała Marylka.

— Nie! nie! nie! — rzekł stanowczo Stanisław —

ani myślę, ani kocham! mówię o tém zimno, bo takim mnie chłodem oblała miłość ostatnia, że z niego nie wyjdę do śmierci.

Spójrzała Marya ciekawie, ale w oczach jego znalazła potwierdzenie słowa; oczy miał suche, wejrzenie smętne ale rezygnacyi pełne.

— Nie, nie — rzekła w duszy — ty nie wytrwasz w téj rozpaczy, ty kochać musisz.

I słów jéj zabrakło.

Zbliżyli się do domu, mrok już padał, musieli przyśpieszyć kroku, bo powóz pani Brzeźniakowéj stał przed gankiem. Czas było odjeżdżać. Wsiadłszy z matką do koczyka, Marylka zapłakała ukradkiem, a wdowa udawać musiała, że łez jéj nie widzi.

Nazajutrz Stanisław był w drodze do Wilna.

U téj saméj karczemki, u któréj popasali biedni studenci, z nadziejami w kieszeni śpiesząc do Wilna przed laty, dziś jeszcze bardziéj podupadłéj, pochylonéj, odrapanéj, ale otoczonéj znowu takiemi samemi wozami i bryczkami jak naówczas — zatrzymał się Mateusz, by zmęczone konięta napoić u studni, któréj żuraw' czarny skrzypiąc kołysał się poruszany wiatrem jesiennym. Staś obejrzał się, przyszło mu na myśl wspomnienie, i na chwilę zdało mu się,

że tych lat kilka były snem tylko ciężkim, z którego się budził...

Skromna bryczyna jego, stanęła obok wytwornego powozu, którego sześć karych koni w przepysznych chomontach, pomimo przebytych piasków niecierpliwie kopytami grzebały ziemię. Stanisław wyjrzał i przez okna zaszklonéj landary poznał Bazylewicza, z żoną, wracających zapewne ze wsi.

Quantum mutatus ab illo! jakże się zmienił od téj chwili, gdy go z dziurawemi łokciami, ale tytaniczną odwagą, spotkał tu Szarski i zabrał na ubogą bryczynę swoją! Inny to był, cale inny człowiek, rzekłbyś urodzony w dostatku, tak sobie dobrze z nim dawał radę... Jejmość siedziała kwaśna czegoś i opuchła jak zawsze, bo ją i po ożenieniu nie opuściła owa fluksya nałogowa; on w surducie z wigoni, rozparty, palił hawańskie cygaro, dumając o niebieskich migdałach, nogi założywszy na okno landary, tak, że pięty ich wychodziły gdzieś koło kozła, używając świeżego powietrza...

Małżeństwo już się było widać wyszeptało jak raki, bo nic nie mówiło do siebie, jedno w lewo drugie w prawo patrzało, a wzdychali oboje... I jejmość pierwsza postrzegła Szarskiego, co dziwniejsza, mimo bryczki poznała go, spuściła taflę i zawołała:

— Pan Szarski! jak się pan ma?

Stanisław, choć bardzo po wiejsku i podróżnemu

ubrany, musiał podstąpić do powozu, a Bazylewicz podał mu rękę z dala, nie odmieniając pozycyi.

— A! wracasz pan nam więc do Wilna — zawołała literatka z uśmiechem, który nie nabierał wdzięku od opuchnienia — zkąd-że to? długoż się panem cieszyć będziemy? tak pożądany gość, tak nam potrzebny. — Pan wie że już wyszedł piérwszy tom *Polyhistora?*

— Piérwszy to raz słyszę.

— Nie znasz go pan?

— Dotąd nie!

— Gdzie pan mieszka? jutro przyślę go panu.

— Jeszcze nie wiém, gdzie mieszkać będę.

— Michasiu kochany, słodziuchno odezwała się żona — pan Szarski nie ma mieszkania, możebyśmy nastręczyli mu u nas... byłby blisko.

— A dobrze! dobrze! — odparł wciąż zamyślony, może o podwójném tém spotkaniu Bazylewicz, stopniami przychodząc do siebie. — Na dole są dwa pokoje wyborne, mieść się przy nas, co niedziela miewamy literacki wieczorek... wszystkie nowości, tyś musiał zardzewieć, odżyjesz.

Pani wciąż się uśmiechała.

— Nie prawda że pan staniesz z nami? przy nas? nie prawdaż! a! toby było bardzo pięknie!

— Jeśli tylko będę mógł! — rzekł kłaniając się Stanisław.

— Ale ja ci to urządzę! — zawołał Bazylewicz — zajeżdżaj tylko wprost do nas, bez ceremonii.

W téj chwili woźnica siadł na kozły, konie się rwać zaczęły niecierpliwie i małżeństwo znikło mu z oczów wiodąc żywą rozmowę, w któréj podobno chodziło o złapanie Szarskiego jako współpracownika do *Polyhistora*.

Jeszcze się Szarski rozmyślał w rogatce co zrobić z sobą i czy po staremu zajechać do pana Horyłki, czy ruszyć do Bazylewiczów, gdy go wspomnienie zależności, w jakiéj był na jednéj z nim mieszkając kwaterze, przeraziło nieco i kazał się wieźć na Trocką ulicę?

Hersz, usłużny faktor już nie żył, a szanowny Horyłka zawsze w swéj czerwonéj zatłuszczonéj mycce pobrzękujący kluczami, nie poznał już dawnego lokatora, tak na oczy osłabł. Dopiéro gdy się zbliżył i zagadał, począł go czule ściskać.

— Oto to mi pan! oto przyjaciel! — zawołał — zaraz będzie stancya, taż sama co ją pan zna i lubi, którą ja zawsze pańską nazywam; wolna właśnie i odnowiona przepysznie (w istocie dano czarny szlak górą i nową klamkę u drzwi) — moja żona tak teraz dom utrzymuje...

— A co? znowuś się pan tedy ożenił?... i utyłeś w tym stanie? — spytał Szarski

—Jak to, znowu?—rzekł Horyłka—a toć pan wie, żem żonaty z dawien dawna.

—Ale podobno.. nie przypominam sobie.

—Tak! tak! były, były nieporozumienia, wszystko to ze złych ludzi, ze złych języków... ale żyjemy teraz jak para gołębi, słowo honoru, wszystko się wyklarowało; jeździła na wieś do familii, darmom ją posądzał, najpoczciwsze kobiecisko, złota żona! co to za ład, jaki porządek! zobaczy pan!

Odemknięto izdebkę, ale ślady odświeżenia tak mało były widoczne, że Stanisław poznawał dziury od ćwieków, które sam niegdyś powbijał. Znowu więc zgodziwszy się z gospodarzem, zamieszkał tu ze wspomnieniem przeszłości.

Nazajutrz zaraz Bazylewicz, któremu więcéj chodziło o Polyhistora niż o Stanisława, całe miasto przewrócił do góry nogami szukając zbiega i złapał go nad wieczorem, domyśliwszy się, że zawsze powracał do jednéj kryjówki.

—Cóż się to ma znaczyć?—zawołał wchodząc ogromnie otwartemi drzwiami, także to zawdzięczasz nasze dobre chęci? moja żona formalnie się gniewa, najęliśmy ci mieszkanie, a ty uparcie lokujesz się w karczmisku?

—Nie znalazłem was wczoraj, a nałóg...

—No, to przenoś-że się natychmiast, rzekł Bazy-

lewicz i wnet rozkazawszy konie zaprzęgać, zabrał z sobą dawnego towarzysza. Trudno się było tak dobrym chęciom opierać, uległ im Stanisław, choć niezbyt rad, że go już Bazylewicz ani spuścił z oka. Z nim zaraz i z rzeczami przebrał się na ulicę Wielką, gdzie go w dwóch izdebkach sklepionych, ale dosyć pokaźnych ulokowano.

Wpadł więc w szpony spekulantów, a że zbyt się czuł słabym by otwartą wojnę prowadzić, odłożył oswobodzenie swoje na poźniéj.

Nazajutrz rano wyszedł na miasto i wstąpił po drodze do księgarni. Wielką tam zastał zmianę, która zaszła stopniowo w ciągu lat kilku, ale dziś była uderzającą. Znikły po większéj części z półek wydania brukselskie romansów francuzkich, wszystkie zbytkowne edycye paryzkie, a na ich miejscu domowe wyroby drukarń wileńskich, warszawskich, lwowskich, poznańskich, krakowskich, petersburgskich, zajmowały skład prawie cały. Ruch był ogromny, zaprzątnienie wielkie, znać było, że literatura domowa wzięła nareszcie choć chwilowo górę nad cudzoziemskiemi; co chwila przybywały do księgarni paki z Lipska, Poznania, Warszawy, z nowemi dziełami; wcześnie i śpiesznie przysposabiano ładunek kontraktowy, prospekta leżały stosami, a księgarz uśmiechał się i ręce zacierał.

Trudno wypowiedzieć z jakim połyskiem oczów

poskoczył on uścisnąć dłoń Szarskiego, witając go z uprzejmością niesłychaną.

—A! przecież, przecież nam pan powracasz!—zawołał—witamy, witamy! cóż nowego nam pan przywozisz? dawaj! wydamy jeszcze przed Kijowem! a prędko!! możeś pan już gdzie był?—dodał niespokojnie, toby się nie godziło opuszczać starych przyjaciół? jam był, proszę pamiętać, piérwszym pańskim edytorem.

Staś się uśmiechnął.

—Nigdzie nie byłem, rzekł—ale też nic nie przywożę.

—Jak to? nic a nic? a godziż się to tak próżnować! zagrzebywać talent! A wstyd!! wstyd, wszak to sprawa literatury! To być nie może—tyle lat! pan musiałeś pisać!

—Orałem tylko.

—Jak to? zarzuciwszy wszystko?

—Prawie.

—Prawie! aha! łapię pana za słowo! musisz mi cóś dać? Gdzieżeś pan stanął?

—Ja, rumieniąc się rzekł poeta—ja—stoję razem prawie... to jest, w tymże domu na dole, gdzie państwo Bazylewiczowie.

Na to imie księgarz usta wykrzywił.

—Przypadkiem? czy umyślnie.

—Proszono mnie...

Odeszli nieco na stronę.

— Na miłego Boga!— szepnął księgarz — coś pan najlepszego zrobił? chyba chcesz wszelką swobodę postradać? zaprzedać się w niewolę? A toż pisać będziesz musiał i pisać do Polyhistora, bo oni gadać tylko umieją. Z tego pisania nic ci nie przyjdzie, ani sławy, bo tylko firmy porządne dać mogą rozgłos imionom; ani grosza, bo oni nie płacą. Potrzebaby się wynieść ztamtąd, uciekać! Ale masz-że pan rękopism jaki?

— Zaczętych kilka.

— Zróbmy umowę o co poczętego, naglił księgarz— dam panu zadatek. Stanisław wahał się, ale grzeczność jest jedném z tych narzędzi, któremi się najwięcej dokonywa, a księgarz był tak na ten raz ujmujący, tak słodki, że ciężko mu było odmówić; złapał więc zaraz na wstępie i słowo się rzekło.

Zaledwie ztamtąd wyszedł Szarski, spotkał w ulicy professora Hippolita, który zapomniawszy dawnéj urazy, z uczuciem prawdziwém otworzył mu ramiona.

Ledwie go teraz poznał Stanisław — tak się roztył, zmężniał i niestety! wyłysiał!

— A witajże nam gospodynie!— rzekł, żwawo i wesoło rzucając się ku niemu — znowu z nami! Jużeśmy cię opłakiwać poczęli jako ofiarę wioski, jakże nam miło odzyskać cośmy mieli za stracone. Jak się

masz drogi! z czém przybywasz? Z pieśnią, powieścią, dramatem czy historyą?

— Z niczém kochany professorze; znużony przybywam po spoczynek, z sercem wystygłém i głową spuszczoną.

— Nie wiem, czy ci jedno ogrzać, drugie podnieść potrafimy, ale zawsze to dobrze, żeś do nas przyjechał. Widzisz co się dzieje w literaturze! jakie zmiany! Książki sypią się gradem, więcéj ich teraz wychodzi w pół roku, niż przedtém w ciągu lat kilku, i wszystkie rozprzedają się, rozsypują po świecie. Ruch w gazetach, w krytyce, w teoryi sztuki, w myślach i w formie; pisma peryodyczne, pisma zbiorowe... drukarnie pracują dniem i nocą... Jest-li to sen czy jawa? będzie-li to trwałém, czy przejdzie jak mara? Ja, przyznaję się, nie mam wiary w takie gwałtowne paroksyzmy, bo wiem jak u nas o wytrwałość trudno...

— Ja nic nie wiem, nie rozumiem; byłem jak wiész zbyt długo odosobniony, siedziałem na wsi i obcy jestem temu co się tu dziś dzieje.

— Możesz więc i o losie pism swoich nawet nie wiedzieć.

— Nic a nic...

— Pozwól bym ci piérwszy może, dobrą zwiastował nowinę — powiem ci szczérze choćbyś się miał obrazić.

— Ja? wiesz professorze, że nie obrażam się niczém.

— Tém lepiéj; pisma twe, na które krytyka wrzeszczała, na które ludzie krzyczeli, któremi rzucali pomiatając literaci, koniec końców czytały się i czytają lepiéj od innych, rozprzedały doskonale i codzień większą uzyskują popularność. Była w nich forma czy nie? była myśl nowa? nie wiem, przypuśćmy, ale pisałeś je duszą całą, gorąco, i trafiłeś językiem tym do ogółu. Stanąłeś wyżéj niżeliś się może spodziewał, a jeżeli wytrwasz...

— Los pism moich, odparł Stanisław — o tyle tylko mnie obchodzi, o ile się wiąże z losami literatury naszéj i jest jéj życia oznaką. To co powiadasz, cieszy mnie jako znak głodu ducha, który spożywa wszelką strawę jaką mu podają, nie jako osobiste powodzenie. Żywot nasz cały dziś w tych sferach ducha, w literaturze, języku, piastujmy go i rozniecajmy to ognisko.

Hippolit ścisnął rękę jego z rozczuleniem i łzawemi oczyma.

— A z nami, kończy Szarski — co z nami będzie; czy pisma te wrzucą potém w kosz, który ma potém pójść na stos zapomnienia, czy je zdepczą pogardą, czy wyniosą na półki niedostępne czytelnikom jaką taką opromienione pół-sławą, nie wszystkoż to jedno bylebyśmy dopięli celu rozbudzenia ży-

cia, chęci do pracy i umysłowego ruchu w kierunku prawym i zbawiennym, byleśmy zasieli myśli zdrowe i płodne? Oto jest cel jaki dziś ma literatura; nie kunszt tu, nie zabawka, nie jakie takie wygadanie się z tém co na sercu ciężyy, trzeba mieć przed sobą, ale coś ważniejszego nad to wszystko — pożytek ogólny.

— Więc znowu przychodzisz pracować w winnicy?

— A jakże! — odparł Stanisław z uśmiechem — cóżbym ja robił, gdybym nie pracował?

— Pogodziłeś się z życiem?

— Nie kłóciłem się z niém, ale przywiązać do niego nie mogę; nie bawią mnie, nie radują, nie nasycają przyjemności innym drogie, zimny jestem na nie, cóżem winien temu? Czy me życie mnie nie wabi, rzucam się w pracę jak w otchłań, jak inny w szał rozrywek... ale... na cóż ci to rozpowiadać?

— Cóż u licha takeś się zawczasu rozczarował? dla jednéj żydóweczki! wstydź się! to już dziecińswo.

— Byłoby dziecińswem, gdybym takiéj straty przeboleć nie mógł, rzekł Stanisław poważnie — ale są chwile w których drobna kropelka płyn za brzegi naczynia wylewa... dawno szukałem słowa zagadki tego świata i znaleźć go nie mogłem długo... teraz schwyciłem je nareszcie.

— Ciekawym!!

— Stara to tylko niestety i bardzo oklepana praw-

da, w którą zrazu nikt wierzyć nie chce... Świat nie jest celem i końcem, ale przejścia drogą, trzeba więc przezeń ruszać szybko, uczciwie, prosto na wrota zwrócone mając oczy, nie bardzo dbając jak się tu nam powiedzie...

—Oklepanka odwieczna! rzekł śmiejąc się Hippolit.

—Tak jest, ale kochany profesorze, wszakże wielkie prawdy kryją się w oklepankach, któremi ludzie rzucają jak nierozgryzionemi orzechami, nieprzechodząc za ich łupinę... prawdy te przechodzą mimo nas co chwila, jak przebrani za żebraków książęta, mijani wejrzeniem obojętnem.

Zdaje mi się, że połowę przynajmniéj olbrzymich prastarych prawd, których nam braknie, możnaby odkopać z pod zasypów gruzu, jak Babilon i Niniwę z pod potłuczonych cegieł... dla tego ja się szczególniéj bacznie przypatruję nie excentrycznym pomysłom, w których często strój i forma stanowią całą nowość, ale oklepankom w podartym chodzącym łachmanie.

—Ba! ba! rzekł Hippolit, życie cóś przecie warto.

—Nie przeczę, w piérwszéj swéj połowie; w drugiéj żyjemy już tylko dla świata, stajemy się ofiarą; w trzeciéj jesteśmy niepojętą ruiną oczekującą zagłady...

—Aleś ty piérwszéj nie przeżył?

—O! dawno! dawno! Nie licz wieku latami, nie patrz na zęby jak koniowi, spójrz na serce...

—Rozmowa twoja smutna do licha, zerwijmy ją—dokąd idziesz?

—Do domu.

—A dom twój?

Stanisław wymienił mieszkanie.

—Jak to! w jednéj kamienicy z Bazylewiczem.

—Tak jest, rzekł rumieniąc się trochę Stanisław.

—Jakże się to stało.

Szarski się przyznał, Hippolit smutnie pokiwał głową.

—Zaprzągłeś się, rzekł niepotrzebnie, pokoju ci nie dadzą... Bazylewicz potrzebował prawéj ręki, bo sam nic już nie robi, a chce grać jakąś rolę i ciągle mówi o tém tylko co ma kiedyś przedsiębrać, coby zrobił, coby mógł zrobić, gdyby nie to, nie owo i nie tamto! Jejmość grzeczna, on natarczywy, spętają cię i wykierują na murzyna...

Staś ruszył ramionami.

—At, rzekł, bylebym w ciszy mógł pracować!

—Zapewne, odparł Hippolit, ale ta praca, owe panaceum twoje, dobrą jest dopóki jéj kierunkiem nikt nie włada; jak skoro tobą suwać zaczną w tę i w ową stronę, obracać, popychać, i ona ci obmierznie. Potrzeba żebyś miał swoje przekonanie i cel,

a tu ci i przekonanie i cel narzucą, a ust otworzyć nie dadzą.

— No! to ucieknę!

— Rób-że to zawczasu, bo się splączesz, i potém...

— Ale cóż splątać mnie może?

— Słabość twoja.

Stanisław mocno się nad temi przestrogami namyślał wracając do domu i wszedł pochmurny do izdebki, w któréj głównym fotelu zastał Bazylewicza rozciągniętego, palącego cygaro i zadumanego głęboko. Zdawał się oczekiwać na niego

— No! bierz frak, rzekł do wchodzącego, i chodź do nas na literacki wieczorek. Moja żona wysłała mnie umyślnie żebym cię prosił, spodziéwamy się, że weźmiesz z sobą jaki rękopism i przeczytasz nam cokolwiek.

— Ja? zawołał cofając się Stanisław— ja? ale ja nigdy a nigdy nie czytam.

— Dla nas zrobisz wyjątek.

— Nie mogę!

— No mniejsza zresztą oto, ale chodź, poznasz literaturę naszą, i przekonasz się że jest życie w pokoleniu, które po nas nastąpi, lub z nami idzie razem.

Stanisław jakkolwiek zmęczony i smutny dał się znowu namówić i jako tako przybrawszy, wszedł z gospodarzem do saloniku na piérwszém piętrze.

Nie ciekawym jest zwykle salonik literatki, i ten też nie odznaczał się wytwornością; porządku w nim było nie wiele, pyłu dużo, książek, rycin, nót i litografij po stolikach i kanapach kupami, a za okrągłym stołem gospodyni domu siedziała, przecinając kartę nowego jakiegoś dzieła, którego podobno nigdy czytać nie miała.

Na ścianach, jako dowody czci sztuki nieoddzielnéj od literatury, wywieszone były próbki młodych artystów, ogromny pejzaż straszliwie oświecony księżycem, nad którym chmury białe wyglądały jak rozczochrana czupryna; głowa starca diabelnie czérwona pod pretekstem kolorytu; szkic bitwy, w któréj dym tylko i trzy końskie pośladki widać było; karczemka z drzewami koloru szpinakowego z niebem przeraźliwie lazurowém. Oprócz tego, stał na postumencie tors jakiś z listkiem winnym, nieudatna domorosła Venus jakaś, udrapowana ręcznikiem, a łeb filozofa doskonale łysy kompletował tę wystawę płodów sztuki krajowéj, wcale nie ciekawą.

Ciekawszém było daleko towarzystwo literacko-artystyczne, które Stanisław zastał już zgromadzone w saloniku, a piérwszy rzut oka nie dozwolił mu ducha jego ocenić. Była to młodzież sama, z któréj twarzy patrzało tyle dumy, zarozumiałości, pogardy ludzi i zarozumienia, że gdyby drugie tyle

znalazło się w niéj talentu, ileżby to dokazać mogli!! Jedni odznaczali się heroicznemi czuprynami, drudzy brodami ogromnemi, inni ostrzyżeniem włosów przy saméj skórze, ubiorem osobliwszym, okularami i t. p. Każdy z nich miał minę aktora występującego w jakiejś roli, przybraną, cudzą, nienaturalną, a co za tém idzie, śmieszną.

Gospodyni odciągnąwszy na ten raz fluksyą swoję nie wiém jakiemi środkami derywacyjnemi, promieniała jak muza w pośród tego grona... Byli tu i artyści w listkach jeszcze i muzycy w pączkach i krytycy kiełkujący dopiéro i poeci poczynający rozkwitać i wszystko co tylko kollaborowało lub kollaborować mogło do Polyhistora; autorowie jednéj piosnki, twórcy niewydanych dramatów, historycy wybiérający się dopiéro uczyć dziejów. Na widok Szarskiego, który niczém nie odznaczał się chyba zbytkiem nieśmiałości i pokory, ci ichmość spójrzeli ze wszystkich stron, poczmychali głowami, ruszyli ramionami i poczęli poszeptywać między sobą.

Milczenie ogólne przerywane tym szmerem na stronie, nie potrwało długo, i poczęła się rozmowa, jak Canon na mnóstwo głosów, z których coraz to nowy do chóru się przyłączał.

Najbardziéj uderzającą prowadził w niéj rolę, blady, w dosyć wytartym fraczku jegomość, na które-

go twarzy nie wiem czy smutek z choroby wyni- kły, czy chorobę ze smutku zrodzoną widać było. Mianowano go poetą, ale ilekroć się odzywał, nie- miłosiernie ze wszystkiego szydził, co nie dowodzi- ło usposobienia poetycznego wcale.

—Kto to jest? zapytał Szarski gospodarza.

—To pan P. P., poeta... człowiek z geniuszem wielkim, ale na nieszczęście nic robić dotąd nie chciał, pije tylko, hula i po bilardach się włóczy... Geniusz jego, jak sam o sobie powiada, żadnych oków ścierpieć nie może, on sam brzydzi się pracą; wyśpiéwawszy trzy zręczne piosenki, już na lau- rach odpoczywa.

Drugi z ogromnym włosem, rodzaj dandysa niz- kiéj próby, niezmiernie gadający i obfity, który cią- gle głos zabierał i sądził bardzo surowo o wszyst- kiém co się nawinęło, miał być krytykiem i filo- zofem Polyhistora, ale do téj pory trzy dzieła nie- mieckie przeczytawszy, o nich tylko, z nich, przez nie rozprawiał i widocznie żył tylko niemi. Trze- ba było posłuchać jak ci panowie sądzili całą prze- szłość! całą literaturę własną, najzasłużeńszych mę- żów i najlepsze dzieła! Wszystko u nich było sła- bém, niedołężném, nieudolném, żakowskiém, aż do przyjścia na świat téj szkoły, któréj się mianowali przedstawicielami.

Dla jednego, epokę odrodzenia stanowił jego wła-

sny poemat, dla drugiego jakiś urywek bezimienny, wszyscy po uszy siedzieli w otchłani filozofii niemieckiej i chodzili w sukni cudzéj, zmieniwszy tylko naśladownictwo, a głosili się pisarzami oryginalnemi i narodowemi.

Ich pojęcie postępu, z którém nieustannie na plac wyjeżdżali tak było fałszywe, ciasne, dzikie, a nieznajomość warunków istotnego postępu ludzkości, tak śmieszna, że słuchając ich drészcz przebiegał po skórze, włos się jeżył na głowie, strach przejmował i litość.

Żaden nie pojmował i nie rozumiał dysputy; wyrzekł i basta! dawał wyrok w sprawie i obwinąwszy się w swoję togę konsularną, ani już zważał co gmin o wyroku rzeknie, a uchowaj Boże oppozycyi, szyderstwo i łajanie zastępowało argumenta!

Moralność w tém gronie i zasady reprezentował niejaki pan Płucha, młody człowiek, który się zgrywał regularnie trzy razy na tydzień, a upijał najmniéj drugie tyle, ale za to zgrany i pijany wołał nieustannie o zwrót do piérwotnego chrześcijaństwa, do czystéj nauki Chrystusowéj i pisał artykuły bez końca o zgodzie życia z teoryą moralności, o wprowadzeniu w czyn zasady wiary i t. p. Zjadły deklamator, śmiały napastnik, bił w łeb wszystkich sześciołokciowemi wyrazami i nikt mu

odpowiedzieć nie śmiał, prostém nawet— *Medice cura te ipsum!*

Historyków aż dwóch było w tém gronie, pan Pocieszkiewicz i Brukiewka. Pocieszkiewicz badał fakta i głosił, że w historyi wszystko jeszcze było do zrobienia; chłostał starą szkołę za brak krytyki, wytykał powiększając wady poprzedników, wołał o wlanie życia w dzieje, a sam pisząc, nie umiał z najżywszych materyałów nic zlepić prócz małych i dość niezgrabnych obrazków, w których moc była chęci, naprężeń, wysilenia, ale za grosz skutku.

Sławny to był odkrywacz drobnostek, do których niezmierną przywiązywał wagę; udało mu się gdzieś wyszpérać stare inwentarze z XIII wieku... cóż się o nich naśpiewał, co niemi nieszczęśliwego Naruszewicza nie nasiekł, ile razy coraz z nowym sosem podawał je czytelnikom i jak się niemi wynosił! A przecie trzeba było kogoś innego, żeby z nich istotną korzyść żywotną odniosła historya. Dla niego ksiądz biskup Smoleński i jego praca ledwie godnemi byli spójrzenia z wysokości, poprzednicy zaś historyka, niewyłączając nikogo, stali po za ilościami oznaczalnemi, w mrokach niebytu... w nicości.

Pan Brukiewka z innego znów stanowiska zapatrywał się na historyą, ciągle wyzywając Vico,

Herdera, Hegla i licho wie wielu jeszcze patronów nowéj jakoby nauki filozofii dziejowéj; zapomniał tylko w tym poczecie Bossueta, podobno umyślnie. Miał on wedle swych popleczników missyą stworzenia filozofii historyi krajowéj, i usposabiał się już ku temu, kiedy niekiedy deklamując po salonach wyjątki ze swego dzieła. Rozumie się, że głowę nosił do góry, pewien będąc iż dzieje krajowe poczną się dopiero od niego, a to co mu służyło za podścielisko pracy, zginie marnie pożarte przez olbrzyma. Brukiewka był naturalnie heglistą i filozofem z niemiecka, choć o myśli rodowéj, duchu rodowym, charakterze rodowym prawił nieustannie po niemiecku, a Niemców ich własną rznąc bronią, ścigał przekleństwami historyi.

Dodajmy zresztą, że Brukiewka był wcale dobrym człowiekiem, byle go nie zaczepiać ze strony filozofii historyi, bo tu sobie w niczém zaprzeczyć i opiérać się nie pozwolił. Najpewniejszy był między innemi swemi odkryciami, że piérwszy wynalazł missyą słowiańszczyzny i epokę słowiańską zbliżającą się dla Europy i naiwnie chodził z tém jak z myślą własną, powtarzając ją najmniéj trzy razy na dzień.

Był tam jeszcze wielki i znakomity archeolog, który nic nie czytając o tém co gdzieindziéj po świecie zrobiono, odkryto, wybadano, nie porówny-

wając, nie szukając świateł u ogniska, sądził sobie spokojnie *a priori* o wszystkiém i najpewniejszy był, że archeologią krajową wytrzęsie z rękawa, byle chciał

Był i krytyk-artysta, wielki znawca, który nie pracując nad sztuką i nie mając jéj pojęcia, posługując się jakiemiś formułkami, wyrobił sobie że go uważano za wyrocznią, choć jednemu Bogu wiadomo co prawił, gdy sobie cugli puścił! Najgrubsza nieznajomość przedmiotu, teoryi jego, i dziejów, podpierała się w nim, jak w większéj części tego areopagu, zarozumiałością niesłychaną, olbrzymią, szaloną; ale wśród ludzi co i tyle nie umieli ile on kłamał, uchodzić za krytyka i znawcę było łatwo. Krytyk nasz jako żyw ołówka i pęzla w ręku nie trzymał; mówiono że niegdyś suche drzewo w sztambuchu pani R.. posadził z podpisem— *Deraciné par l'orage* (dając do zrozumienia, że on był tém drzewem, a może pani R. tą burzą)— ale więcéj płodów jego świat oglądać nie miał szczęścia. Przeczytawszy jakąś podróż po Włoszech i poczciwy jakiś manuał, który go wyuczył półkopy nazwisk, puścił się śmiało w krytykę. *Usus te plura docebit*, powiedział sobie i tak się też stało! omyłki, jeśli go kto na nich niegrzecznie złapał, łykał nie przyznając się do nich, coraz sobie lepiéj wyłamywał język, uczył się terminów i ostatecznie zła-

pawszy wyrazy: *chic*, *flon*, *fouilli*, *ficelles et le reste*, ani już z sobą mówić dozwalał profanom.

Sądy jego często były śmiészuie fałszywe i krzycząco dziwaczne, ale ani się zająknął, gdy je głosił. Zresztą, opponentów zakrzykiwał i zapluwał, bo piersi miał silne, a usta zawsze wilgotne. Wyrobiwszy sobie stanowisko krytyka, żył niém moralnie i na seryo się uważał aristarchem. Zapraszano go gdy kto obraz kupił, gdy odmalować kazał portret, używano do roznoszenia po świecie famy dzieł artystycznych, a malarze i rysownicy schylali przed nim czoło, kupując życzliwość jego podarkami szkiców i pokorą, choć w duchu doskonale znali jego głupotę i nieuctwo. A! cóż robić mieli biedni! Kto mu się oparł, zgnieciony został jedném słowem. Dość było, by wyrzekł w salonie:— To bazgrała! nie ma uczucia kolorytu! lub co podobnego, żeby od artysty uciekali wszyscy, powtarzając wyrocznię.

Najśmieszniejszym był, gdy się puścił czasem w tłumaczenie profanom tajemnic techniki, otwiérając im gęby dzikiemi wyrazy, choć bąka sadził po bąku. Wszyscy szeptali zdumieni:— Zkąd on to wszystko wié! o to się zna bestya!

Rozmowa stała już na bardzo górném stanowisku, gdy po chwili przerwy, gospodyni rozpoczęła ją na nowo, ni mniéj ni więcéj tylko rozbiorem

zagadnienia, czy sztuka i literatura są wypływem społeczności lub kreacyą niezawisła od niéj, a do działania na społeczność przeznaczoną. Sposób w jaki kwestya ta położoną była, absolutne jéj rozcinanie, wyrodziły androny, a gdy Szarski odezwał się, że tu, jak w wielu zadaniach prawda była w pośrodku dwóch ostateczności, to jest, że literatura i sztuka wypływały ze społeczności, działając wzajem na nią; nikt nie raczył nawet podnieść tego co rzucił i umilknąć musiał prawie zawstydzony, że się tak nie do rzeczy odezwał. Każdy po chwili począł się popisywać przed nowym przychodniem, czując potrzebę zarekomendowania: jeden wywlókł swój system historyczny, drugi swą teoryę sztuki, trzeci sąd o literaturze i puścili się w taką logomachiją, że gdyby nie gosposia, która słowa swego nie mogąc wcisnąć, nudzić się poczynała słuchaniem tego, co po raz setny obijało się o jéj uszy— byliby się do białego dnia spowiadali wzajem sobie pomagając. Poeta oddeklamował wiersz pod tyłułem *Odrodzenie*, któremu poklaśnięto hucznie i na tém się przecie skończyła sessya.

Stanisław ziewając schodził ze schodów, gdy Bazylewicz w szlafroku już schwytał go, doganiając z cygarem w ustach.

—A co! spytał, a co? nie żyje literatura nasza? nie rośnie! co to za ludzie! jakie talenta!

—Mój drogi, odparł Szarski, może to prawda, ale ludzie ci nieskończeni; zdaje mi się, zrobiliby więcéj skromnie ucząc się i pracując, niżeli głosząc godzinami swe niedojrzałe teorye.

—Heretyku! co mówisz!

—Każdy z nich myśli, nie o literaturze, nie o nauce swéj, nie o sztuce, ale o sobie... Ten się chce popisać, ów zadziwić, inny choć czuje miernym, udawać geniusz; nic naturalności, nic prawdy! komedya tylko źle odegrana, a co nieuctwa, a co głupoty pod maskami dumy i zarozumiałości!

Bazylewicz spójrzał nań z ukosa.

—Stasiu, rzekł, co ty gadasz, czém cię oni obrazili?

Szarski się rozśmiał szczérze.

—Kochany mój, odparł, poznaj-że mnie raz przecie, co tu ma do sądu obraza osobista? Gdyby mnie z nich każdy obraził najsrożéj, krwawo, śmiertelnie, cóż to ma do mojéj o nim opinii, jako o pisarzu i talencie? Musiałbym oddać mu sprawiedliwość i pokłonić się geniuszowi. Najsroższą obrazą jest nieudolność napuszona, bo téj znieść nie mogę.

—Zbyt surowym jesteś sędzią.

—Zbyt szczérym może.

—Czyż istotnie tak o nich sądzisz?

—Najszczérzéj, mogą mieć talenta, ale je zabi-

jają w sobie dumą, ale paraliżują je lenistwem, marnują w próżnowaniu, trują zarozumiałością.

—Czekaj! czekaj! przeczytasz i nawrócisz się!

—Daj Boże!

—Dobranoc!

Bazylewicz odszedł chmurny prędzéj niż myślał do żony, która go podobno przysłała dla wybadania wrażenia jakie jéj koterya zrobiła na przybyłym, a Stanisław osmutniał, sparł się na łokciu i pół nocy przedumał usnąć nie mogąc.

—Mój Boże, rzekł klejąc nareszcie powieki, czy świat w istocie tak wart mało, czy tylko ja tak nieszczęśliwy jestem, że natrafiam zawsze wejrzeniem na najgorsze strony jego?

I wolał siebie obwinić w końcu, niżeli drugich potępić.

Gdy się to dzieje w Wilnie, a Szarski powraca do dawnego życia trybu, na wsi pozostałe pani Brzeźniakowa i Marylka, po wyjeździe jego smutne, długie pędziły godziny. Rozpłakała się Marylka wsiadłszy do powozu w Krasnobrodzie, i matka łzy jéj widziała nie śmiejąc o nie zapytać, ale gdy się płacz coraz częstszym stawał, gdy smutek coraz cięższy począł okrywać jéj czoło, gdy czas zamiast

goić ranę jeszcze ją powiększał, niespokojna matka pośpieszyła do sędzinéj.

Upatrzyła chwilę, by się z nią sam na sam spotkać, a gdy obie w kąciku zasiadły, z westchnieniem poczęła dawno przygotowaną rozmowę.

— A, moja droga, odezwała się do przyjaciółki, wielkiéj ci się biédy mam wyspowiadać!

— No! no! cóż to takiego, moje serce! (Byle tylko nie po pieniądze przyjechała! dodała w duchu sędzina troskliwa o swoje zbiory— źlem się jéj wygadała, że grosz mamy w zapasie!)

— Bieda, moja kochana! Marylka mi choruje, smutnieje...

— Możeby doktora, Lusiński bardzo dobry doktor.

— A! gdzie tam! co on jéj pomoże! wiém ja co jéj takiego!

— Cóż to? zmiłuj się? śmieléj przysiadając się zapytała staruszka.

— Ot! zakochała się biédaczka!

— A! co ty mówisz! doprawdy! łamiąc ręce krzyknęła sędzina, ciszéj żeby moja Mania nie posłyszała...

— Tak jest! tak jest! Twój Staś głowę jéj przewrócił.

— Ale się chyba mylisz! On! on! zlituj się! gdzież to do niego podobne!

— On nic temu nie winien...

— No, a jakże się to stać mogło?

— Marylka go sobie podobała... Nie wiem sama co począć! on widzę ani dba o nią, a ta mi schnie za nim i choruje... Powiém ci moja droga, po staremu, otwarcie, Marylka niezła partya, będzie miała ze mnie i z ojca sto kilkadziesiąt tysięcy, jest za co ręce zaczepić

— Sto kilkadziesiąt! piękny grosz!

— I remanenta! moja droga!

Staruszka pokiwała głową. Lepszéj partyi nie chciałabym dla Stasia... możeby napisać do niego?.. Ja z duszy jestem za tém, ty nie od tego, to się skojarzyć powinno...

Tak w prostocie ducha, po staroświecku pojmowała to sędzina, ale pani Brzeźniakowa lepiéj świat znając i ludzi, uśmiéchnęła się boleśnie na jéj słowa.

— Moja droga, odpowiedziała z cicha, na co się to zdało... jeśli on dla niéj nie będzie mieć serca?

— A czemużby serca nie miał? odparła sędzina z podziwieniem naiwnem, dziéwcze śliczne, edukacya dobra, dom uczciwy, bo to Brzeźniakowie nawet się z Sapiehami pokumali! posażek szlachecki...

— Cóż poczniesz jeśli jéj nie kocha?

— Ale jakżeby nie miał kochać proszę ciebie? czemuby nie kochał? cóż? ślepy czy szalony?

— Moja droga, teraz świat taki, i wdzięk i młodość im nie starczą .. nie dość im tego! chcą ja-

kiejś sympatyi... chcą... licho ich tam wié czego? ja stara nie rozumiem?

Sędzina ruszyła ramionami.

—At! głupstwo rybeńko, rzekła— niech no ja go tu sprowadzę, powiem mu, głowę natrę, to ich pożenim, dalipan pożenim.

—A! dajże mi pokój, nie o takie ożenienie mi chodzi— odparła Brzeźniakowa... ale żeby ją pokochał... potém reszta już nie trudna... sama się zrobi. Ale tyle czasu byli z sobą, a prawie na nią nie spójrzał!

—Jakże bo ty chcesz, żeby pokazał? godzinami z sobą nagadać się nie mogli.

—Tak i wyjechał słowa nie powiedziawszy.

—Nieśmiały rybeńko! Ściągniemy go nazad!

—Nie! nie! tego nie chcę, sama pojadę do Wilna z Marylką, mam tam krewnych, będziemy go widywali, kto wié może Bóg się zlituje nad mojém dziecięciem. O złote to serce! o dusza anielska, ale Bóg mnie skarał żem jéj książkę dała w rękę— nauczyło się marzyć, serce się rozkołysało i przywiązała właśnie do tego, który jéj kochać nie może!

Sędzina ruszyła znowu ramionami, zdejmując okulary dla pokrycia ruchu tego.

—Bóg widzi serce moje, że ja ciebie nie rozumiem. Jakto? kochać nie może? I ty bo jakieś romanse masz w głowie, kiedy tu najprościéj można-

by sobie dać radę. Sciągnąć go z Wilna, zrobić zaręczyny, pobłogosławić i kwita.

— Dobrze, rzekła uśmiéchając się boleśnie pani Brzeźniakowa, ale niech to będzie środek ostatni, a ja jutro wyjadę do Wilna... Siłą, moja droga, takie się rzeczy nie robią.

W kilka dni potém, w istocie matka z córką ruszyły w drogę ku Wilnu, pod pozorem odwiedzenia krewnych i starych znajomych; Marylka rozweseliła się nieco ujrzawszy mury odwiecznego grodu i wieżyce jego kościołów.

Ale przybywszy tu, długo musiała pani Brzeźniakowa szukać sposobu, by do Stanisława się zbliżyć; nigdzie go spotkać nie mogły, wreszcie matka musiała pod pozorem listu od sędzinéj do syna i nowin z Krasnobrodu, wezwać do siebie Szarskiego.

Marylka ani myślała ukrywać swojéj radości na widok tak pożądanego jéj gościa — ale ani drżenia jéj dłoni, ani blasku oczów, ani uczucia przebijającego się w głowie, nie zdawał się postrzegać Stanisław. Uśmiéchnął się do Marylki, bo ją zastał tylko samą, usiadł przy niéj i rozpoczął żywo rozpytywać ją o swoich, o siostry, o matkę. Dziéwczę patrzało nań, patrzało jak w tęczę, i tak się nasycało tém długiém wpatrywaniem po ciężkiéj rozłące, jakby nim nigdy dosyć nakarmić nie mo-

gło — i nic, nic, nawet wzrok jéj łzawy nie budził ze snu tego ku któremu biło tęskne serce Marylki.

Weselszy trochę niż zwykle, swobodniejszy, żartował, a każde słowo jego tak było dla niéj bolesne, tak przekonywało o obojętności!! Jeszcze w nią wierzyć nie chciała; zdało się jéj że siła tego przywiązania, które było i czyste jak miłość anioła i potężne jak młodzieńcza miłość, wkradnie się do zastygłego serca, ożywi je, roznieci iskrę i zbliży do piersi, która od niego wołała życia!

Kiedy byli razem, myślała czasem że go już potrafi poruszyć, że go poruszyła... zdawało się jéj że dójrzała blasku w jego oczach, że dosłyszała w głosie cóś drżącego; ale po chwili przelotnego rozbudzenia, powracał do dawnéj nieczułości i zdrętwienia.

Spotykali się w domu pani Brzeźniakowéj, która rożnemi sposobami wabiła Stanisława nie okazując mu tego wyraźnie; w kilku domach do których ona go wprowadziła umyślnie i gdzie sama często bywała, na przechadzkach, w mieście, ale nic nie okazywało, żeby Szarski pomyślał o nich, zapragnął widzieć, zbliżyć się, spoufalić. Marylka rumieniąc się szła przeciwko niemu cała drżąca, witając go z tak wyraźném uczuciem, że nieraz przerażona matka łamała ręce, obawiając się, by w oczach ludzi nie skompromitowała się przywiązaniem swojém; ale poczciwe dziewcze tak się zapominało, że świat cały dla

niej był niczém, a oczy obcych, i sąd obcych obojętnym. Codzień rosła ta miłość, a w miarę jéj, nieczułość Szarskiego widoczniejszą się coraz stawała. Nie przeradzała się ona w rozpacz, nie zdradzała jękiem i łkaniem, ale co chwila silniejszą stając, groźną już była dla matki.

Nie wiedziała co począć, czy zostawić rzeczy jak były i zamieszkać w Wilnie, w nadziei, że Stanisław przejrzy nareście i poczuje jakie szczęście doń się zbliża; czy powracać na wieś, by oderwać od niego Marylkę i probować ją uleczyć. Matka z córką nigdy jeszcze nie mówiły o tém; pomiędzy niemi panowała ta serdeczna sympatya, która sprawia że mowa staje się niemal niepotrzebną i zbyteczną. Czuła Marya że ją matka rozumie, nie kryła się przed nią z niczém; wiedziała matka, że ona także pojmuje co serce jéj czyni dla dziecięcia — ale żadne dotąd słowo nie przerwało dobrowolnego z obu stron milczenia.

Ze łzami tylko kryły się obie i płakiwały po kątach, myśląc, że ten wytrysk boleści przed sobą utają.

Stanisław wciąż był jednakim, a obojętność jego dochodziła do tego stopnia, że czasem zasiadywał się uparcie w domu i trudno go było wyciągnąć od książek, a pani Brzeźniakowa potrzebowała całéj strategii kobiecéj, żeby go skłonić do wyjścia, tak aby się nie postrzegł, że umyślnie go wyciągano. Od

czasu przybycia do Wilna, po długim spoczynku, Staś zagrzebał się całkiem w pracy, zakopał w swéj izdebce, a że żył duchem tylko i myślami, że do nich zasoby z ksiąg czerpać musiał, bo żywy świat był dlań strawą niesmaczną — coraz namiętniej przywiązywał się do zimnych kart z których ssał życie i pokarm swéj duszy. Z tego zamiłowania powstała nieuchronna manija książkowa, na którój kończą zawsze zawzięci, nałogowi pracownicy; pokochał nie tylko te księgi którym był winien pokarm codzienny, ale wszystko co się księgą zwało... Jak pan Benedykt Pleśniak nieznacznie wpadł w antykwaryuszowstwo, w bibliomaniją prawie; a że naówczas w Wilnie, dzięki kilku żydkom którzy wiedli handel książkowy, łatwo było tej namiętności dogodzić za małe pieniądze, za Lelewelowskie nawet ceny, Szarski począł biblioteczkę, badania jakieś starożytnéj literatury, i utonął w szpargałach. Stworzył tém sobie życie sztuczne, na którém jak na wódce pijacy kończą ci, co potrzebują zajęcia dla umysłu i serca, a do ludzi się po nie odwołać nie chcą, wyziąbłszy dla nich na zawsze. A! ma i serce udział w tej suchéj sprawie, i ono bije na widok zżółkłego pargaminu, na którém leży piętno przeszłości, jak dawniéj biło może do uśmiechnionéj twarzy dziewczęcia! Manija ta staje się wkońcu namiętnością, szałem, gorączką... tak Goethe siwiejąc zbierał

kruszce i kamienie. Stanisław jednak nie był zbieraczem bez celu i idei, ale przedsięwziął pracę, może aby się sam usprawiedliwił przed sobą, a do niéj gromadził co tylko mógł i jak mógł. Śmieszne to może, ale zaprawdę nie bezużyteczne zajęcie szperacza; ten tylko wié kto pracował, jak zbliżenie rozpierzchłych rysów, bodaj drobnych, może wielką zbudować całość; niespodziane światła tryskają z tych zetknień często trafunkowych, a zbiór materyałów jest już dzieła połową.

Utonąwszy w pracy do któréj samo przygotowanie ogromnych wymagało zasobów, Stanisław uczuł się szczęśliwszym, spokojniejszym, zobaczył cel jakiś przed sobą, ale zarazem z tą metamorfozą która z poety zrobiła go badaczem; smutek, po lekarsku mówiąc, będący chorobą zapalną, stał się, powiedzieć można chroniczną, przeszedł w wiekuistą tęsknotę zrosłą z naturą jego i życiem.

Czasem jeszcze zapalało się oko, pierś zadrżała, gdy nagle rozjaśnił mu się horyzont badania; ale wnet znużony szukając spoczynku, twarz przyoblekał smutkiem, i wzdychał silniéj jeszcze przywalony przeszłością. A! tak pusty! tak pusty był mu świat, taka głucha cisza zalegała daleki życia gościniec!

Towarzystwo Bazylewicza, jego żony i ich konfraterni, wcale nie przystawało do jego serca; byli

to ludzie sztuczni, inni po wierzchu, a inni we środku, cali na pokaz, na wystawę, na oszukaństwo, a on nie skłamał nigdy ni słowem, ni wejrzeniem, ni ruchem. Wśród tych istot pełnych przesady musiał się wydawać blado, nikło, zatarto, jak postać odmalowana barwami naturalnemi wśród krzyczącego kolorytem obrazu. Nie przyznano mu też ani zdolności, ani zapału i sądzono jako istotę chłodną, niedaleko widzącą, a nawet nieuka, bo nigdy się nie przyznał że wiedział to o czém wyobrażenia nie miał i szczerze spowiadał się z błędów i omyłek.

Tak tedy wlokło się to życie wpół zakopane w księgach, na pół oddane dumaniu, którego cząstka tylko maleńka szła na łup ludziom i towarzystwu. Pani Brzeźniakowa, któréj oka nic nie uchodziło, widziała go codzień starszym, zimniejszym, więcéj opanowanym tęsknotą, bardziéj oderwanym od świata i truchlała patrząc na postępy téj choroby. Było to w istocie jakby chorobą jakąś — Stanisław zamyślał się coraz dziwniéj, coraz mniéj widział co się w koło niego działo, coraz mniéj czuł, coraz rzadziéj dawał się wywieść z tego stanu odrętwienia; często przyszedłszy siadł w krześle, zapatrzył się na ścianę, spuścił głowę i tak milczący przetrwał bez ruchu godzinę. Marylka budziła go słowem, śpiewem, uśmiechem, piosenką; odwracał oczy, westchnął a gdy się zdawał wzruszony, gdy rumieńce jak dwa liście

róży przyklejone do policzków zakwitły... brał za kapelusz i uciekał.

Rzekłbyś że obawiał się już bicia serca i wszelkich następstw jego, że się sam odciągał siłą woli potężnej, od punktu, którego dójść nie chciał. Coraz nawet rzadziéj usta otwierał o rzeczach obojętnych, a te dawniéj ogniste wykrzyki co mu się z piersi wyrywały jak potoki wiosenne... zamilkły na zawsze...

I twarz też młodzieńca nosiła piętno zmiany któréj uległ cały— wyniszczał, wysechł, wyżółkł, zgarbił się, zestarzał; oko miało na sobie powłokę która ani do duszy jego zajrzeć, ani jéj wyjrzeć na świat nie dozwalała, usta zapomniały uśmiechu młodego i ochoczego; a łza, łza co jeszcze czucie i boleść poświadcza, już nigdy nie zwilżała mu źrenicy.

Doktor Brant, którego do siebie umyślnie podobno ściągnęła pani Brzeźniakowa, zobaczywszy go u niéj, rozczulił się na widok starego znajomego, i zapomniawszy wszelkiéj urazy, z uczucia litości, znowu się przywiązał do Stanisława.

Szarski uczuł się na chwilę wzruszonym temi oznakami przyjaźni poczciwego starca, ale gdy Brant usiłował po swojemu zająć się jego moralną kuracyą, uparcie się jéj bronił. Napróżno doktor to go na przejadżki namawiał, to go w świat prowadził, to bawił, to rozśmieszał, to mu naciągał natrętów, nic

to nie pomagało, Szarski wymykał się, wykręcał, uciekał, i lekarstwo poskutkować nie mogło.

— To się źle skończyć może, rzekł nareście Brant po cichu do Brzeźniakowéj, zażywając ogromnie tabakę; — choroba już się wpiła w duszę, a gdzie dusza zajęta, tam ciało sobie rady nie da... na głos jéj, jak na dźwięk trąb Jerycho, gród upaść musi.... To pani! to pani! W tym chłopcu nie ciało dotąd, ale dusza raniona, serce skancerowane.

— A! doktorze, ratuj go, jeśli można! ratuj na miłość Bożą!

— Gdybym mógł! ale jak ratować, gdy się kto co dzień sam truje... Bóg... czas... oto środki jedyne... ja tylko patrzeć muszę i wzdychać z wami.

Szczęściem słów tych złowrogich nikt oprócz wdowy nie słyszał, a ta dobrze się po nich upłakała w ciemnym kątku; postanawiając nareście córkę odciągnąć i na wieś powrócić.

Ale na piérwsze rzeczone o tém słowo, Marylka zawiesiła się na szyi matki i zawołała.

— Matuniu! droga! mateczko! ja jechać nie mogę!

— Dziecko moje, ty musisz, tyś powinna.

— Muszę, powinnam, ale nie mogę bo umrę...

Przestraszona gwałtownością tych słów wyrzeczonych z niezmierną uczucia siłą, matka zamilkła.

— Marylko, mówmy szczerze dziecię moje... ja

cię chcę ratować, odezwała się łzy połykając... ty kochasz Szarskiego, a ta miłość życie ci struje.

— Tak! ja to czuję... ale... kochać go muszę... to los mój, to przeznaczenie...

— Wyjedziem, wypłaczesz się, wytęsknisz i musisz o nim zapomnieć.

— I umrę! i umrę! matuniu kochana, krzyknęło dziewcze padając jéj do nóg — zostaw mnie tutaj... ja nic więcéj nie pragnę, tylko go czasem zobaczyć.

— Ale on ciebie nie kocha! on cię kochać nie może.

— Ja wiém! ja to czuję! sto razy powtarzałam to sobie daremnie, ale go kochać muszę... zawsze... zawsze do śmierci.

Pani Brzeźniakowéj zdawało się że ostatniém heroiczném lekarstwem na to obłąkanie, być może historya Sary, o któréj dowiedziała się od doktora Brant'a; zebrała się więc na odwagę, aby ją całą opowiedzieć Maryi.

Marylka słuchała z zaognionemi oczyma, z piersią wezbraną westchnieniami, z ciekawością dziecięcia zaglądającego w przepaść, a wkońcu we łzy się rozlała.

— On ją dotąd jeszcze kocha, dodała matka odważnie.

— On ją kocha! powtórzyła Marylka... wiém, i nigdy kochać mnie nie będzie, ale cóż poradzić ser-

cu mojemu! Nie matko! ja go żałuję, ja go kocham mimo wszystko! porzucić go nad siły moje...

— Odjedźmy więc choć na czas jakiś, powrócim późniéj.

Marya, nie mogąc już wyrzec słowa, padła jéj do nóg, ale jéj płacz tak był wymówny, żal jéj tak przejmujący, że biedna matka, nie śmiała się sprzeciwiać jéj, i uledz musiała.

Dość długi przeciąg czasu upłynął prawie bez zmiany, żaden ważniejszy nie przerwał go wypadek, nic na pozór nie zmięszało zwyczajnego porządku, a jednak dla obcych, dla świeżych oczu, historya ta którą opowiadamy, prosta, prawdziwa i niebogata w fakta bo nie obmyślana dla zabawki, zbliżała się widocznie do końca. — Stanisław gorączkową pracą, wyczerpywał się, schnął, zabijał.

Tuż Marya często dnie całe przesiadywała samotna w okienku, w oczekiwaniu, i całe tygodnie cierpiała samotna by potém skradzioną godzinę obok obojętnego przepędzić; — i więdła także powoli, jak kwiat podgryziony przez niewidomego robaka. Ani matka ani ona nic już nie mówiły więcéj; życie się włokło tym trybem jak poczęło. Stanisław tylko coraz rzadziéj a rzadziéj przychodził, a najczęściéj powiernik wdowy, doktor Brant, musiał go do niéj gwał-

tem prawie ze szlafroka od książek i pióra wyciągać, wiodąc w różne miejsca gdzie Marylkę spotkać mogli. Zdawało się na przekor wszystkiemu, że im dłużéj trwała ta znajomość tém Szarski bojaźliwiéj się ku nim zbliżał witał zimno, zmięszany, odchodził obojętny, z pośpiechem, a Marylki rozmowa często przebrzmiała próżno, niedoszedłszy ani ucha ani serca...

O! smutny to był widok tego przywiązania tak szczerego, téj miłości tak czystéj i pełnéj poświęcenia, a obok chłodnéj, nieszczęśliwéj istoty, co już czuć nie mogła czy nie chciała, która odszedłszy od pracy nałogowéj, jak wytrzeźwiony pijak opium, traciła władzę i drętwiała w spoczynku. Jakiego tam było potrzeba serca, jakiéj siły nad sobą, by wytrwać odpychanéj, by się nie zrazić, by nie dać ozwać się głośniéj ani dumie, ani miłości własnéj, ani pragnieniom młodości!

Marł powoli Stanisław, a z tych ostatków życia jego korzystali ludzie, dla których obojętném jest cierpienie, byle jedwabnik umierając uprządł im kłębek jedwabiu. Pisma Szarskiego w których schroniło się całe życie, cały zapał, cała siła nie wyżyta, chwytał Bazylewicz, zabierali księgarze i jak pędzącéj wodzie narzucają młyny, tartaki i machiny by je obracała, tak jemu nadawano prace aby je w téj gorączce pragnącéj zajęcia, obrabiał. Stanisław był

już powolny i robił co mu kazano, byle tylko pracować.

Każdy przedmiot w téj duszy zogniskowanéj w sobie, zamkniętéj we wnętrzach, a silnéj jeszcze bo nie zmarnowanéj żywotem, przybierał rozmiary wielkie, poważne i stawał się pod ręką jego utworem nowym, silnym, zdrowym, w którym czuć było krew krążącą i bijące pulsa życia. Najmniejsza drobnostka, jedno często słowo budziło w nim szereg idei, ćmy marzeń, których tłumy wywołane zjawiały się jak słowem czarnoksiężnika w ludzi przemienione kamienie... i szły, ciągnęły się, snuły pasmem nieskończoném.

Zdumiewać się nareście poczęli téj władzy jednoczenia ze światem idei najobojętniejsi, którzy sądząc pisarza z człowieka, nigdy nie domniemywali się w nim ognia, zapału i tego bogactwa myśli. Bazylewicz chwytał urywki i zapychał niemi Polyhistora; większe rzeczy drukowano osobno, a że Stanisław mało czytał krytyki a mniéj jeszcze na nią zważał, posuwał się drogą własną nie postrzegając nawet jakie robił wrażenie i wywoływał krzyki.

Wśród żmudnego zajęcia, jedyną zabawką były stare księgi, któremi istotnie bawił się jak dziecię, oddając za nie co tylko miał do ostatniéj sukni. Śmiano się zrazu, lecz gdy począł tłómaczyć co widział w suchym szpargale, wszyscy go uniewinnić

musieli. Często Bazylewicz rzucał go zrana i zastawał nocą nad foliantem, który en począwszy czytać, nie wstrzymał się aż pożarł cały. Zimny i zaschły kronikarz wywoływał dlań całą epokę; z ponizanych jak paciórki na sznurek faktów, z martwych kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy żywota pełne. A gdy po długiém czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jéj było w zmianie jakiéj przechodząc przez duszę jego uległa. Stara to i wielka prawda, że każdy w miarę siebie wyczyta na książki karcie; dla jednego ona jest obrazem barw i światłości pełnym, dla innych pomięszanych gruzów stosem.— Stanisław czytając, tworzył.

Kilka razy z domu zajmowanego przez Bazylewiczów wynieść się chciał Szarski i doktor go ztamtąd wyciągał, widząc, że tu zamiast hamować go w pracy zabijającéj, korzystają z niéj tylko; ale literackie małżeństwo pod różnemi pozorami niedopuszczało Stanisławowi odmienić mieszkania; wreście namnożyło mu się jakoś książek, a w miarę wzrostu ich liczby, nieporządek, w którym rozrzucone były, pomnażał się i Szarski nabierał wstrętu do przenoszenia się gdzieindziéj, któreby mu pracę przerwać musiało i zamęt sprowadziło nierozwikłany. Ciężko mu było ruszyć się z usłanego raz gniazda.

Tak stały rzeczy, gdy raz professor Hippolit, który oddawna jakoś zapomniał o biednym poecie, wpadł

do jego izdebki i zastawszy go na ziemi wśród foliantów, wybladłego, żółtego, z wypieczonym rumieńcem, z rozczochranym na skroni łysiejącéj włosem, osłupiał na ten widok.

— Poeto! na Boga, co ci jest? Albożto tobie pług ten ciągnąć? albożeś wołem do jarzma stworzonym? tyś przecie skowronkiem co śpiewa oraczom, chwyciłeś się nie swojéj rzeczy!

Szarski podniósł powoli nawykłą do schylenia głowę.

— To lekarstwo! — rzekł cicho — lekarstwo!

— Jakie lekarstwo?

— Na wyżycie się...

— Gdzieżeś się ty wyżył? śmiéj się z tego! urojenie! Ubieraj się i chodź... obudzę cię jednèm słowem... Sara przyjechała!

Na to urocze, czarodziejskie imie, Stanisław zapłonił się, zachwiał, ale pochwycił na nogi i jakby nagle wszystkie siły odzyskał, rzucił się ku professorowi.

— Ty szydzisz! ty żartujesz, niegodziwy!

— Ale nie! nie! stokroć nie! Sara przyjechała i jeśli widok niegodnéj ciebie zalotnicy, co zapomniawszy chwilowéj miłostki szaleje po świecie, gdy ty tak głupio schniesz dla niéj, ma ci przydać się na co... dziś jeszcze zobaczyć ją możesz.

Stanisław zmienił się w oka mgnieniu, przygasła

już namiętność wzięła nad nim górę i opanowała go znowu, ożył, począł, rozrzucając księgi, odtrącając papiery, szukać sukni, chwytał, puszczał z rąk co złapał, śmiał się, płakał, ale żył przecie! Usta jego powtarzały machinalnie zapłakanym oczom.

— Sara przyjechała! Sara przyjechała!

Hippolit spoglądał na niego w podziwieniu milczącém, nie umiejąc sobie zdać sprawy z wrażenia, jakie słowa jego zrobiły; w uśmiechu jego było trochę politowania. Staś już się odział i nie czekając na przewodnika swego, nie pytając nawet gdzie ma szukać téj, któréj imie z odrętwiałości go obudziło, wyleciał, drzwi roztwarte zostawując za sobą. Professor próżno wołał, chciał zawrócić, musiał sam pozamykać, oddać klucz i odejść zasmucony; w ulicy śladu już Stanisława nie znalazł.

Sam on nie wiedział dokąd biegł z tą myślą, że Sarę znowu zobaczy; zdawało mu się, że z nią przeszłość jego powróciła, że nowe zaświtało życie. Machinalnie nogi go powiodły na ulicę Niemiecką, i ani się w początku opamiętać mógł, gdy wśród pochodu wstrzymał go głos pani Brzeźniakowéj, pytający dokąd tak leci?

Nie spostrzegł on ani jéj, ani Marylki, choć się z niemi twarz w twarz spotkał; kobiéty poglądały nań zdumione tą niezwyczajną jego żywością.

— Co to jest? dokąd pan tak śpieszysz?

— Ja? dokąd? — powtórzył Szarski — a! prawdziwie.. sam nie wiem... wyszedłem tak.. wyjąknął rumieniąc się i nie umiejąc przyznać — na przechadzkę! czułem potrzebę powietrza i ruchu!

— Idź-że pan, idź, żyj, oddychaj! — zawołała uradowana tą odpowiedzią Marylka — a potém, potém przyjdź i nas pocieszyć widokiem swego zmartwychwstania.

Ostatnie tylko jéj słowo uderzyło o ucho Szarskiego, który spójrzał na Maryą, podał jéj rękę z niewysłowioném tajemniczém jakiémś uczuciem, uśmiechnął się smutnie i znów pobiegł daléj.

Długo dwie kobiéty oglądały się za nim, nie mogąc pojąć co tak nagłą i dziwną zrządziło zmianę w człowieku, który dotąd ledwie się wlókł, ledwie ospałém okiem spoglądał przed siebie. Twarz jego rozogniona, płomieniejąca, postawa wyprostowana, oczy pełne jakiejś żądzy razem i łzawe boleścią, znamionowały jakby odrodzenie się duszy.

— A! Boże! niechże ci będą dzięki! — westchnęła Marya — tyś się zlitował nademną i wysłuchał modlitwy — on powraca do życia...

I łza szczęścia, za którą wkrótce inne pobiedz miały, spłynęła po twarzy Maryi.

Stanisław już był daleko, ale szał jakiś nierozważny wiódł biednym; imie Sary obudziło w nim szereg umarłych wspomnień aż do ostatniego.. zdało

mu się że taż sama, ta którą znał niegdyś, którą porzucił dzieweczką, stanie przed nim na tym progu, u którego ją pożegnał.

Biegł wprost do kamienicy Białostockiego, na strych aż, do swojej niegdyś izdebki, i opamiętał się dopiéro, gdy otwarłszy drzwi jéj ledwie przymknięte, ujrzał się w pustce...

Okno było wybite do szczętu i wiatr tylko ostatkiem ramy połamanéj poruszał powoli, podłoga przysuta starą kurzawą, ściany poopadałe, a przez dach znać sączyła się długo woda, która wilgotne, czarne po sobie pozostawiała plamy. Powietrze przesiękłe było stęchlizną, zbutwieniem, ruiną... Ten widok dopiéro go otrzeźwił—stanął, obejrzał się, ochłódł i sparłszy o drzwi pozostał tak niemy, pytając sam siebie co tu robił, po co przyszedł, czego się mógł tu spodziewać?

Powoli odczarowany, z myślą kirem tego opuszczenia powleczoną, zszedł ze wschodów i znalazł się znowu w gwarnéj a brudnéj uliczce.

Powietrze bijąc mu w twarz chłodem i wilgocią, otrzeźwiało go powoli, ale nogi chwiały się pod nim po tym szalonym biegu, po niezwykłym wysiłku duszy i ciała, który nagle zmógł go do ostatka. Z zapaleńca uczuł się chorym, biednym, przytomnym już człowiekiem, tak, że po rozwadze spytać się postanowił żyda o mieszkanie niemieckich aktorów.

Całe podówczas wiedziało o nich miasto, bo przybycie ich było dla Wilna wypadkiem, i niedługo szukać potrzebował na Niemieckiéj ulicy faktora o którego łatwo wszędzie.

— A kogo pan chce? o kogo pan pyta?— począł usłużny żydek biegnąc już przodem — trupa stoi u Icka, pan wie... u Icka Weinstocka. A może do Smaragdiny? nu! to co innego! mieszka osobno... dla niéj wynajmowali pokoje! gwałt!

— Prowadź mnie do niéj! — znowu szalejąc rzekł Stanisław żywo— prowadź mnie do niéj.

Żydek biegnący przodem ledwie mógł podołać podwojonéj znów niecierpliwości Szarskiego, lecącego jak się zdrowo i przytomnie lecieć nie może.

Wpadli oba do zajezdnego domu jakiegoś, na wschody. Szarski nie pytając o nic otworzył drzwi wskazane i cały wrzący wbiegł do pokoju.

Była to salka dość schludnie jak na izbę gościnną przystrojona i wytworna, z trzema na ulicę oknami... Zachodzące w téj chwili za dżdżyste obłoki słońce wpadając oknem od balkonu, część jéj jaskrawo oświecało, a w półcieniu przezroczystym ujrzał Stanisław ideał swój na wpół siedzący, wpół spoczywający na sofie.

Śliczneż to, śliczne było zjawisko! bo nawet wśród tego zaniedbania i spoczynku, artystka pamiętała by być piękną; wdzięcznie spadała jéj blado lila sukien-

ka z nóg wyciągniętych na sofie, na których rozwieszona była jak draperya greckiego posągu, ręka jedna półkolem zginała się nad głową spoczywającą na poduszce karmazynowéj, odsłaniając śliczną szyję i część popiersia cudnych kształtów i śnieżnéj białości.

Padając dopiéro u nóg czarodziejki, Szarski postrzegł że nie była samą.

Na tejże sofie, w drugim jéj końcu siedział z podkręconemi po turecku nogami, młody, bardzo przystojny, słusznego wzrostu, barczysty i jak Antinous zbudowany mężczyzna, w czerkieskiém ubraniu, z cygarem w ustach.

Twarz jego była widocznie słowiańską, strój, postać, blond włosy, niebieskie oczy łagodne a obojętne, pół uśmiech dobrotliwie szyderski, tak wyraźnie mówiły o pochodzeniu, że roztargniony nawet Stanisław poznał w nim Rossyanina. Z miny widać było dobrze wychowanego człowieka, miał bowiem w sobie cóś wdzięcznego i wdzięczącego się, co ludzi klassy arystokratycznéj cechuje wszędzie; w oku wiele dowcipu, w ustach trochę sarkazmu, ale zarazem wiele serdecznéj dobroci.

Na widok wlatującego zapaleńca, Sara nie zmięszała się, nie zapłoniła, nie krzyknęła, ale w głos tylko, sucho, jasno, zimno rozśmiała się dziwnym dźwiękiem.

— A to on! — zawołała wskazując nań ręką księciu — to mój poeta!

Książe wstał grzecznie i z uśmiechem podał białą swą rękę, ale Szarski cofnął się od niéj i obłąkanym wzrokiem powiódł po obojgu.

— No! powitajże się z księciem, dodała aktorka — a! to tak dobry, tak dobry człowiek... czego pan jak wilk na nas spoglądasz... Bądź grzeczny proszę, siadaj, ochłoń, oprzytomnij.

Staś mowy téj jeszcze zrozumieć nie mógł.

— Co to jest? któż to jest? — spytał jąkając się i szukając krzesła o któreby się mógł oprzeć, bo drżał cały.

— To książe R.... mój przyjaciel — mój protektor! mój kochanek, jeśli chcesz żebym mówiła szczérze — odparła Sara głosem, w którym chwilami coś osobliwszym boleści drżało wyrazem.

Dopiéro teraz, gdy oczy w nią gniewne, pełne rozpaczy i wymówek wlepił Szarski, postrzegł jakie w niéj zaszły zmiany, jak się ta istota przeistoczyła znowu... A! straszliwie była bo zmienioną! cudniéj piękną, ale już nie kapłanką sztuki, raczéj bachantką zimną i roztrzepaną, z zastygłém sercem, płonącą głową... Boleść nie dała mu z pod tych osłon zimnych dójrzeć czucia, które jak dziecina w kolébce zarzuconéj pokryciem śnieżném, drgało i poruszało się wpół senne...

— Podajże rękę księciu! — rozkazująco rzekła Sara. Szarski zadrżał, ale dłoń wyciągnął i spotkał serdeczny uścisk księcia, który śmiejąc się usiadł na swojém miejscu...

— To poeta, zaśpiewała aktorka — o którym mówiłam księciu dojeżdżając do Wilna — poeta, który stworzył Sarę.

— Piękny poemat! — rzekł książe R*.

— Poeta, z któregośmy się razem śmieli, dodała Sara — a za którego stałość i serce ręczyłam niegodna!

Dziwny był stan Szarskiego, który słuchał téj mowy jakby gromu i burzy, nie pojmując jéj wcale; miotał się, uspokajał, porywała go odraza, chęć zemsty, gniew; to znowu twarz ta ku niemu zwrócona, przypominająca przeszłość niepowrótną, twarz, któréj sam widok był szczęściem, od któréj blasku bał się zostać wygnanym — wstrzymywała porywy rozjątrzenia, spadlała go na niewolnika zaprzedającego się z głodu.

Na twarzy nieszczęśliwego najdziwniejsze przelatywały uczucia jedne po drugich, wiły się, mieniały, walczyły, aż wreszcie przyszedł do rodzaju zdrętwienia, słów już nie słysząc i nic nie widząc prócz téj twarzy, w którą się osłupiałemi wpatrywał oczyma.

Książe uśmiechał się w początku, ale ta siła na-

miętności, ten wyraz oblicza strawionego długiém cierpieniem, ożywionego połyskiem nadziei, przejęły go do duszy. Spójrzał na Sarę szczebioczącą może dla pokrycia wzruszenia, strzęsnął popiół z cygara i poszedł do okna, z przykrém widocznie wrażeniem.

— Powiedz-że mu choć słowo od serca, jeśli masz serce, rzekł pańskim tonem i głosem, w którym przebijała się niemal pogarda — ten człowiek kona dla ciebie...

— Książe byś powinien brać przykład z niego, odparła aktorka po cichu, starając się przebłagać wejrzeniem pięknego blondyna i wabiąc go źrenicą.

— Ja! zapewne! — szydersko mruknął książe — bądź spokojna! nie głupim stawić życie na serce kobiéty, nie! nie! Wiesz dobrze, że moja miłość inaczéj wygląda; miłość to próżniacza, książęca, kapryśna, dziś milion płacąca za to, co jutro za grosz ma sprzedać... Gdybym miał w sobie to wielkie i piękne uczucie, którém ten człowiek goreje, użyłbym go na co innego.

— Oko anioła, a pierś kamienna! — odezwała się Sara, nie zdając się zważać już na Szarskiego, z wymówką i westchnieniem.

— Może mnie któś sprawiedliwy użył za narzędzie zemsty... za niego!

Na te słowa błysnęło tylko jakimś przelotnym płomykiem oko Sary, ale tłumiąc uczucie, zamilkła

ścinając usta. Książe spoglądał na Szarskiego i zwolna przechodził się po salonie. Ten jak padł tak siedział nieprzytomny, a łzy mu ciekły po twarzy... upijał się widokiem Sary.

Aktorka rzuciła nań niekiedy czarną źrenicą, ale to już nie było owe głębokie, silne, porywające spojrzenie dziewczęcia, był to wzrok wyuczonéj zalotnicy, więcéj obiecującéj, niż dotrzymać może.

Po chwili Książe R*. nie mogąc wytrzymać widoku tego męczeństwa, chmurny wyszedł do drugiego pokoju.

—Słuchaj Stanisławie, rzekła budząc go dotknięciem ręki Sara, sucho, zimno, chłodno—opamiętaj się, przyjdź do siebie, proszę... miéj rozum! tyś zawsze jeszcze dziecko... o! mój Boże!

—Tak, dziecko! wielkie dziecko!—odpowiedział Szarski powoli.

—Ależ czas wyrosnąć z tego, dodała Izraelitka—o mój Boże, widzisz jak mnie to męczy... dosyć mam dramatów na teatrze! Mówmy chłodno, mówmy rozumnie.. możesz mi zaszkodzić swojém szaleństwem! Słuchaj!—dodała z niecierpliwością prawie—Sara nie jest tém czém była, zapomnij o dawnéj Sarze, wiek i życie odmienia, nowe się coraz budzą żądze, nowe pragnienia i potrzeby. Kapłanka poezyi i piękności nie może znieść nędzy i niedostatku... ja potrzebuję zbytku, pieniędzy, złota... i swobody, która

się za nie kupuje. Ja kocham wszystko co piękne i co mnie piękną czyni, potrzebuję darów i dani całego świata na moje rozkazy... ja muszę żyć w tych złotych ramach, bez których nie pojmuję życia... muszę być panią i sypać złoto do koła. Życie w nędzy, w wyrobnictwie, w trosce o jutro, nie dla mnie... musiałam skosztować bogactwa i mam je nareszcie... Sprzedałam się.. wszyscy się sprzedają!

—Nie wszyscy!—zawołał wstając Stanisław—nie wszyscy, ani ja, ani nikt z tych co w sobie nie zabili serca, nie dadzą się kupić za marzenie zbytku...

I chciał skończyć przekleństwem, ale wzrok Sary, przenikający, ognisty, przybił go, przykuł do miejsca i zamknął mu usta.

—Ja się gniewać na ciebie nie mogę, odpowiedziała powolnie—przyjmę co powiesz, zaboleję może, ale zniosę wszystko... jestem zaprzedaną, jestem kupną kochanką tego człowieka.. prawda! ale tę sprzedaż podłą uszlachetnia cóś Stanisławie—na jego widok serce mi bije! ja go kocham! ja go kocham!

Nie wiem z pewnością, czy wymawiając te słowa aktorka miała na myśli, że książe podsłuchiwać ją może pode drzwiami, ale to pewna, że uczucie swe prawdziwe czy odegrane, wyrażała z zapałem przejmującym.

Stanisław chwycił się za piersi, chciał cóś odpo-

wiedzieć; Sara spójrzała nań nakazując milczenie, i tak mówiła daléj:

— Wiém, że on mnie nie kocha i kochać nie może; ja się tém dręczę, żem dla niego zabawką, ale to tak dobrze, tak miło, choć omamieniem kupić sobie szczęścia chwilę! Ja się łudzę, uwodzę, ale na niego patrzę, ale go trzymam przy sobie. Chciałżebyś przez zemstę, przez to uczucie źwierzęcia i dzikiego barbarzyńcy, popsuć mi jasne dni moje?

— A! dni jasne za tobą, rzekł odzyskując myśl i głos Szarski — szukaj ich w twojéj młodości, wówczas gdyś dzbanek, w który może łza spadła, niosła na strych biednemu sierocie... to były jasne dni twoje!

— Piękne to dni były, cicho szepnęła Izraelitka— ale nam ich nie powrócić. — Każdy wiek ma swoję szczęścia godzinę, a każdy inną; tamto było szczęściem dziewczęcia, to pragnieniem kobiéty.

— Ale biada temu, przerwał Szarski — biada temu zaślepiona! co dziecinném szczęściem wyżyć nie umie, sięgając po coraz inne... zajdzie tak aż do kałuży.

— I napije się w niéj, z ponurym uśmiechem dodała Sara.

Zamilkli oboje... Książe wszedł świszcząc na salę z ogromnym psem duńskim, który szalejąc wesoło podskakiwał do wzniesionéj jego ręki; bawił się

z nim najspokojniéj, i śmiał głośno, nie rzuciwszy nawet okiem na Sarę.

— Widzisz go, odezwała się aktorka — jak z tym psem bawi się ze mną, nic więcéj... i kocha mnie tyle co swego duńczyka... miałżebyś mi i téj odrobiny szczęścia zazdrościć.

— Cóż mi każesz robić? — spytał Szarski — odejść, nie pokazywać się.

— Po co? dla czego? — przerwał książe przystępując z wesołą twarzą — a cóż my sobie szkodzić i przeszkadzać możemy? Pan jesteś przeszłością Sary, o któréj wiedzieć musiałem — co innego gdybyś przyszłością mi groził; ale przeszłość nigdy nie wraca... kochana Smaragdino, nadto już znasz mnie mało, i zbyt się obawiasz...

Stanisław rzucił się ku niemu z wdzięcznością w oku i bijącém sercem.

— Więc mi pozwalasz patrzeć na nią? i nie wypędzisz mnie!

— Ale mój drogi panie, odparł książe ruszając ramionami — nie przypisuj-że mi dziwnéj jakiéjś zazdrości, któraby mnie śmiesznym tylko czyniła... Któż zazdrosnym być może?...

Tylko co nie dodał:

— O aktorkę któréj płaci..

Ale wychowanie i grzeczność do któréj przywykł,

nie dozwoliły mu dokończyć myśli obraźliwéj dla niéj i dołożył powolnie:

— Któż zazdrosnym być może — o dzień wczorajszy!!

Sara westchnęła.

Szarski uścisnął rękę śmiejącego się Księcia R*. z wdzięcznością, która w nim politowanie wzbudziła — trząsł się cały, łzy jeszcze biegły mu z oczu, pobiegł do kątka, siadł osłoniony mrokiem i ztamtąd w ciszy począł patrzeć znowu na wcielone wspomnienie lat szczęśliwszych...

Sara leżała wciąż, ale chmurna i podrażniona, niekiedy na księcia co się ze psem swoim bawił, to na Stasia rzucała wzrokiem, jakby porównywając ich z sobą, i Bóg jeden wié jakie tam myśli krążyły po téj głowie, tak pięknemi patrzącéj oczyma. Wieczor nadszedł, a Szarski z miejsca się nie ruszał; podano herbatę, na którą ze szczególną grzecznością musem prawie i siłą, książe wyprowadził Szarskiego z ciemnego zakątka. Sara się jakoś rozweseliła, ale czy przez złą rachubę, czy żeby do reszty zrazić Stanisława, przedmiotem jéj szyderskiéj rozmowy była ciągle przeszłość, którą wyciągała na plac, by ją policzkować ironią i śmiechem. Wszystko! wszystko! aż do czystego dzbanka wody roztłukła przed oczyma Stanisława, depcząc, gniotąc, walając z zajadłością rozpaczy.

Szarski wybiegł nareszcie od niéj zrozpaczony, rzucił się na ubogie łóżko swoje i poprzysiągł że więcéj jéj nie zobaczy, że do niéj już nie wróci!

Piękną jest krew, gdy z rany płynie wstęgą purpurową... piękną gdy wytryska brocząc ziemię swą barwą ognia i żywota... ale z nią ubiega życie, ale by ją widzieć potrzeba rozedrzéć żyły i utoczyć ze źródła siły... Tak piękną jak ta krwi struga była pieśń rozpaczy, którą wyśpiewał poeta po powrócie do domu, zamknięty w swéj cichéj celi, zaledwie wiedząc co czyni; ale gdy w głowie jego i piersi gorączkowemi łzy szarpanéj, brzękła téj pieśni nuta ostatnia... z nią całe lata przebrzmiały i wyczerpało się życie.

Tymczasem na drugim końcu miasta, Marya, powróciwszy z matką do domu, biegała plaskając w dłonie i ciesząc się jak dziécię, że tak żywym, tak zdrowym, tak innym widziała Stanisława. Na matce ta jéj radość przykre robiła wrażenie; dla niéj cóś strasznego było w tém nagłém zmartwychwstaniu trupa, była pewna katastrofy, zawodu, boleści nowéj i niespodzianéj. Ale pragnąca dusza tak łatwo chwyta się lada jakiego pozoru! Marya marzyła uzdrowienie, szczęście, pokój niezmęcony!

— Mamo droga, mówiła, ty wszystko widzisz zbyt czarno i straszno; on wyzdrowieje, to było

chorobą tylko, dźwignie go młodość wszechmocna, serce uderzy znowu, widziałaś jak mu oczy jaśniały, jak się do mnie uśmiéchnął przy rozstaniu!

— Ale był-że on przytomny?

— A! tak był piękny! odparła Marya naiwnie— takie z niego pałało natchnienie!

Wdowa spuściła głowę i umilkła.

Jakby na umyślnie los przyniósł tam doktora Branta, a Marylka piérwsza pośpieszyła do niego z wesołą nowiną.

— Wiész, kochany doktorze, zaszczebiotała wesoło— nasz drogi chory jest już na drodze uzdrowienia, widziałyśmy go tak ożywionego, tak niemal wesołego jak nigdy, idącego tak szybkim krokiem, z wyjaśnionemi oczyma, z uśmiechem na ustach.

— A! nie pochlebiaj sobie pani napróżno, odparł stary ponuro— to cóś widziała zabić go tylko może!

Marya stanęła słupem i ręce jéj opadły.

— Doktorze, na Boga! zawołała— bądź ostróżnym...

— Tak! lepiéj może, powoli i potrosze ją męczyć, kłuć szpilkami! ofuknął się stary lekarz niemal gniewnie, tu nie ma co taić i malować. Widziałyście go panie wesołym, a jakże nim być nie miał! Tylkom co spotkał profesora Hippolita, który mu piérwszy doniósł o przyjeździe dawnéj je-

go kochanki Sary, dziś aktorki... Chłopiec po prostu oszalał i wyleciał do niéj jak zwaryowany!

Marya pobladła trochę i usiadła osuwając się na krzesło, ale nie rzekła słowa, usta jéj ścięły się jakimś niezrozumiałym uśmiéchem, który nakazała dziéwicza skromność i wstyd niewieści; ale źle biédna kłamała! Chciała udać obojętność, nikt przecie na téj źle i łzawo odegranéj nie oszukał się komedyi.

Doktor spójrzał i pożałował że przed chwilą nie miał litości, ale już było zapóźno; matka zadrżała, nie chcąc okazać że się zlękła, a dziécko dla niéj podwajając siły, wstało na pozór uspokojone.

— Nie macie tu państwo co robić odezwał się w końcu Brant,— jedźcie już sobie lepiéj na wieś, powietrze tutejsze wam nie służy, życie to miejskie nie dla was.

Takiemi radami zamknął krótkie odwiedziny swoje, i nazajutrz pani Brzeźniakowa poczęła się istotnie wybiérać w drogę, ale Marya tak była zdrętwiona, tak przybita, tak widocznie przywiedziona do nieméj i groźnéj rozpaczy, że matka zalawszy się łzami, musiała mimo jéj posłuszeństwa i milczenia myśl swoję rzucić i znowu wyjazd odłożyć.

Tegoż dnia, Marya wieczorem przyszła łasząc

się do niéj, i piérwszy raz żądając rozrywki. Zachciało się jéj teatru, a matka biédna zapomniawszy o Sarze, chwyciła się z radością jéj życzenia jak oznaki szczęśliwéj.

Pojechały więc na teatr, a pani Brzeźniakowa pomimo swéj przenikliwości macierzyńskiéj, nie dostrzegła, że Marya na tę zabawę wlokła się wcale do niéj nie usposobiona, z gorączkową tylko niecierpliwością jakąś śpiesząc do teatru.

Trudno już było dostać biletu do loży, tak na tych nadzwyczajnych przedstawieniach ścisk był wielki; a dnia tego podwójnie się jeszcze zebrali ciekawi, bo sławna Smaragdina występować miała w polskiéj sztuce po raz piérwszy. Teatr był cały zapchany, i przy największém staraniu, wdowa ledwie sobie i córce miejsce w loży państwa Ciemięgów uprosić mogła.

Marya usiadła tak, żeby nie była widzianą, ale oko jéj wprost pobiegło na scenę i zdawało się wcześnie przebijać kortynę, sięgać poza nią, wywołując tę, która ją obchodziła jak życie Stanisława. Chciała odkryć tajemnicę, którą ta kobiéta usidliła go, przekonać się sama o wielkości niebezpieczeństwa i liczyła chwile niespokojna, z bijącém sercem... z pałającą twarzą. Matka dopiéro teraz spostrzegła to zaprzątnienie, ale go jeszcze zrozumiéć nie mogła, prawie się niém radując.

Rozpoczęto jakąś farsą, Smaragdina nie rychło ukazać się miała na scenie, Marya siedziała jak przykuta, wyglądając, prędko się li ukaże, ta co jéj życie zabrała.

Nie spostrzegła nawet w dole za orkiestrą siedzącego Stanisława, którego cały teatr palcami sobie wskazując, wziął za cel śmiechu i urągowiska. Szarski nie wiedział o tém i o niczém co się w koło niego działo; on także wyglądał, czekał tylko ukazania się Smaragdiny.

W rozrzuconéj sukni, z włosem w nieładzie, z obliczem napiętnowaném namiętnością, która opanowała wszystkie myśli jego, siedział poeta biédny sparty na łokciu, w postawie, która na piérwszy rzut oka zdawać się mogła wymuszoną przesadną, tak była nie naturalnie swobodną.

Ludzkie oczy, gwar, mowa, wszystko co go otaczało, nie liczyło mu się za nic, żył w sobie i czekał Sary.

Marya i on gorąco zwrócili oczy, gdy się kurtyna podniosła, ale Sara nie wystąpiła w piérwszéj sztuce i po długim dość wstępie, po dłuższym antrakcie, zasłona znowu do góry dźwignięta, odkryła czarodziejkę w całym blasku uroczéj piękności podniesionéj sztuką.

Sara tego wieczora miała jednę z tych roli po-

spolitych teatralnych kochanek, którą tylko prawdziwie wielka artystka dźwignąć może grą umiejętną, nadając jéj życie nowe. Było to zadanie trudne, niepodobne prawie, bo typ ten, wystereotypowany we wszystkich sztukach, tak jest oklepany, powszedni, tak starty, że jak z starego łachmana nic już zeń zrobić nie można; ale ta kobiéta od piérwszego kroku, od piérwszego ust otwarcia, tyle wlała w swą niewdzięczną rolę życia, ognia, siły, oryginalności, że widzowie w uniesieniu autora i sztuki poznać nie mogli; rzecz stała się nową przez świeże jéj pojęcie, nową przez potężne wcielenie. Charakter roli namiętny, czuły, pełen poświęcenia i najwznioślejszych uczuć, byłby się wydawał przesadzonym, gdyby umiejętność artystki nie uczyniła go naturalnym. Wiedziała Sara, że co w ustach jednego jest przesadą, w drugich będzie żywą naturą; obliczem więc swojém, postawą, ruchem, dźwiękiem głosu i stopniowaniem niezrównaném tak rolę swą prawdziwą uczyniła, iż w niéj wydała się cudną!

Biedna Marya jednocząc w myśli swéj aktorkę i kobiétę, dziwną omyłką naiwności nie mogła ich rozdzielić i pokochała tę, która tylko wzięła na się chwilową maskę ideału, tak się jéj zdała piękną i wielką.

— A! nie dziwuję się, że ją kocha, mówiła w duszy— to ideał! Któż przy niéj wydać mu się może

godnym wejrzenia? myśmy tak zimne, tak nudne, tak nieznośne istoty!

I łzy kręciły się w jéj oku, zwijały się nie mogąc spłynąć po twarzy, wracały do ściśniętego serca.

Serce to biło przekonaniem że Szarski na wieki pozostać musi w więzach Sary — i rozdzierało się cichą rozpaczą. Szczęściem dla niéj, wrażenie jakie widocznie robiła Sara na Maryi, przypisywano saméj sztuce, grze, teatrowi i nikt się nie domyślił obok dramatu zmyślonego, łez nie kłamanych, gorzkich łez pokrywanego cierpienia. Matka jeszcze się cieszyła rozrywką!

O kilka kroków od téj loży, w któréj boleśniejszy niż na scenie odegrywał się dramat, siedział książe R*. sam jeden, lornetując swoję Sarę i powtarzając w duchu

— A! gdyby ona tą była, którą tak doskonale kłamie!

Poniżéj znowu Szarski patrzał na aktorkę i w téj roli widząc jakby przypomnienie dawnéj swéj miłości, dawnego jéj uczucia, poił się nią i zatruwał. Sara tak była wielką artystką, tak prawdziwą i przejętą, że i on oddzielić już nie umiał aktorki od kobiéty; i wczorajsza zdawała mu się fałszywą, a dzisiejsza jedyną żywą i istotną...

— To być nie może, powtarzał — żeby się ona

tak zmieniła strasźliwie!— Ona udaje, ona jest aniołem!! Natura ludzka nie potrafiła uledz takiemu przeistoczeniu... gdzież podziałoby się serce? gdzie pamięć? To była próba! to było udanie!

Nareszcie zasłona zapadła na scenę ostatnią, odegraną z podwojeniem talentu i rozdziérającą uczuciem gorącém; oklaski jak grzmot zahuczały tysiączne, wywołano Sarę... a Szarski odurzony, nic w tém wszystkiém nie widząc prócz swego losu, wybiegł uprzedzając powrót aktorki, prosto do jéj mieszkania. W drodze minął go powóz unoszący zesłabłą i na wpół omdlałą Maryą, a w bramie zajazdu o mało nie rozbiła landara księcia, który ze swą Smaragdiną powracał do domu.

U stopni wschodów jak żebrak stał pokornie czekając na nich Szarski; ujrzawszy go Sara krzyknęła zdziwiona i zniecierpliwiona, książe się tylko uśmiechnął.

—Nie prawda, rzekł, że cudną była w dzisiejszéj swéj roli?

— Bo była sobą, odparł Szarski— taką jaką w głębi jest jéj dusza!

—Dziwne widzę, poeto, masz pojęcie o sile mojéj, przerwała aktorka— byłożby sztuką pokazać tylko co we mnie? O! jam właśnie wartą była oklasków, bo szyderstwo śmiało się w mojém łonie, gdy odegrywałam rozpacz...

—Nie masz litości! rzekł Szarski... ale ja tego nie słucham, ale ja temu nie wierzę!

—Zawsze dziecko! szepnęła izraelitka wchodząc do sali i rzucając się na sofę zmęczona... A postrzegłszy że Szarski usiadł zaraz naprzeciw niéj, nieukontentowana ruszyła ramionami.

—Oszalał! powiedziała tak żeby ją mógł posłyszéć.

Książe tymczasem chodził po salonie gospodarując z krwią zimną, i była długa, długa chwila milczenia. Nareszcie, korzystając z oddalenia się protektora, Sara powstała i żywo zbliżyła się do Stanisława.

—Co pan tu robisz znowu? zawołała gorąco i niespokojnie— muszęż ci jeszcze raz powtórzyć, że wszystko się skończyło? że potrzeba się rozstać i zapomnieć na zawsze? Idź! idź! nie zatruwaj sobie życia, jam ciebie niewarta!.. ty mi przeszkadzasz, dodała zatrzymując się.

—A! zlituj się! zlituj! składając ręce przed nią wyjąknął nieszczęśliwy— chcesz chyba żebym umarł na ulicy patrząc w okna twoje. . Nie wypędzaj mnie! nie wypędzaj, ja nic mówić n'e będę, ja ci w niczém nie przeszkodzę!

—Ale książe...

—Książe tak dobry... on nie jest zazdrośnym.

— On lubi swobodę...

Czy Smaragdina znów grała rolę jaką, czy była tylko sobą i najszczérszym swej myśli wyrazem— nie wiém, ale cóś w jéj oku przelatywało jakby uczucie, cóś w ustach jakby żal drgało. Zdawało się że odpychała go umyślnie, jak gdyby czuła że uścisk jéj skalany jest i zatruty, że się nie godzi zapłacić nim za szczérą, za poczciwą miłość poety.

— Ha, pójdę więc, pójdę, rzekł Szarski— muszę... I chciał odchodzić i wahał się, spoglądał, szedł i powracał, tak rzucić mu ją było ciężko. Wtém nadbiegł książe.

— A cóż to? pan odchodzić myślisz, rzekł żywo do niego— tyś bo nielitościwa Smaragdino— odezwał się zwracając ku niéj z wymówką; dajże mi się pocieszyć widokiem jedynego szczérego, stałego choć nieszczęśliwego przywiązania, które mnie może ze światem pogodzić...

Ale Sara wciąż niecierpliwe powtarzała Stanisławowi znaki, aby odszedł, i posłuszny niewolnik, choć go tu jéj oczy przykuły, mimo próśb i nalegań księcia, musiał wysunąć się biédny...

Jakiś czas stał jeszcze naprzeciw kamienicy patrząc w jéj oświecone okna, myślał że go kto za-

woła, że będzie mógł powrócić, że cud jakiś stanie się dla jego męczarni... ale wkrótce światła poczęły gasnąć w oknach, lampka tylko zaświeciła daleko gdzieś w ostatniém, cisza nocy ogarnęła miasto — Szarski poleciał do domu.

Nazajutrz, doktor Brant zastał go zrana ubranego jak był w teatrze, siedzącego w krześle od wczora, ale z silną jakąś gorączką, którą wrażenie i przeziębienie nocne wywołały.

— Co ci jest? spytał wchodząc— Bazylewicze dali mi znać, że jesteś chory.

— Ja chory? zdziwiony odparł Stanisław pokaszlując— ale nie! zdrów jestem, nic mnie nie boli, głowa tylko ciężka, bom nie spał...

— Daj no puls! bo w pulsie odzywa się i mówi wszystko, czasem nawet dusza; świadkiem owa historya, którą dla medyków sztychują, wiesz?

To mówiąc wziął jego rękę i pokiwał głową

— Masz trochę głupiéj jakiejś gorączki, rzekł, połóż no się w łóżko i uspokój.

Stanisław rozśmiał się.

— Kochany doktorze, począł z cicha, sam to wiesz najlepiéj, że duszy wykurować niepodobna; nie dasz już rady ze mną, choroba moja nie ze krwi pocho-

dzi, nie z chłodu, nie z jadła, nie z powietrza, ale z cierpienia... Powoli wrzątek rozgotował naczynie i garnek rozsypać się musi.

— Mógłbyś silniejszą wolą ten war ochłodzić, rzekł Brant, i sam się uleczyć.

— Nie, to darmo, probowałem i nie mogłem, a w téj chwili życie mi się już taką wydaje lichotą, że nie chciałbym schylić się po nie, gdyby sto lat leżało zgubionych na ziemi.

— I ty to mówisz, zawołał lekarz, ty! cóś tak zdrowo pojmował obowiązki człowieka! i nie wstydże ci tego?

— Siły się wyczerpały, odwagi braknie, niemoc duszy mnie zabija. Cóż ci to szkodzi, że sobie umrę po cichu, dodał błagająco prawie. Czy wolałbyś widzieć mnie żyjącym długo i cierpiącym męczarnie, pasującym się z życiem tylko... Na co ci to, doktorze?

— Bom pewien, że ochłonąwszy z resztek młodości, pojąłbyś życie inaczéj i przestał jęczéć. Do łóżka mi zaraz! do łóżka!

— Ciało — ale duszy nie położysz doktorze, rzekł Szarski wzdychając.

— Kto to wié! odparł Brant zażywając tabaki — kto to wié!

Szarskiego tak już zmogła choroba, tak był bez-

władny, że doktora usłuchał i padł na łoże machinalnie, powodując się jego rozkazom.

Gorączka coraz się wzmagała, Brant poczynał być niespokojniejszym co chwila — milczał i zamyślał się.

W chwili jednak, kiedy zdawało się, że choroba powinna była wybuchnąć najsilniej, opadła, a lekarz widząc go usypiającego, powziął jakąś nadzieję, choć zrozumieć nie mógł, jak się to i dla czego stało. Powodem może było, że oddawna nie widując Stanisława, nie badał zbliska jego stanu, nie wiedział, że to nie był właściwie choroby początek, ale koniec jéj może, wybuch, który rozwinienie jéj przyśpieszył. W chwili więc kiedy lekarz oczekiwał silnéj słabości, chory na pozór zaczął się mieć lepiéj i nazajutrz wstał do pracy.

Do pracy! tak! to było jego jedyne lekarstwo!

Wybladły, drżący, zesłabły, ujął znów ręką bezsilną księgi porzucone przed kilką dniami, dziś znowu potrzebne, dziś znowu ostatnie z przyjaciół. Brakło mu oddechu, władzy w nogach, i chęci do życia nawet, ale miał jeszcze siłę ducha, którą probował przemódz cierpienie serca. Napróżno! utrapiona myśl, że Sara jest blizko, że widzieć ją może, że z jéj oczu pićby mógł jeszcze słodką truciznę, kręciła się do koła jak upar-

ta osa, którėj odpędzić nie można. Wstrzymywał się, ale panować sobie nie potrafił. Mrokiem, gdy nikt go widzieć nie mógł, ciągnął znów pod okna tego nieszczęsnego domu, i zapatrując się w świécące szyby, marł powoli dumając o Sarze, którėj cień niekiedy przemknął mu się na zasłonach...

Potrzebujeż powieść ta prosta epilogu?

A! wolałbym żeby ją słuchacz w swéj duszy dośpiéwał... Każdyby tu zapewne dorobił zakończenie usposobieniu swemu odpowiednie i radby był kompozycyi własnéj, gdy niestety! pewien jestem, że epilog mój nikogo nie zaspokoi, a nielitościwy krytyk powie, żem znużony powieścią, uciął jéj głowę jednym zamachem, żeby się pozbyć z przed siebie.

Trudno to wszakże na końcu długiéj, wspólnéj przechadzki, porzucić tak, choćby tylko jednego sympatycznego czytelnika, który wytrwał do kresu; trzeba go zaspokoić i zakończyć według wszelkich prawideł.

Położenie, któreśmy skreślili w ostatnich rozdziałach powieści, trwało jeszcze dosyć długo; nic się w nim prawie nie zmieniło. Sara była zawsze niepojętą istotą, w którėj słowach chłód, to głębokie jakieś odzywało się naprzemian uczucie. Na

nieszczęście Stanisława, zatrzymała się w Wilnie na długo, a nareszcie zamówiona do trupy miejscowéj na kilka dalszych miesięcy, niewiadomemi nam wstrzymana tu powodami, nie myślała już wyjeżdżać do Berlina, dokąd ją powoływano. Książe R*. pozostał wierny urokowi jaki nań wywierała; a Stanisław odpychany zimnemi słowy, włóczył się za nią, gonił ją zdaleka, żebrząc spójrzenia, nasycając się kradzionym czarodziejki widokiem. Ostatni grosz jego zabierał teatr, z którego nie wychodził, ostatnie chwile pożerała ulica, w któréj musiał szukać przemykającéj się Sary. A namiętność ta dziwna, przeistaczając się niemal w chorobę, niszczyć go nieprzestawała z szybkością, z jaką słabość każda pożéra młode istoty.

Starszy cierpi dłużéj i powolniéj; wiek wiosenny chwyta, połyka i kończy wszystko prędzéj, śmiertelna boleść długo mu nie dolega, bo go zabija do razu. Wkrótce więc i praca, którą Stanisław się leczył i miłość która zabijała, uczyniły zeń widmo ledwie iskrę życia w sobie mające. Brant chciał go od obójga oderwać, ale napróżno wysilał się na środki— sposobu nie było. Stanisław dogorywał, sechł, kaszlał, i wypalał się jak ostatek lampy, któréj rozdwojony knot, resztę oleju wysysa kopcącym płomieniem.

A Marya? Marya nie miała także siły oddalić

się, usunąć, wyleczyć, i matka nie zdobyła się na odwagę, by ją gwałtem odciągnąć. Tak smutnemi łzy płacząc patrzały obie na niknące nadzieje, na zbliżanie się chwili, co je na zawsze pochłonąć miała. Coraz rzadzéj widać było Stanisława, a stan jego wzbudzał litość obcych nawet, tak się w nim malowała rozpacz już w osłupienie jakieś przeszła, i zupełna dla życia obojętność.

Przychodził on jeszcze czasami do pani Brzeźniakowej, którą chłodno rozpytywał o Krasnobród, o matkę, o krewnych — do Maryi, z którą na chwilkę ożywił się w rozmowie niekiedy, ale każde takie wzruszenie było dlań chorobą, wzmagało kaszel, budziło gorączkę, wywoływało uczucia przyśpieszające bieg krwi, któréj żar go wypalał. Brant patrzał i łamał ręce w milczeniu. Chciano go wywieźć na wieś w rodzinne strony, ale pokiwał głową i sucho rzekł:

— Nie potrzeba.

Chciano go namówić na leki, uśmiéchnął się i odparł.

— Wiém co myślicie, dajcie mi pokój! z tego nic nie będzie.

Ledwie jakoś przyjaciel domu, ze zbliżającą się wiosną, widząc powiększające się dla chorego niebezpieczeństwo w powietrzu i wyziewach miasta,

a chcąc go razem może od Sary oddalić i rodzajem spisku i z tysiącznemi podstępy wymógł na Stanisławie, żeby się wyniósł do wiejskiego domku położonego nie daleko tak zwanego Betleem, w gaju i miłéj, jak wszystkie okolice Wilna, ustroni. Domek ten a raczéj skromna chatka, staraniem przyjaciół najęta i narzucona Szarskiemu, składała się ze trzech izdebek i sionki, a stała na piasczystym wzgórku u podnoża okolonym drzewami, z którego przez ich wierzchołki widać było część wielkiego pejzażu zakończonego murami starego grodu. Dworek ten, najmowany zwykle dla chorych, lub na czas jakiś chcących się usunąć od zgiełku, był jednym z pięciu czy sześciu podobnych należących do jakiegoś spekulanta, rachującego na villegiaturę urzędników i professorów. Obok niego różnych rozmiarów były drugi, trzeci i czwarty podobne; w jednym z nich, w najbliższym umieściła się pani Brzeźniakowa, na gwałtowne Maryi nalegania przystając po długiém wahaniu.

— Co ludzie pomyślą! co ludzie powiedzą! wołała biédna matka ulegając żądaniu córki.

— Że go kocham, że chcę być przy nim i pielęgnować go... odparła odważnie Marya. Mniejsza o złośliwość ludzką!..

I tak prosiła i tak płakała, że matki obawy przemogła.

Brant musiał się, nie bez wielkich trudności zająć przeniesieniem Szarskiego, którego książki i papiery przetransportowano na nowe mieszkanie, rozrzucając je w tym samym porządku, w jakim leżały w kamienicy którą wprzód zajmował. Dano mu służącego staruszka, wybranego przez doktora, powolnego a roztropnego człowieka, który już nie jednemu choremu zamknął oczy i zwykle do słabych był brany; urządzono mile dla oka izdebki, a stół najęto niby w jednym z bliższych traktyerów, ale w istocie noszono jedzenie od pani Brzeźniakowej. To nowe pomieszkanie, na pół wiejskie, ciche, od gwaru dalekie, a wesołe widokiem który się z okien roztaczał, doskonale wybraném było. Stanisław zdawał się w niém zapominać o Sarze, o mieście i oddychał świeższém powietrzem zieleni z jakąś roskoszą i odzyskanym spokojem. Odrywał się nawet od pracy w początku, by wyjrzeć na świat, na drzewo i kwiaty, na niebo i pochodzić z myślami swemi po uliczce która była jego własnością. Składała się ona z sosen, leszczyny i kilku świrków i brzozek, wśród wykarczowanego zostawionych lasu. Obok, tylko przez płotek lekki zarzucony z poprzybijanych łat sosnowych, był drugi ogródek podobny, należący do Maryi, podobna jéj uliczka, i drzewa z pod których cienia poglądać mogła na swego chorego... ale widok ten zakrwawiał jéj duszę.

Codzień powolniej przechadzał się młody poeta, codzień głowa jego spuszczała się na pierś bezsilniéj, a oczy codzień mniéj na świat patrzały. Z uliczki Maryi widać było aż w okna i wnętrze izdebki w któréj pracował Stanisław, i często godziny całe poglądała nań Marya jak z księgą na kolanach lub piórem w ręku przedumał nieporuszony... nieobrachowane wieki.

Ciągnęło się to przez maj, przez część czerwca, aż w końcu tego miesiąca już Stanisław przestał wychodzić w uliczkę i ledwie mógł z krzesła wywlec się do okna, by pociągnąć trochę powietrza balsamiczną wonią drzew przejętego. Poczciwy Brant przyjeżdżał codzień, ale utraciwszy już nadzieję ocalenia go, napisał tylko do Płachy do Jasiniec, aby ostrożnie rodzinie Szarskiego oznajmił, że zbliża się ostatnia biednego męczennika godzina.

Taż sama to choroba, na którą umierającego widział Karolka, miała porwać ze świata młodzieńca; suchoty już się w nim były rozwinęły i doszły do tego stopnia, w którym płomienia ich już sztuka ugasić nie umie. Wpadły mu oczy, pierś wklęsła, spaliły się usta rumiane, wycięte plamy ceglaste wystąpiły na policzki, a krótkiéj mowie, często brakło oddechu. W tym stanie praca dobijała go jeszcze, a rzucić jéj nie umiał, nie mógł. Zdawało się, że gorączka ciała wpływała tylko na podniesienie gorącz-

ki myśli, i Stanisław w ostatnich chwilach nakréślił jeszcze dramat pełen niesłychanego ognia i siły, konając już prawie. Począł potém poemat fantastyczny z tych wieków mistycznych, w których ludzie pierwotni byli istotnie olbrzymami uczuć, ale na ten śpiew już mu tchu zabrakło; — struny lutni pękały po jednéj, i jęcząc boleśnie.

Wieczorami jeszcze, gdy go opanowała gorączka trawiąca, marzył że dośpiewa pieśni, że drugą jeszcze zasnuje nićmi złotemi, że oddając się pracy, boleść serca uczyni płodną dzieły wielkiemi... ale rano, po nocnych marzeniach już pióra utrzymać nie mógł, już dyktując po cichu, kaszlał, krwią brocząc chustkę i odetchnąć nie potrafił bez żywych boleści.

Z Krasnobrodu mimo wezwania nikt nie przybywał; — tam zajęci byli weselem Mani, zasiewem wiosennym, a Wilno tak się im zdawało daleko, a choroba tak przesadzona, a śmierć tak niepodobna! Stanisław więc osamotniony, rzucony na łup boleści, cierpiał, niemając nikogo nawet coby nań spójrzał z litością. Stary Brant płakał po cichu, ale mu godzin nie chciał zatruwać politowaniem i odwracał myśl od cierpienia niezręczną czasem rubasznością. Rzadko pani Brzeźniakowa, rzadziéj jeszcze Marya przychodziły go nawiedzić, ale gdy stan jego pogorszać się zaczął, Marylka wytrzymać nie mogła, niewiedząc co się z nim dzieje, i na nic już nie zważa-

jąc — poczęła godziny całe spędzać w jego domku, pomimo łez i przestróg matki.

Czytywała mu dla rozrywki, bawiła go łagodną rozmową, wesołemi pół słówkami nawet, bo heroizm podnosił się aż do ofiary własnego smutku, aż do udawania wesela, choć każdy uśmiech gorzko opłakała w kątku.

Czy się Stanisław nie poznał na tém sercu z takiém poświęceniem bijącem dla niego, czy tego co czuł okazać nie chciał — nie wiém, ale łza nieraz ukradkiem wymknęła mu się z pod powieki i począł spozierać na Maryą z wdzięcznością i zajęciem, a jak dziecie do piastunki, przywykłszy do jéj starań, tęsknił po niéj niespokojny... gdy w godzinie umówionéj szelestu jéj sukienki nie słyszał. Ona go tak dobrze rozumiała! jéj serce tak zgodnie biło z sercem jego! Ale na miłość, na miłość — już było zapóźno, bo śmierć się zbliżała.

Na smutek czy na pociechę nieszczęśliwéj Maryi, u zachodu życia prawie, zmieniać się tak począł Stanisław, z nieczułego stając się coraz rzewniéj przywiązanym, coraz serdeczniejszym dla niéj. Zdawało się że całkiem zapomniał o Sarze, że ją pokochał jak siostrę i więcéj może niż siostrę.

Pani Brzeźniakowa łamała ręce.

— A! czyż wszystko zawcześnie lub zapóźno przy-

chodzić musi na świecie— wołała z cicha— czyż niéma środka ratunku?

A Brant kiwając zwolna głową odpowiadał:

— Niéma ratunku! cudu na to potrzeba!...

Sara tymczasem bawiła w Wilnie i zbierała obfite okłasków żniwo. Stanisław zniknął jéj z oczów i nie zdawała się zrazu zwracać na to uwagi; ale któż pojmie serce? kto zrozumie taką niewiastę jak ona?... Niepokój chwytał ją czasem gwałtowny, i raz pobiegła jak Stanisław obejrzeć tę izdebkę na strychu, gdzie się ich miłość zrodziła, klęczała na progu jéj spłakana, bo pustka tego zimnego poddasza, była jakby przepowiednią pustki przyszłego jéj życia!

Musiała wiedzieć co się z Szarskim działo, bo gdy się coraz gorzéj mieć począł, wpadła raz zakwefiona do Branta i przestraszyła go wprost biegnąc do jego krzesła i chwytając za rękę.

— Doktorze, zawołała— powiedz mi co się z nim dzieje? a mów prawdę, nieoszczędzając mnie.

Brant wyrwał rękę i odskoczył od niéj ze wzgardą, któréj nie taił, wskazał na drzwi w milczeniu.

Izraelitka rozśmiała się boleśnie, okropnie, i zasłoniła oczy.

— Słuchaj, zawołała przerywanym głosem— ty jeden przecie wiedzieć musisz że nie jestem potworą!

Widziałeś co się działo ze mną! jak los miotał i kalał nieszczęśliwą! Chciałżeś, żebym mu się oddała, niegodną się czując téj czystéj miłości, bym złote skarby jego zapłaciła mu miedzią zardzawiałą? Nie! nie! tegom uczynić nie mogła! na to oszukaństwo wzdrygało się serce moje! Ja go kocham! ja szaleję z boleści, jam umyślnie wiozła za sobą kochanka, by go od siebie odstręczyć, by do mnie przystąpić i skalać się nie mógł, by stał jak widmo pomiędzy nami.

— Kobiéto! aleś ty go zabiła! zakrzyknął doktor.

— Zabiła! powtórzyła ręce łamiąc Sara — jam go zabiła!

— On kona, on umiera z twojej przyczyny...

— Umiera! tymże dziwnym głosem powtórzyła Izraelitka.

— Umrze! zawołał doktor, dziś, jutro, nie wiem kiedy, ale śmierć wisi nad nim niechybna...

Kobiéta spuściła głowę jak skazany na ścięcie.

— I ja umrę, rzekła po cichu, i ja umrę!

Po chwili podniosła głowę i spytała.

— Ale gdzież on jest? co się z nim dzieje? wywieźliście go na wieś? Kto z nim jest? Jest pewnie ta... ta...

— Jest, szybko przerwał doktor chcąc niemiłą skończyć rozmowę — i on ją kocha, ale ta miłość prędszy mu dziś tylko grób otworzy...

— On ją kocha? nie! on jéj nie kocha! przerwała Sara — on kochać nie może ..

Brant ruszył ramionami.

— Nie chcę go widzieć, mruknęła Sara, nie chcę mu zatruwać chwil ostatnich, niech mu upłyną tak słodko jak te których ja wspomnienie w sercu noszę... ale na Boga, doktorze, raz tylko jeszcze, ukradkiem, gdybym choć spójrzeć nań mogła, choć wzrokiem zdala przeżegnać!

Brant rzucił się oburzony.

— A to już ohydne samolubstwo! zakrzyknął — nie dosyć ci ofiary kobieto, chcesz jeszcze widzieć ją jak kona!

Łzy błysnęły na oczach Sary, zamilkła, zawahała się i wyszła nie mówiąc słowa.

A w dworku na przedmieściu dogorywał już poeta; konanie jego było całe poezyą, i śpiewem. Dziewictwo duszy z którém umierał, podniesienie ducha które wyrobiła boleść, czyniły zeń istotę prawie nadziemską. Chwilami był wieszczem natchnionym, a słuchającym słów które ze spalonych ust się jego wyrywały, dreszcz przelatywał po skórze. Z upadkiem ciała, władze duszy spotęgowały się w nim nad zakresy ludziom zwykłe; — widział jak we śnie magnetycznym przyszłość, ludzkość, świat, dzieje — a w człowieku czytał jak w otwartéj księdze. Ten stan pobudzenia trwał przerywany tylko krótkiemi

snami, lekkiemi jak obłoczek na niebie i spoczynkiem dumań pełnym Bazylewicz, księgarze częstemi bywali gośćmi w ubogim domku, chwytając z pod rąk umierającego pieśni jego i słowa, którym ceny dodawała jeszcze może niezwyczajność położenia i rozgłoszona choroba z cierpienia ciężkiego pochodząca. Tak mało ludzi z miłości umiera, a tak wielu z niéj żyje!

Czytano z zajęciem, z ciekawością, co gorączką spalone wydały usta, co spragniona i spalona pragnieniem wylała dusza; a świat oblegał zdala ten dworek samotny, choć przez okno chcąc zobaczyć tego co umiał kochać na śmierć i do śmierci! Często z krwawą boleścią musiano od drzwi jego odpychać natrętów co zatruliby chwile ostatnie, byle powiedzieć mogli, że widzieli to dziwadło— poetę, co umierał z miłośnego żalu. Często względy przyzwoitości nie pozwalały odepchnąć nielitościwych widzów, co sami niewarci będąc, by kto na nich spójrzał, wszystkiemu na zimno przypatrywać się chcieli. Łapano kartki sypiące się z pod jego ręki, a sługę oblegano albumami, by w nich choć datę zapisał poeta.

I aureola sławy ozłociła skroń umierającego, jak słońce zachodu pozłaca szczyty wież i korony obłoków — była to jakby przepowiednia i posłaniec śmierci.

Śmierć zbliżała się wielkim krokiem — Szarski codzień był słabszym, a codzień w marzeniach śmierć od siebie widział dalej.

Nieraz sparty o poręcz krzesła, z którego ruszyć się nie mógł, marzył z Marylką, patrząc w niebieskie jéj oczy, o cichéj ustroni na Litwie, wśród lasów co tak słodkim szumem do snów kołyszą, wśród błot tysiącznym ptastwa odzywających się głosem, wśród wiosek co szaremi sznurami chat i zielonemi rzędami drzew suną się po nizinach, wyciągając jedne ku drugim — i był w ich marzeniu dworek gdzieś w Borkach ukryty, ławka pod lipą stara, i słowik w leszczynie — tęskne szczęście jakieś kołyszące serca zranione...

A śmierć zbliżała się coraz ..

I usta już mówić nie mogły i oczy sen przymykał, a jeszcze marzyli we dwoje i coraz bardziéj odpychali godzinę oswobodzenia.

W tych chwilach uroczych, z których każda pożerała lata może, ani postrzegli jak nocą, pod otwartém dla wpuszczenia powietrza choremu okienkiem, stawał ktoś trzeci, patrzał, płakał i bolał... Na piasku nieraz uklękła Sara pożerając oczyma ofiarę swoję, do któréj zbliżyć się nawet by przebaczenie wymodlić — nie mogła. I nie płakała już łzami, bo w oczach już był ogień szaleństwa i rozpaczy...

A śmierć zbliżała się co godzina, co chwila. I lekarz już ją w myśli z dnia na dzień, z ranka na wieczor odkładał tylko, nie śmiejąc posunąć daléj, i jemu ściskało się serce przeczuwając koniec dramatu, którego w całości prawie był świadkiem.

Stanisław utracił w końcu sił ostatek i poczuł się tak źle jednej nocy, że przestraszony sługa, pobiegł do dworku pani Brzezniakowéj, aby co prędzéj po doktora posłano i księdza. Wdowa z córką nadbiegły zaraz, i zastały chorego w niezwykłym stanie rozdrażnienia i osłabienia razem; dusza zdawała się walczyć z ciałem, które dobijała miotając się w niém, by wydobyć z niego. Oczy jego ogniem gorzały, pot zimny oblewał czoło, usta drżały spalone, co chwila brocząc się krwią spiekłą.

— A! dobrze! dobrze żeście przyszły! — zawołał żywo odwracając się od okna — straszne bo, straszne w samotności miałem widzenie... Zbłąkana wyobraźnia przedstawiła mi marę... okno było otwarte... w jego oświeconych ramach zjawiła mi się jakaś postać w bieli, o! znam ją dobrze! to postać umarłéj! istota z przeszłości... stanęła przede mną błagająca, straszna... nieszczęśliwa, drżąca... i wołała! tak! słyszałem, wołała — przebaczenia! Słyszałem głos jéj, widziałem twarz trupią... a! to okropne zjawisko! Wołała głosem stłumionym: — Przebacz katowi twojemu, jak Bóg twój na krzyżu oprawcom swoim prze-

baczył...—I dreszcz przebiegł mi po skórze i włos najeżył się na skroni i krew buchnęła ustami, gdym chciał wymówić słowo przebaczenia... Krwi téj struga wylała się zamiast wyrazu litości... a widzenie znikło!

Dwie kobiéty stały zmięszane, drżąc, spoglądając na niego i na siebie, i nie mogąc zrozumieć słów, które się im zdawały marzeniem podbudzonéj wyobraźni, gorączkowém bujaniem myśli jego ostatka...

Stanisław wyciągnął rękę ku Maryi.

—Teraz, rzekł—czuję już, że um ę wprędce! śmierć przychodzi .. A! ty mi przebacz także aniele, jam się na tobie nie poznał, jam twoje życie zakrwawił, jam cię zapóźno pokochał! Byłem ślepy, obłąkany, byłem nieszczęśliwy.. ale życie tak krótkie, a Bóg tak dobry i wielki!

Zdało się, jakby w téj chwili szelest jakiś dał się słyszeć za oknem, jakby cóś padło, cóś jęknęło, a chory przelękły chciał porwać się z krzesła, gdy Brant wpadł do izdebki.

—Co to jest? co to jest?—zapytał.

—Nic—umieram tylko, odpowiedział chory spokojnie pokazując mu chustkę krwią zbroczoną... miałem widzenie! o! straszne miałem widzenie!

Ale na opowiadanie już mu głosu zabrakło.

—Chcę spocząć, rzekł po cichu, podając znów rę-

kę i chwytając dłoń Maryi—na której, przyciągnąwszy ją powoli ku sobie, złożył gorący pocałunek i łzę gorętszą jeszcze. Ona upadła na kolana bezsilna, ale rychło dźwignięta poświęceniem, powstała by usiąść przy nim.

—Uspokój się, rzekła z cicha.

—Usnę—odpowiedział skłaniając głowę, ale nie puszczając jéj ręki, którą trzymał przy ustach—bogdajby na wieki.. tyś mi przebaczyła!

Tak ze schyloną głową w milczeniu usypiać się zdawał... ale to był już uścisk anioła śmierci, który mu wszystkie cierpienia nędznego żywota w jednéj chwili zgonu nagrodził.

Dusza wolna, szczęśliwa, jasna, białemi skrzydły uleciała ku niebiosom.

A epilog epilogu? a! i ten potrzebny jeszcze... choć słów kilka które dorzucić mamy smutniejsze są od sceny na którą spójrzeliśmy przed chwilą, smutne jak mizerne życie człowieka, jak jego słabości odrażające.

W rok potém, na zielonym grobie poety.. jedna tylko klęczała postać, w sam dzień śmierci wieszając na skromnym krzyżu wznoszącym się na mogile wieniec nieśmiertelniczek; była to Sara, Sara aktor-

ka, Sara cudza kochanka, która zabiła poetę i grób jego wieńczyła ręką drżącą.

W lat dwa, w lat dziesięć, jeszcze taż sama dłoń, w ten sam dzień, przychodziła z danią pogrobową na mogiłę już dzikiemi chwastami pokrytą... i nikt więcéj! i nikt więcéj!!

A Marya? spytacie — Marya, umarła?

Nie — ona wyjechała na wieś z matką, chorowała, bolała, płakała, odczytywała ostatnie jego pieśni drżącą nakreślone ręką, słabemi wyśpiewane usty, chciała wstąpić do klasztoru, chciała umrzeć i nie mogła.

Powoli, żal jéj się uśmierzył i choć nie ustał, pokryła go mgła oddalenia... Marya poszła za mąż, i dziś, jest najprozaiczniejszą z matek rodziny, najlepszą żoną i gospodynią; choć wieczory wiosennemi, gdy jéj woń rozpuszczonych świeżo brzoz zmarłego przypomni, jeszcze cicha łza po nim płynie.

Takim człowiek! duch w nim potężny, ale ciało słabe...

W tydzień po śmierci Szarskiego, Bazylewicz już drukował szumny prospekt na cały zbiór dzieł »świeżo zgasłego a nigdy nieodżałowanego pisarza« któremu taki napisał nekrolog, jakby pióro we łzach maczał. Wydanie pozostałości po Stanisławie, zrobiło mu kilkanaście tysięcy złotych, a w mniemaniu powszechném uchodził za jedynego powiernika i naj-

serdeczniejszego przyjaciela zmarłego, gdyż mówiąc o nim, zawsze oczy ocierał chustką, a poźniéj tak już w swoję dla nieboszczyka miłość i poświęcenie uwierzył, że drugie wydanie z życiorysem i wizerunkiem poety miał przedsięwziąć.

Żytomierz, 1853—1854.

KONIEC.

Lidzka st. 206. 207 208. 209 – | 325

„Polihistor" s. 283.

Salon p. Lidzkiej s. 325
(Klimowskiej)

P. P. —— 327

? Marcinkowski 327

P. Plucha –

Historycy: Pocwirkiewicz –
Brukiewicz –
archeolog?
– Krytyk – (szkic pl.)